



SEMPER FIDELIS

PL ISSN 00866-9414

PAŹDZIERNIK – GRUDZIEŃ 4 (132) 2013

PISMO TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW LWOWA I KRESÓW POŁUDNIOWO-WSCHODNICH. WROCŁAW



LWÓW

Spis treści

Życzenia świąteczne i noworoczne	1
Danuta Śliwińska – Co roku czekamy na święta Bożego Narodzenia	1
Teresa Paryna – <i>Wielkie zadumanie</i> – wiersz	5
Kazimierz Kulas – Przy wigilijnym stole – grudzień 1944	5
Agata Wojciechowska – Artysta naprawia swoje dzieło na cmentarzu	6
Edward Gil – Jubileusz o. Władysława Lizuna	6
Tadeusz Zbigniew Nowogrodzki – Życie na morzu (VI) (Fragment książki „Ze Lwowa na morza i oceany”)	7
Stanisława Marta Kot – „Głoście prawdę, przebaczcie, ale pamiętajcie!”	15
Lesław Lech – Wrocławski jubileusz Kresowian	17
Iwo Werschler – Moje lata dziecięce przeżyte w okresie II wojny światowej na Kresach	18
Teresa Paryna – <i>Pastelowy rapsod</i> – wiersz	27
UROCZYSTOŚCI W ODDZIAŁACH I KLUBACH TMLiKPW	
Janusz Sekulski – Uczcili 69 rocznicę Powstania Warszawskiego	28
– Z pomocą dla rodaków na Ukrainie	28
Wanda Butowska – XVI Dni Lwowa i Kresów w Poznaniu	29
Leszek Mulka – Pamięć o ludobójstwie Polaków na Kresach	30
Zygmunt Zelek – Obchody 74. rocznicy napaści Związku Sowieckiego na Polskę oraz obchody Dnia Sybiraka w Świdnicy	31
Marian Winiarski – Białe soboty w parafii Medenice na Kresach	32
Zygmunt Muszyński – Relacja z przekazania podręczników i materiałów edukacyjnych do Szkoły nr 4 w Drohobyczu	35
Kazimierz Kulas – Tablica Matki Sybiraczki	38
Jerzy Duda – XV-lecie kluczborskich pielgrzymek kresowych	38
Jerzy Duda – Modlitwa wiernych	40
Kazimiera Głogowska-Gosz – Przemijanie i zapominanie	42
Jan Tarnowski – 70. rocznica zbrodni OUN i UPA w Zielonej Górze	45
Włodzimierz Kizimowicz – Przemówienie	45
Karol Liwirski – Świdnica świętuje	47
Remigiusz Węgrzynowicz – Racjami mości panowie... a nie rogami!	49
Janusz Sekulski – Są i tacy Polacy!	50
Teresa Paryna – <i>Ogniwa pokoleń</i> – wiersz	50
Kazimierz Kulas – Z Ziemi Lwowskiej do Międzyrzecza	51
– Dźwinogród mojej pamięci... (IX)	51
Z ŻAŁOBNEJ KARTY	
Stanisława M. Kot – Śp. ks. dr Krzysztof Bojko (1963–2013)	53
Karol Liwirski – Śp. Katarzyna Picho (1923–2013)	53
Kazimierz Kulas – Śp. Leonard Dramowicz (1917–1990)	54
Śp. Józef Drzazga (1915–2013)	54
Bolesław Opalek – Wspomnienie o śp. Antoninie Grabskiej	55
Andrzej Kaminski – Śp. dr inż. Władysław Szklarz (1923–2013)	56
Śp. Emil Teśluk (1923–2013)	56
Informacje	57
Lista Ofiarodawców	57

Rysunek na I stronie okładki wykonała Danuta Śliwińska.

Pismo finansowane przez Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa.

Nakład: 900 egzemplarzy

Redaktor naczelny: Andrzej KAMINSKI
 Redaguje Kolegium: Danuta ŚLIWIŃSKA, Jerzy PETRYŃSKI
 Właściciel tytułu i adres redakcji: Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich,
 50-011 Wrocław, ul. Kościuszki 35/B/E, druga oficyna; tel./fax 71/344-88-93;
 Nowe konto: PKO-BP O/Wrocław Nr 53 1020 5242 0000 2102 0131 9631

Materiałów niezamawianych redakcja nie zwraca. W publikowanych tekstach zastrzegamy sobie prawo dokonywania skrótów, zmian tytułów oraz poprawek stylistyczno-językowych. Nie płacimy honorariów autorskich.



Drogi Członkom Towarzystwa, Waszym Rodzinom i Sympatykom życzymy

– w Noc Wigilijną, w blasku świec i zapachu świerkowego drzewka – ciepła rodzinnej atmosfery, głębokich, radosnych przeżyć, wielu chwil roziskrzonych kolędą i wspomnieniami. Magiczna siła opłatka niech otworzy nasze serca i będzie inspiracją do pomocy innym, w tym Rodakom za Wschodnią Granicą.

– dni świątecznych wypełnionych miłością, spokojem, spotkań z najbliższymi, a Gwiazda Betlejemska niech doprowadzi Wszystkich do szczęścia w Nowym Roku, aby dopisało zdrowie, wiara w lepszą przyszłość, a marzenia zmieniły się w rzeczywistość.

*Zarząd Główny TMLiKPW
i Redakcja „Semper Fidelis”
we Wrocławiu*

Danuta Śliwińska

Co roku czekamy na święta Bożego Narodzenia

Czy w kraju, czy we Lwowie, Stanisławowie, Tarnopolu, Łucku, czy w Wilnie, Grodnie, czy w setkach małych miejscowości na Wschodzie, jak i w każdym zakątku świata, gdzie mieszkają Polacy każdego grudnia z radością w sercu czekamy wszyscy na Boże Narodzenie, na najbardziej emocjonalne Święta w ciągu roku. To Święta wyjątkowo uroczyste obchodzone, bogate w tradycje mające charakter rodzinny.

Gdy na dworze zaczyna zapadać grudniowy zmierzch z niecierpliwością wypatrujemy rozbłyśnięcia pierwszej gwiazdki na niebie. Zasiadamy do wieczerzy wigilijnej, która jest czasem pokoju, zadumy, miłości bliźniego, radości, wspomnień o bliskich zmarłych i tych co są daleko i nie mogą w tym dniu być z nami. W czasie wieczerzy wigilijnej zapominamy o codziennych troskach, zmartwieniach, niepowodzeniach.

Najważniejszym i najbardziej wzruszającym momentem w czasie wieczoru jest zwyczaj dzielenia się opłatkiem i składania sobie życzeń zdrowia, pomyślności, długich, szczęśliwych lat życia i spotkania się przy stole w następnym roku w takim samym gronie. Jest to zwyczaj polski, niespotykany w innych krajach. W tym czasie nasze myśli biegną do Rodaków rozsianych po świecie, ale przede wszystkim mieszkających za Wschodnią Granicą i życzymy im Spokojnych, Radosnych Świąt wśród najbliższych, a w przyszłym roku lepszego życia, szczęścia we wszystkich działaniach i opieki Nowonarodzonego Dzieciątka. Tu przytoczę „Wiersz staroświecki” ks. Jana Twardowskiego:

*Pomódlmy się w Noc Betlejmską,
W noc Szczęśliwego Rozwiązania,
By wszystko się nam rozplątało,
Węzły, konflikty, powikłania.
Oby się wszystkie trudne sprawy
Porozkręcały jak supelki,
Własne ambicje i urazy
Zaczęły śmieszyć jak kukielki.
Oby w nas paskudne jędze
Pozamieniały się w owieczki,
A w oczach mądre lzy stały
Jak na choince barwnej świeczki.
Niech anioł podrze każdy dramat
Aż do rozdziału ostatniego,
I niech nastraszy każdy smutek,
Tak jak goryla niemądrego,
Aby wątpiący się rozplątał
Na cud czekając w swej kolejce,
A Matka Boska – cichych, ufnych –
Na zawsze wzięła w swoje ręce.*

Po tym pięknym akcie łamania się opłatkiem, zmówieniu modlitwy zasiadamy do wigilijnej wieczerzy. A na stole jak zwykle tradycyjne, rodzinne potrawy, w skład których zawsze wchodzi mak i miód.

W wielu domach do dzisiaj po wieczerzy śpiewamy kolędy. Zapoczątkował ten zwyczaj św. Franciszek z Asyżu. Przyjął się i rozwinął we Włoszech, a w XIV wieku dotarł do Polski. Do najbardziej popularnych ko-

lęd należą „Bóg się rodzi” F. Karpińskiego, „Przybieżeli do Betlejem Pasterze” z 1630 r. J. Zabczyca, „Mizerna cicha” T. Lenartowicza, „Wśród nocnej ciszy” itd.

Kolędy przez wieki towarzyszyły Polakom. Śpiewano je w kraju, śpiewano na obczyźnie, śpiewano na zsyłce na Sybirze. Kolęda zawsze wyrażała tęsknotę za ciepłem rodzinnego domu i więź łączącą wszystkich Polaków bez względu na to, gdzie mieszkają. Dzielenie się opłatkiem i śpiewanie kolęd stanowią piękną polską tradycję i są częścią naszej ojczyzny. Trudno znaleźć na świecie zakątek, w którym w grudniowy wieczór choć jeden Polak nie łamałby się z kimś opłatkiem, życząc mu zdrowia, szczęścia, pokoju i miłości.



W każdym polskim domu nie może zabraknąć drzewka, które pięknie przystrojone sprawia ogromną radość, zwłaszcza dzieciom. A pod drzewkiem składamy prezenty, choćby najskromniejsze, na które z niecierpliwością oczekują nie tylko dzieci.

Obecnie nastała moda na wszystko z tak zwanego zachodu. Coraz więcej reklam i szyldów sklepowych w naszych miastach w językach angielskim, francuskim, niemieckim. Obce zwyczaje i kultura zaczyna nas przytłaczać (np. polscy piosenkarze najczęściej śpiewają po angielsku, w telewizji pełno obcej muzyki). Rozumiem, że żyjemy w czasach, w których wzajemne przenikanie zwyczajów i kultur stało się czymś normalnym. Ale jednocześnie musimy pielęgnować nasze polskie tradycje i zwyczaje, aby ich nie zatracić, w których bardzo ważne miejsce zajmują święta Bożego Narodzenia. Nasze Święta są najbogatsze, najpiękniejsze, pełne rodzinnego ciepła i miłości. Przy zalewie obcych tradycji i zwyczajów – niech przynajmniej m.in. nasz stół wigilijny nawet skromniejszy niż w dawnych czasach pozostanie czysto polski, tak jak za naszych ojców i dziadków bywało.

Przy przygotowaniu tradycyjnych, rodzinnych potraw na wigilię i dni świąteczne włożmy w nie wiele serca i miłości, aby nasi najbliżsi długo wspominali ich niepowtarzalny smak.

A oto kolejne przepisy na Boże Narodzenie:

Śledzie w śmietanie

Składniki:

8 filetów śledziowych (najlepsze matiasy), 2 cebule, 10 ziarenek pieprzu, 4 ziarna ziela angielskiego, 2 listki laurowe, 1 szklanka śmietany (18%), sok z 2 cytryn, 2 łyżki cukru, 2 małe jabłka, pęczek szczypiorku, 1/2 litra mleka.

Przyrządzenie:

Filety moczymy w mleku 4 godziny. Cebulę kroimy w cienkie plasterki i przelewamy wrzącą wodą, odsączamy na sicie.

Filety układamy w słoiku, przekładamy sparzoną cebulą, dodajemy pieprz, ziele angielskie, listki laurowe. Śmietanę dokładnie mieszamy z sokiem z cytryny i cukrem i zalewamy tym sosem śledzie w słoiku. Słoik wstrząsamy kilka razy i wstawiamy do lodówki na 2 dni.

Śledzie wykładamy na półmisek, obkładamy cebulą i jabłkami pokrojonymi w drobne, cienkie plasterki, polewamy przedcedzonym sosem, wierzch posypujemy szczypiorkiem



Paszteciki z grzybami w kruchym cieście

Składniki:

30 dkg mąki, 15 dkg masła, 2 żółtka, 3 łyżki gęstej śmietany, szczypta soli.

Na farsz:

10 dkg suszonych grzybów (najlepiej borowików), 2 cebule, 3 łyżeczki masła, 1 łyżka bułki tartej, 2 jaja ugotowane na twardo, 1 surowe żółtko, sól, pieprz, cząber, masło do blaszki, 1 jajo do smarowania.

Przyrządzenie:

Grzyby myjemy, zalewamy chłodną, przegotowaną wodą i odstawiamy na ok. 7 godzin, potem gotujemy

w tej samej wodzie. Ugotowane grzyby odcedzamy, kroimy w drobną kostkę. Cebulę obieramy, kroimy w drobną kostkę, solimy i dajemy na patelnię, ogrzewamy na małym ogniu ciągle mieszając. Gdy cebula zmięknie i zacznie żółknąć dodajemy 3 łyżeczki masła, lekko rumienimy i do lekko zrumienionej cebuli dodajemy pokrojone grzybki, mieszamy, chwilę dusimy, podlewamy wywarem z grzybów, dodajemy tartą bułkę, jeszcze dusimy 6 minut, odstawiamy, mieszamy z surowym żółtkiem i rozartymi (np. widelcem) jajami zgotowanymi na twardo, przyprawiamy do smaku solą, pieprzem i szczyptą cząbrku, ostudzamy.

Ciasto – do mąki dodajemy masło, szczyptę soli, siekamy nożem na drobne grudki, dodajemy żółtka i śmietanę, zarabiamy ciasto nożem i zagniatamy ręką. Ciasto w miseczce wkładamy do lodówki na 45 minut. Następnie cienko rozwałkowujemy, kroimy w kwadraty o boku 5 cm. Na kwadraty nakładamy grzybowy farsz, zlepiamy boki. Uformowane paszteciki układamy na blaszce posmarowanej masłem, wierzch pasztecików smarujemy rozbełtanym jajkiem. Wstawiamy do nagrzanego piekarnika, pieczemy do zrumienienia na jasnożółty kolor. Podajemy do czystego barszczu lub rosółu grzybowego.

Karp w śmietanie

Składniki:

Karp ok. 1,5 kg, sól, pieprz, tymianek, 1/2 kostki masła pokrojonego na kawałeczki, 1 listek laurowy, 6 gałązek koperku, 3/4 szklanki śmietany, pół cytryny pokrojonej w plasterki.

Przyrządzenie:

Oczyszczonego karpia nacieramy solą, pieprzem i tymiankiem wewnątrz i zewnątrz, odstawiamy na 40 minut. Piekarnik nagrzewamy do temperatury 190 stopni. Blaszke rozgrzewamy nad kuchence gazowej na małym ogniu, wkładamy połowę masła i rozgrzewamy, 3 gałązki koperku wkładamy do jamy brzusznej karpia, ostrożnie układamy na blaszce z gorącym masłem, na wierzch ryby kładziemy listek laurowy, 3 gałązki koperku, posypujemy drugą połową masła w kawałeczkach i pieczemy 20 minut często polewając gorącym masłem spod ryby. Śmietanę polewamy rybę, obok karpia układamy plasterki cytryny i pieczemy przez dalsze 15 minut. Gdy kość grzbietowa wychodzi łatwo przez pociągnięcie karp jest gotowy. Rybę ostrożnie przekładamy na ogrzany półmisek. Sos cedzimy, doprawiamy solą, pieprzem i ewentualnie odrobiną cukru i nim polewamy karpia.

Pstrągi w galarecie z koperkiem

Składniki:

6 małych pstrągów, 2 pęczki koperku, 2 szklanki osolonej wody, sok z 1/3 cytryny, kawałek skórki z cytryny, szklanka białego wytrawnego wina, 1/4 łyżeczki soli, 1/4 łyżeczki cukru, 2 łyżki żelatyny, 1 ugotowana marchew pokrojona w ukośne plasterki, 1 łyżka zielonego groszku (może być z puszki).

Sos:

Szklanka oziębionej śmietany kremówki, skórka starta z 1/2 cytryny, 1/2 łyżeczki soku z cytryny, 1,5 łyżeczki startego chrzanu, sól, cukier.

Przyrządzenie:

Oczyszczone, wypatroszone pstrągi płuczemy, osuszamy, 1 pęczek koperu wkładamy do wnętrza ryb. Wodę ze szczyptą soli zagotowujemy w szerokim, płaskim rondlu, dodajemy sok z 1/3 cytryny, kawałeczek skórki z cytryny. Wkładamy po 2 pstrągi, gotujemy na małym ogniu 10–12 minut. Wykładamy na talerz. Gotujemy pozostałe. Wywar cedzimy przez gęste sito i odstawiamy.

Przestudzone pstrągi wykładamy na podłużny półmisek (skórę można zdjąć z ryb przed schłodzeniem) i wstawiamy do lodówki.

Żelatynę zalewamy winem i odstawiamy na ok. 10 minut. Wywar zagotowujemy, doprawiamy solą i cukrem, dodajemy namoczoną żelatynę, mieszamy podgrzewając aż żelatyna się rozpuści, nie gotujemy. Przelewamy do miski, dodajemy pęczek koperku drobniutko posiekanego, mieszamy, wstawiamy do lodówki. Jak galareta zacznie gęstnieć (mniej więcej konsystencja surowego białka) polewamy najpierw małą ilością półmisek z pstrągami, przybrany plasterkami marchewki i zielonym groszkiem, tak żeby przykryć dekorację i wstawiamy do lodówki na około 3 godziny. Jak galareta zgęstnieje wylewamy całą resztę galarety na półmisek. Powinna pokryć ryby, wówczas wstawiamy do lodówki na 24 godziny.

Sos:

Śmietanę kremówkę ubijamy na sztywno ze startą skórką z 1/2 cytryny, pół łyżeczki soku z cytryny, lekko mieszamy z 1,5 łyżeczki startego chrzanu.

Doprawiamy do smaku solą i cukrem. Schładzamy w lodówce.

Pstrągi podajemy mocno schłodzone, sos (przypominający bitą śmietanę) podajemy w sosjerce.

Kaczka z jabłkami w winie

Składniki:

Kaczka ok. 1,5 kg, 2 łyżki majeranku, 5 jabłek, 2 łyżki tartej bułki, 1,5 szklanki białego wytrawnego wina, sól, cukier, pieprz biały.

Przyrządzenie:

Kaczkę sprawiamy, płuczemy, obsuszamy, nacieramy solą, pieprzem i jedną łyżeczką majeranku. Odstawiamy na 40 minut. Jabłka kroimy w cienkie plasterki, solimy, dodajemy cukier, pieprz, tartą bułkę i jedną łyżeczkę majeranku. Delikatnie mieszamy. Kaczkę napełniamy farszem i zaszywamy. W brytfannie zalewamy winem i dusimy pod przykryciem na małym ogniu 25 minut. Odkrywamy i wstawiamy do gorącego piekarnika na 45 minut, polewając co jakiś czas wytopionym sosem.

Świąteczna surówka z kiszzonej kapusty

Składniki:

2,5 kg ukiszzonej, średnio kwaśnej kapusty, 1 większe jabłko, 1 pomarańcza, 3/4 szklanki winogron, 2 łyżeczki posiekanych orzechów włoskich.

Sos:

2 łyżeczki oliwy, sok z pół cytryny, sól, cukier.

Przyrządzenie:

Kapustę lekko odciskamy z soku, drobno kroimy, wkładamy do salaterki. Jabłko obieramy, usuwamy

gniazdo z pestkami, kroimy w małe słupki, pomarańczę obieramy, dzielimy na części, orzechy włoskie siekamy. Do kapusty dodajemy pokrojone jabłka, pomarańczę, posiekane orzechy i winogrona. Całość polewamy sosem z oliwy, cytryny, doprawionym do smaku solą i cukrem.

Mak z bakaliami

Składniki:

2 szklanki maku, 3/4 litra mleka, 10 dkg orzechów włoskich, 10 dkg rodzynków, 4 łyżki drobno pokrojonej, usmażonej w cukrze skórki pomarańczowej, 4 figi, 8 dkg migdałów bez łupin, 4 łyżki miodu, pół szklanki cukru pudru, pół szklanki śmietanki, 1/3 laski wanilii utłuczonej w moździerzu.

Przyrządzenie:

Mak parzymy wrzącym mlekiem i pozostawiamy na 10 godzin. Następnie odcedzamy na sicie i mielimy w maszynce do mięsa z sitkiem o drobnych otworkach. Mieszmamy z miodem, cukrem pudrem, pokrajanymi bakaliami (do dekoracji pozostawiamy 10 połówek orzechów włoskich i 10 połówek migdałów), wanilię, drobno pokrojoną skórkę pomarańczową, rodzynki, śmietankę. W salaterce wszystko mieszamy, dekorujemy połówkami orzechów i migdałów. Oziębiamy w lodówce.

Uwaga: rodzynki moczymy w alkoholu, odcedzamy i miękkie dodajemy do maku, orzechy i migdały siekamy, a figi kroimy na małe części.

Taki mak podajemy na deser po Wigilii, w przypadku jak nie ma kutii albo po obiedzie pierwszego dnia świąt.

Tort miodowy

Składniki:

Ciasto: 2,5 szklanki mąki, 20 dkg masła, 1/3 szklanki miodu, 6 łyżek cukru, 4 jaja, skórka starta z 1/2 cytryny, łyżeczka sody, masło i bułka tarta do tortownicy. Do przybrania – ziarenka kawy, połówki orzechów włoskich i wiśnie z konfitury, mocno odsączone.

Masa: 25 dkg masła, 3 jaja, 1 szklanka cukru pudru, kieliszek rumu, ok. 1/3 szklanki bardzo mocnej kawy.

Przyrządzenie:

Ciasto: masło roztopiamy z miodem, cukrem i ostudzamy. Mąkę mieszamy z sodą i startą skórką cytrynową, wlewamy do niej ostudzoną masę i ubite w całości na parze jaja. Dokładnie ucieramy. Ciasto dzielimy na 3 części, pieczemy w tortownicy wysmarowanej masłem i posypanej bułką tartą kolejne 3 placki. Po upieczeniu i ostudzeniu placki przekładamy masą kawową, smarujemy również wierzch tortu. Przybieramy ziarenkami kawy, połówkami orzechów włoskich i wiśniami z konfitury.

Masa: masło ucieramy dokładnie z cukrem pudrem aż do uzyskania puszystej masy. Całe jaja wbijamy do miseczki. Miseczkę umieszczamy na garnku z gotującą się wodą i ubijamy jaja na parze. Kiedy jaja zgęstnieją, zdejmujemy miseczkę z pary i ubijamy jaja w dalszym ciągu aż do czasu ich ostudzenia. Dodajemy stopniowo ubite jaja do utartego masła ciągle ucierając. Następnie, ucierając cały czas, dodajemy stopniowo po pół łyżeczki rumu aż do całej zawartości kieliszka, a potem po pół łyżeczki mocno sparzonej kawy aż do 1/3 szklanki.

Na zakończenie „Kolęda” napisana przez lwowską poetkę Stanisławę Nowosad.

*A gdy zapada nocy mrok,
Jednej, jedynej w świecie,
Kierujem ku stajence wzrok,
Gdzie w żłóbku Boże Dziecię.*

*Organów uroczysty ton
W kościele się rozlewa,
Przy żłóbku, gdzie króluje On
Pastuszek bosi śpiewa.*

*Zza siedmiu gór, zza siedmiu mórz
Królowie Trzej przybędą,
A my śpiewając „Oczka zmruż”
Uśpimy Cię kolędą.*

*O święta szopko! Na sianeczku
Spoczywa wielki Władca, Pan,
Choć jeszcze głodne Dzieciąteczko,
A Domem Chleba jest On sam.*

*Aniolki gloria Mu śpiewają
Świta Trzech Króli Go odwiedza,
Pastuszki na fujarkach grają,
A wół z osiołkiem przy Nim siedzą.*

*I ogrzewają święte nóżki
Ciepłym oddechem swym bydlęcym,
Zmruż oczka swoje, śpij Maluśki,
Boże, coś zszedł do ludzkiej nędzy.*



Wielkie zadumanie

Tutaj każdy kamień polskim słowem krzyczy,
każdy zaufek, dom, skrywa polską tajemnicę,
każdy kościół ciągle za Polskę się modli –
w wierze i w miłości, przebaczeniu zbrodni...
I trwa powaga dziejów, wielkie zadumanie
nad tym, co odeszło, co przejdzie w niepamięć...

Na Łyczakowskim Cmentarzu wymowna cisza grobów
i nazwiska: Konopnicka, Zapolska, Ordon, Grottger...
Zasnęli w Polsce a śpią na obcej ziemi!
Jakże się to stało? – Boże, przemów! – przemień!
A Lwowskie Orleża? – ich tak młode życie,
ich krew, wiara święta – daremne? – czemu?
– czemu!?

Tak wiele pytań i brak odpowiedzi...

Tylko martwy liść łazarz zaszeleści

lub anioł z pomnika skrzydłami zachrząści...

tylko ptak ostrym krzykiem kamienną ciszę przetrnie.

W koronach starych drzew czasem wiatr zaszłocho
nad kims, kto odszedł zbyt wcześnie
choć chciał żyć, choć kochał...

Wszędzie kruchosć, marność, nicość.

Nagle powróci zabłąkana nuta:

„... polski rodzinny kraj nasz

to wiernych synów ziemia ma...”

I zmiesza się tęsknota z goryczą żałoby –

ktos otrze łzę,

ktos powie:

„Ojczyzna, to pamięć i groby...”

X/96

Teresa Paryna urodziła się w Sośnicy Jarosławskiej, mieszka w Przemyślu. Zadebiutowała w 1987 r. Swoje wiersze publikowała w ponad 40 almanachach. Jest członkiem Związku Literatów Polskich. Dwukrotna stypendystka Prezydenta Miasta Przemyśla. □

Kazimierz Kulas

Przy wigilijnym stole – grudzień 1944

Przy wigilijnym stole
Łamiąc opłatek święty,
Pomnijcie, że dzień ten radosny
W miłości jest poczęty.

(Jan Kasprzowicz – „Przy wigilijnym stole”)

Wigilia 24 grudnia 1944 roku. Miałem wówczas 11 lat. Mieszkaliśmy na Kresach Wschodnich w miejscowości Dźwinogród, 1 km od Buczacza. Była wówczas sroga zima, śnieg zasypał pola, drogi, ścieżki, rzeka Strypa została skuta lodem, drzewa w lesie ugięły się pod ciężarem śniegu. Był to okres wojny pod okupacją niemiecką.

Święta były biedne i obchodzone pod strachem. Nasza rodzinka była w komplecie: rodzice, siostra Anastazja i ja. Mieliśmy zieloną sosnową choinkę. Ozdoby: jabłuszka, cukierki, orzechy laskowe, ciasto z własnego wypieku. Opłatek otrzymaliśmy z parafii Buczacz od ks. Władysława Sygnatowicza.

W gronie rodzinnym łamaliśmy się opłatkiem i składaliśmy sobie życzenia: zdrowia, pokoju i szybkiego zakończenia wojny. Przed łamaniem się opłatkiem była głośna modlitwa „Ojcze nasz”...

Po wieczery wigilijnej otrzymaliśmy z siostrą skromne podarki, cukierki miętowe i śpiewaliśmy kolę-

dy: „Wśród nocnej ciszy”, „Bóg się rodzi”, „Do szopy hej pasterze” i inne.

Nasza mama śp. Katarzyna miała śpiewnik z kolędami z 1910 roku.

Przed północą poszliśmy na tradycyjną pasterkę do kościoła w Dźwinogrodzie, który został zbudowany w 1934 roku, a więc miał 10 lat, był pokryty blachą. Był murowany. Na dworze był tęgi mróz, gdzieś daleko było słyszeć strzały, w górze niebo rozjaśniały rakiet oświetlające pociski artyleryjskie.

W kościele we wsi Dźwinogród przeżywali ludzie wojnę, niepokój, chwile grozy.

W kościele chór śpiewał kolędy. Był to ostatnie święta Bożego Narodzenia w naszym domu rodzinnym w Dźwinogrodzie pod Buczaczem, na pięknej Wyżynie Podolskiej, gdzie była Polska, a dziś Ukraina... □

Pomnik Orłąt Lwowskich został zniszczony przez wandalę w 2011 r.

Agata Wojciechowska

Artysta naprawia swoje dzieło na cmentarzu

(Przedruk z „Polskiej Gazety Wrocławskiej” z dn. 23.08.2013 r.)

Rodzina Sieków przyjechała aż z Sierpca pod Krakowem, by naprawić pomnik Orłąt Lwowskich, który stoi na cmentarzu przy ul. Smętnej na wrocławskim Sępolnie. Robią to na swój koszt, chcą przywrócić pierwotny wygląd monumentu. Przyjechał też spawacz Henryk Błądek, który od wielu lat współpracuje z twórcą pomnika – prof. Janem Siekiem.

Uroczyste odsłonięcie pomnika Orłąt Lwowskich odbyło się 11 listopada 1991 r. Na granitowym cokole ustawiono pomnik z blachy miedzianej, kształtem przypominający łopoczącą flagę. W jej środku znajduje się prześwit w kształcie krzyża. Na szczycie umieszczono cztery orły, które podrywają się do lotu.

– Symbolizują one młodych ludzi, którzy poderwali się do walki we Lwowie. Bohatersko bronili swojego miasta. Poświęcili się dla niego – mówi Teresa Siek, żona artysty. – Jesteśmy związani z Lwowem. Moi pradziadowie pochowani są na cmentarzu Łyczakowskim – dodaje.

W październiku ubiegłego roku złomiarze oderwali jednego z orłów, licząc na szybki zarobek w punkcie skupu. Podczas kradzieży zniszczyli też część flagi. Policja złapała sprawców.

– Jak tylko dowiedzieliśmy się o całej sprawie, natychmiast skontaktowaliśmy się z parafią Świętej Rodziny, opiekującą się cmentarzem. Byliśmy zainteresowani sprawą i zmartwieni, że doszło do kradzieży – opowiada Teresa Siek.

Ponieważ naprawę odwlekano, rodzina artysty postanowiła sama się tym zająć. Zgodnie z prawem autorskim artysta ma pierwszeństwo w naprawie swojego dzieła.



Fot. Tomasz Hołod

Nad naprawą pomnika pracują: prof. Jan Siek (z prawej), jego syn Andrzej i Henryk Błądek

Remont pomnika potrwa prawdopodobnie dwa dni. Zajmują się nim prof. Jan Siek, jego syn Andrzej i spawacz Henryk Błądek, zaś Teresa Siek z córką Anną dowożą potrzebne materiały. Niektóre elementy trzeba było zrobić od nowa – stworzyć gipsowe formy, a później odlewy.

PS. Pomnik Orłąt Lwowskich został odrestaurowany i sfinansowany dzięki dotacji Komisji Kultury Urzędu Miasta Wrocławia i osobistego zaangażowania Przewodniczącego Komisji p. Jerzego Skoczylasa oraz Przewodniczącego Rady Miasta Wrocławia p. Jacka Ossowskiego.

Sprawę pilotował Zarząd Główny Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich.

Andrzej Kaminski
prezes

Edward Gil

Jubileusz o. Władysława Lizuna

Jubileusz 25-lecia święceń kapłańskich proboszcza parafii pw. św. Antoniego we Lwowie na Łyczakowie, franciszkanina, ojca Władysława Lizuna

Ojca Władysława Lizuna znam od ponad 20 lat, teraz przypadkowe spotkanie w Kalwarii Pałacowskiej. Po serdecznym przywitaniu, oczywiście co we Lwowie? Tu ojciec Władysław filozoficznie odpowiada „żniwo wielkie, a robotników mało”. Dodaje, że akurat obchodzi Jubileusz 25-lecia święceń kapłańskich. Zaciekawiony Jego drogami do stanu duchownego, proszę ojca Władysława o szczegóły. Opowieść zaczyna od urodzenia

w Przemyślu, rodzice mieszkali w parafii Orły, już nie żyją. „Po ukończeniu liceum wstąpiłem do nowicjatu oo. Franciszkanów w Smardzewicach k. Opoczna. Święceń kapłańskich udzielił mi 15 sierpnia 1988 roku tu, w Kalwarii Pałacowskiej JE bp Edward Białogłowski. Pierwszą moją pracą duszpasterską przez cztery lata była Kalwaria Pałacowska. Pełniłem obowiązki katechety. Tu do drogi duchownego katechety dodaje, że mój



Ojciec Władysław Lizun – franciszkanin, proboszcz kościoła pw. św. Antoniego Padewskiego we Lwowie na Łyczakowie, obok rodzony brat Józef – franciszkanin, profesor Franciszkańskiego Seminarium Duchownego w Krakowie. Fotografia wykonana przed Mszą św. Jubileuszową w zakrystii kościoła w Kalwarii Pałacowskiej 18.08.2013 r.

rodzony brat o trzy lata starszy, Józef, też jest zakonnikiem franciszkaninem, doktorem filozofii w seminarium franciszkańskim w Krakowie. W roku 1992 Prowincja

Krakowska skierowała mnie na misje zagraniczne do Lwowa. Obsługiwaliśmy kościoły św. Antoniego we Lwowie na Łyczakowie, kościół w Winnikach i Kurowie. W Winnikach i Kurowicach, kościoły zniszczone, wymagały remontu.



Jubileuszowa Msza św. pod przewodnictwem Jubilata Ojca Władysława Lizuna w Kalwarii Pałacowskiej w dniu 18.08.2013 r. W koncelebrze rodzony brat Józef (po prawej stronie)

W roku 2001 skierowano mnie do Halicza, pełniłem obowiązki gwardiana do roku 2008, obsługiwaliśmy też Bołszowce. Pomagaliśmy też okolicznym parafiom w uroczystościach kościelnych. Od roku 2008 nadal pełnię obowiązki gwardiana i proboszcza parafii kościoła pw. św. Antoniego we Lwowie na Łyczakowie. We Lwowie przy pomocy czterech wikarych, którzy pomagają mi w pracy duszpasterskiej. Dodaję, że wspólnie z księdzem Piotrem Smolką z Przemyśla w ubiegłym roku pochowaliśmy p. Eugeniusza Cydzika."

Ojciec Władysławie, życzymy Ad multos annos.

Lwowiacy na tułaczce.

Tadeusz Zbigniew Nowogrodzki Życie na morzu (VI)

(Fragment książki „Ze Lwowa na morza i oceany”)

Część 7

Na statkach Polskich Linii Oceanicznych Od marca 1971 do 1988 roku

Na pokładzie statku m/s Zygmunt Stary dnia 7 lipca wyruszyłem w mój dziewiczy rejs oceaniczny.

[...]

Nowo wybudowany statek w rejsie dziewiczym miał się wykazać tak zwaną „zdolnością morską”, a ja miałem się sprawdzić w warunkach morskich na samodzielnym stanowisku mechanika chłodniczego.

„Opieka” żony oraz mechaników stoczniowych pozostała na lądzie. Pozostała ze mną jedynie nadzieja, że w tym rejsie nie będziemy mieli ładunku „chłodzonego”. Pozostałaby mi wtedy do obsługi chłodni prowiantowa z zapasem prowiantu dla załogi statku na okres czterech miesięcy oraz obsługa systemu klimatyzacji pomieszczeń załogowych.

Co do chłodni prowiantowej, to z opowiadań marynarskich wiedziałem, że mogę się spodziewać niewłaściwego korzystania z komór chłodniczych przez szefa kuchni oraz jego pomocników, to znaczy zbyt częste w ciągu dnia wchodzenie do komór chłodniczych, a w tropiku nagminne schładzanie gorących napojów co powodowało ciągłą pracę sprężarek chłodniczych i w konsekwencji podwyższanie temperatury w komorach z mięsem. Naiwnie, niezbyt wierzyłem tym opowieściom, bo przecież nikt we własnym domu tak się nie zachowuje, niestety, opowiadano prawdę. Drugi problem, z którym będę musiał sobie poradzić, to system klimatyzacji pomieszczeń mieszkalnych. Do moich obowiązków należało utrzymywanie w pomieszczeniach mieszkalnych odpowiedniej temperatury i wilgotności.

Co to znaczy „odpowiedniej”? Gdy statek będzie się znajdował w strefie zimowej, to wiadomo, że najzdrow-

sza temperatura to 18 do 20 stopni Celsjusza i z tym członkowie załogi na ogół się zgadzali, ale w strefie tropikalnej zaczynał się „cyrk” – bo w czym tkwi problem? Przede wszystkim problem tkwi w upodobaniu każdego człowieka, może podam przykład, o co mi chodzi.

Przykład z zatłoczonego przedziału w pociągu podczas podróży w lecie. Energiczny pasażer wstaje i otwiera okno, na co odzywa się drugi, który nie znosi przeciągów: „Panie, zamknij to okno, nie jest pan u siebie w domu” itd. itp. Za chwilę do dyskusji włączają się inni. Pociąg, na szczęście, zatrzymuje się na stacji, awanturujący się wysiadają, na ich miejsce wchodzą nowi.

Na statku, który wyruszył w oceaniczną podróż z załogą 40 osób na planowane 120 dni raczej nie planuje się wysiadki w najbliższym porcie, trzeba więc pogodzić się z panującymi warunkami.

Jeszcze jedna nowość, z którą niełatwo będzie mi się pogodzić, zgodnie z ustaleniami aktywu partyjno-społecznego działu mustrowania załóg – na każdym statku musi działać organizacja PZPR, młodzieżowa ZMP oraz tak zwany aktyw związkowy. Oczywiście, odpowiednia komórka w PLO proponowała jako kandydatów zasłużonych aktywistów i pomimo „wyborów” na statku z reguły propozycje były przyjęte.

Przepraszam szanownego czytelnika za ten, być może, nieciekawy wstęp, ale dla czytelnika niezwiązanego z pracą na morzu należało, choćby skrótowo, opisać sytuację społeczną na statku w czasie rejsu.

Zanim zacznę opisywać mój pierwszy w życiu rejs oceaniczny. dla urozmaicenia lektury mojej podróży do Afryki przytoczę krótkie fragmenty szkicu z Lwowskiej Wesołej Fali.

Szczepko i Tońko marzyli o podróży do Afryki już w 1943 r.

Szczepko: ... szpanuj tutaj, jaki ja ud ksiendza misjonarza dostał afrykański ksionżki z ubrazkami.

Tońko: Anu, pokaż.

Szczepko: Ni ruszaj, bo ty zara wysmarujesz. Ja bedy ubracał, a ty bedzisz inu zadglondał. O, zara, tu o, na pirszy kartcy, widzisz Afryki?

Śluchaj Tońku lepij, co ksiondz bałakał. Un mówił, ży jak un tam przyjechał, tu taki bylu goroncu ży ten blat ud kuchni tu zimny wzglendym tego guronca.

Tońko: A ksiondz musiał akurat w leci jechać?

Szczepko: A kiedy miał jechać jak tam zimy ni ma.

Tońko: Ta jak ni ma? A gdzie si podziała?

Szczepko: Ta tam jest już taki urzundzeni, ży tam zimy ogóli ni bylu, ni ma i ni bedzi.

Tońko: Niemożliwi.

Szczepko: A o, masz tu, nimożliwi. Ksiondz misjonarz mówił, ży ni ma zimy, a un mówi nimożliwi. Ta ten co był, tu wi lepi, jak ten co nie był.

Tam wszendzi duukoła to masz murzynów a murzynów, a oni taki czarny, inu im sie oczka świcu. Ta pewni, ży czarny, jak tam taki gorunc byz cały rok, mieli czas si upalić.

Ta im guroncu, ale ni tak jak nam, bu oni byz ubrania chodzu. Taż to styd okrutny.

Tońko: Ta właściwie tu dziwoty ni ma, bu ja słyszał, ży oni jedzu ludzi. Ja by tam ni pojechał, bu oni by mnie zara zjedli.

...

Szczepko: Ta ty si namnij mógłby bać, bu oni świrków w każdym razi ni jedzu.

...

Ali tam masz taki las, ży drzewu chlibowy, kauczkowy, kawowy, bananowy, ananasowy...

Tońko: Puziomkowy, malinowy...

Szczepko: Ta durny wariat, to nie so lody. A zara tak o, za lasym, diamenty złotu i inszy majontki, inu fajnu poszukać!

Tońko: Ach, Szczepciu! Jakby tak paszport dostać, to my by zara wy dwójki tam pojechali.

Szczepko: Ta jakby to było polski, tu my by zara z naszy Gdyni byz morzy wprost du Afryki, ali tak o, obcy, tu ci ni puści.

Tońko: Ali nam by si zdało kawalyk taki afrykański Polski.

Szczepko: Ta właśnie my z ksiendzym misjonarzym wzglendym tegu rozmawiali, ży tera si coś tam mota, ażyby dla Polski kawalyk Afryki wytargować, tu wtedy myby fiut!

Tońko: Szczepciu jakby si coś namutał, tu pugałaj tam z ksiendzym żyby ja tyż.

Szczepko: Już ja z ksiendzym misjonarzym będziemy pamiętać względym twoji osoby tyż. Ali brykaj Tońku, bo ci Szymonowa bramy zamknę.

Tońko: Oj, takuj, tak. Serwus Szczepciu.*

Wybacz, drogi Czytelniku, że zamiast skupić się na autobiografii, „zanurzyłem się” w dialogu Tońka i Szczepka na temat podróży do Afryki „prowadzonego w gwarze lwowskiej, inaczej mówiąc we lwowskim bałaku.

Teraz to ja batiar lwowski*** rozpoczynam swoją podróż „Ze Lwowa do Afryki!”

Mam nadzieję, że żaden murzyn mnie nie zje. Szczepciu jednak mówił, że można tam „zara tak o, za lasym, djamenty, złotu i inszy majontki, ino fajnu poszukać”.

W tej pierwszej mojej oceanicznej podróży prowadziłem prywatny dzienniczek, więc mogę dziś po 40 latach wiarygodnie opisać przebieg wydarzeń.

Dnia 7 lipca 1971 roku o godz. 11.40 wyszliśmy w morze. Jeszcze do godz. 15.20 „kręciliśmy się” po zatoce gdańskiej kalibrując kompas. O godz. 15.45 minęliśmy cypel helski, rozpoczęliśmy rejs. Bądź zdrów rodzinny kraju, kochana Ojczyzno. Aleńko, co chwilę jestem myślami przy Tobie i dławii mnie coś za gardło, chłopaki moi trzymajcie się zdrowo.

8 lipca godz. 14.00 wchodzimy do służby Kanału Kiłońskiego. Znalazłem się tutaj znowu po 20 latach (od pierwszego rejsu praktykanckiego w 1950 roku).

Czas kończyć moje rozmyślenia. Cumujemy w Hamburgu.

Z radością przyjmuję wiadomość: nie ma dla statku ładunku chłodzonego!

Mogę wyjść na kilka godzin na zwiedzanie miasta. Jeszcze trzeba było pobrać od ochmistrza przepustkę oraz zaliczkę dodatku dewizowego w wysokości 10 marek (z czego zwróciłem po powrocie 1 markę).

Do czasu spełnienia się mojego marzenia o pracy na morzu nie myślałem o sprawach finansowych, być może byłem pod urokiem piosenki, którą wraz z innymi dzieciakami śpiewałem o marynarzu, który „płynie do New Yorku – by zwiedzić cały świat – dolarów pełno ma w swym worku, jego jest cały świat”. Zastanowiłem

się, kiedy zdążę zbierać „ten worek marynarski dolarów”, jeżeli na razie otrzymuję dodatek dewizowy 94 centów amerykańskich za dobę i to jedynie spędzoną na morzu.

Jeszcze krótko, bez komentarza, przedstawię straty finansowe w ostatnim okresie. Stocznia 1970 – jako II mechanik średnio 7 800 zł miesięcznie. Polski Rejestr Statków – Rzeczoznawca Techniczny 3 500 miesięcznie. Polskie Linie Oceaniczne IV mechanik 2 600 złotych. Co tam pieniądze, jestem przecież marynarzem pływającym!**

Tak to, prawdopodobnie, coraz to będę wracał myślami do przeszłości. Wychodzę do miasta. Jest w zwyczaju marynarzy, że w obcych krajach nie chodzi się samotnie. Zabrałem się więc z grupą z naszego statku.



Zostałem zaprowadzony do sklepów specjalnie dla marynarzy, które były prowadzone przez polskich Żydów.

Oni byli dobrze zorientowani, czego w Polsce najbardziej brakuje i co należy u nich kupić, a po powrocie do kraju legalnie oclić i dobrze zarobić. Oczywiście, niczego nie kupowałem, bo nie miałem za co, ale pobierałem naukę na przyszłość. Po wypiciu halby piwa wróciłem na statek. Krótkie to było zwiedzanie miasta, nie była to grupa turystyczna! Być może w następnym porcie będzie inaczej.

Dnia 10 lipca o godz. 21.00 opuściliśmy Hamburg, obierając kurs na Antwerpię. Już w nocy następnego dnia zacumowaliśmy w Antwerpii. Statek odwiedzili przedstawiciele Ambasady Polskiej na czele z ambasadorem Kociolką. Tak, tak, żeby nie było żadnych złudzeń, to były wicepremier Polski, który 17 grudnia 1970 roku nawoływał strajkujących stoczniovców im. Komuny Paryskiej, żeby wrócili do pracy, a przy pomocy kolejki przywitały ich czołgi i salwy ostrą amunicją. Padli zabici i ranni. Teraz mogłem się przyjrzeć z bliska temu człowiekowi.

Wiadomości uzupełniające:

*Tońko i Szczepko w czasie II wojny światowej byli żołnierzami dywizji pancerniej gen. Maczka. Po wojnie

zamiast do domu we Lwowie, wrócili do Wielkiej Brytanii. Tońko pomimo wcześniejszych zastrzeżeń, że on by „tam nie pujechał, bu oni by mnie zara zjedli” znalazł się wprawdzie w Johannesburgu w Afryce (na podstawie: Dialogi radiowe z Wesołej Lwowskiej Fali, Lwów 1934, z posłowiem Jerzego Janickiego, Ossolineum reprint).

W drugim dniu postoju w Antwerpii spotkała mnie miła niespodzianka.

Spółka żegluga zorganizowała dla załogi wycieczkę do Brukseli. Oczywiście, mogli jechać jedynie wolni w tym czasie od obowiązków służbowych. Nie mieliśmy ładunku chłodzonego, więc mogłem skorzystać z okazji.

Odwiedziliśmy Brukselę, następnie miejscowość Teruren, gdzie znajduje się słynne muzeum z wypchanymi zwierzętami z Konga belgijskiego, po tym udaliśmy się do miasta Waterloo, gdzie w 1815 roku Napoleon I doznał klęski w bitwie z armią Anglii i Prus., co zdecydowało o jego upadku. Na statek wróciliśmy o godzinie 16.30, a już o godzinie 18.00 wyszliśmy w morze. Przed nami długa podróż non stop do portu Mombasa w Kenii. Planowany czas podróży to 24 dni!

Żegnaj Europo! Za dziesięć dni równik!

Dnia 14 lipca płyniemy przez Kanał La Manche. O godzinie 19.00 wychodzimy z Kanału, powitał nas Atlantyk.

Rozpoczęliśmy podróż przez Zatokę Biskajską. Przez cały następny dzień pogoda wspaniała, dopiero wieczorem zaczęło się chmurzyć wiać silniejszy wiatr poszedłem na mostek kapitański. Dowiedziałem się, że barometr spada. Po północy po lewej burcie światła latarni morskiej, to mijamy cypel na brzegu hiszpańskim, zakończyliśmy podróż przez Zatokę Biskajską. Stojąc na skrzydle mostku kapitańskiego, dosłownie chłonę widoki, które mnie otaczają, jednocześnie wsłuchuję się w rytmiczną pracę silnika napędzającego śrubę napędową statku. Same cisną się na usta słowa naszego hymnu ze szkoły morskiej (Huczą łłoki dość już zwłoki kurs na świt ...). Ponad trzy tygodnie rytm pracy silnika będzie nam towarzyszył w każdym pomieszczeniu. Silnik to produkt firmy Cegielski typu Cegielski Sulzer o mocy 8 tysięcy koni mechanicznych, pozwala to statkowi płynąć z szybkością 17,5 węzła (1 węzeł to jedna mila morska na godzinę, mila morska to 1853 m).

Dnia 16 lipca Atlantyk. Na trawersie Lizbona, godz. 20.00. W nocy samoczynnie wyłączyła się pompa wody morskiej chłodni prowiatowej. Zostałem obudzony.

Po usunięciu usterki technicznej postąłem trochę na pokładzie, obserwując na niebie wyładowania atmosferyczne daleko od nas na oceanie.

Ocean Atlantycki w ciągu dnia, przy słonecznej pogodzie, ma wodę koloru niebieskiego, prawie jak ultramaryna, wydaje się czasami, że jest zabarwiona.

Popularna w tych latach w Polsce piosenkarka pani Mirska śpiewała marynarzom, którzy odbywali rejs gdzieś na morzach świata – „Hej, chłopcy, morze ma barwę błękitną – Tam w kraju chabry błękitne już kwitną!”

Tak, to już połowa lipca, na pewno w kraju złoci się zboże z błękitnymi chabrami.

Po czterech dniach od wyjścia z Antwerpii, o godzinie 04.00 minęliśmy Gibraltar. Na statku przesuwamy zegary o jedną godzinę wstecz. Będę musiał się przy-

zwyczać, że w czasie rejsu co kilka dni będzie na statku następowała zmiana czasu.

Dzisiaj jest sobota, więc trochę kultury na statku. Po pierwsze to oficjalne otwarcie palarni oficerskiej, po tym pierwsza w tym rejsie projekcja filmu fabularnego (każdy statek wychodzący w rejs zabiera ze sobą około dziesięciu taśm filmowych, które w portach są wymieniane przy okazji spotkania innego statku PLO, jak również są wzajemnie pożyczane przez załogi obcych bander).

Po minięciu Gibraltaru płynęliśmy w dalszym ciągu w kierunku południowym w pobliżu wybrzeża marokańskiego. Mijamy Wyspy Kanaryjskie jest coraz cieplej. W porze południowej słońce stoi w zenicie. Dziwne to uczucie, gdy oglądając się dookoła nie można go znaleźć.

Dnia 19 lipca na trawersie Sahara Hiszpańska. Od dzisiaj zaczął się oficjalnie tropik! Minęliśmy Zwrotnik Raka. Widoczne oznaki tego faktu to: połowa grejpfruta na śniadanie, a szklanka wina na obiad. Od dnia dzisiejszego cała załoga pracująca na daymance (niepełniąca wacht) pracuje jedynie sześć godzin dziennie. Dnia 22 lipca po lewej burcie na trawersie Zatoka Gwinejska, przekroczyliśmy równik, ja po raz pierwszy w życiu. Załoga w dzisiejszym rejsie ma tyle pracy, że nie było czasu na ceremonię chrztu morskiego dla nowicjuszy. Wysłałem do domu telegram: Pozdrowienia równikowe – Tadeusz. Godzina 8.45, ryk syreny statku ogłosił Neptunowi i załodze o przejściu statku na półkulę południową.

Od dzisiaj jest czynny na rufie składany „bąsien pływacki”, wykąpałem się w wodzie z oceanu. Z Antwerpii przepłynęliśmy 3656 Mm* (Mm – mila morska). Do Mombasy pozostało jeszcze 5012 Mm, dobrze, że nieprzerwanie huczą tłoki.

Pogoda nam w dalszym ciągu dopisuje. Hi Press (klimatyzacja) pracuje, w kabinie 23 stopnie przy wilgotności 80%, woda za burtą 29 stopni Celsjusza, w siłowni przy stanowisku manewrowym 35 stopni. Załedwie wczoraj przekroczyliśmy równik, a już dzisiaj starszy mechanik wydał mi polecenie wyłączenia klimatyzacji. W dzień temperatura na zewnątrz wynosiła załedwie 25 stopni C. Z każdą godziną temperatura się obniżała. Wciąż przecież płyniemy w kierunku Antarktydy, a tam teraz sroga zima.

Dzisiaj miałem również przyjemność porozmawiania przez radiotelefon z żoną Alicją i synem Mariuszem.

Rozmowa bardzo krótka, słabo słyszalna, „kontrolowana” przez postronne osoby, oczekujące w kolejce na połączenie z Gdynią. Przypominało to rozmowy w więzieniu podczas tzw. widzenia z żoną. Byłem oddzielony od Niej metalową siatką, a w dodatku ze strażnikiem kontrolującym treść słów. Najważniejsze, że słyszeliśmy się. Na pewno przyzwyczaję się do tej scenarii. Dnia 28 lipca przeszliśmy Zwrotnik Koziorożca. Jesteśmy już poza strefą tropikalną.

Słońce, jak się dzisiaj pokazało, było nisko. Rano pojawiły się ptaki. Zobaczyłem dużą czarną mewę, ze skrzydłami na końcu białymi, prawdopodobnie nazywa się „burzyk”. Pojawił się również albatros. Podziwiałem jego lot tuż nad falami, szybuje wyginając końce skrzydeł prawie dotykając wody. Radio w kabinie już też zaczyna żyć! Z głośnika płynie afrykańska muzyka, robi się troszkę weselej. Męczy nas jednak od kilku dni

wysoka i długa oceaniczna fala boczna. W nocy nie ma mowy o spokojnym spaniu. Kadłub statku zdaje swój egzamin z wytrzymałości, a cały statek z „dzielności morskiej”. Często zdarza się, że pod wpływem dużego przechyłu statku w kierunku „dziób-rufa” śruba napędowa statku częściowo wynurza się z wody i wtedy wzrastają obroty silnika napędowego, wówczas regulator obrotów redukuje obroty i tak „w koło Wojtek”. Zamiast rytmicznej piosenki „Huczą tłoki...” śpiewam sobie jęczą tłoki.

Dnia 30 lipca w siedemnastym dniu podróży non-stop z Antwerpii widzę afrykański ląd. To Wybrzeże Południowej Afryki.

O godz. 17.14 mijamy przylądek Agullos najbardziej wysuniętym punktem na południe naszego statku. Od tego miejsca rozpoczyna się Ocean Indyjski. Statek powoli zaczyna kierować się na geograficzną północ.

Całą noc z 31 lipca na 1 sierpnia tak nas na boki kiwało, że do godziny czwartej nie spałem, tylko trzymałem się koi. Dzień przywitał nas pięknym słońcem, lecz w dalszym ciągu kładzie nas na burty. Z lądu stacja radiowa nadaje audycję w języku niemieckim. Słychać również piosenki wojskowe. Widocznie siedzą sobie tutaj ci, którym udało się uciec z Europy (po zakończeniu wojny).

Dnia 2 sierpnia wpłynęliśmy do Kanału Mozambickiego. Brzegów nie widać, ale (wierząc na słowo naszemu oficerom pokładowym) po lewej burcie jest Mozambik, a po prawej Madagaskar.

Dla nas na statku to wielka ulga, bo ustało to męczące kołysanie.

3 sierpnia przekroczyliśmy Zwrotnik Koziorożca, to znaczy, że powróciliśmy znowu do strefy tropikalnej. Uruchomiłem klimatyzację pomieszczeń załogowych.

6 sierpnia, po 24 dniach nieustannej podróży, zbliżamy się do portu Mombasa. Portu nad ranem jeszcze nie widać, ale czuję nowy zapach, to niesie się nad morze zapach kopry oraz zapachy różnych, nieznanych mi, przypraw spożywczych. Dym z ognisk, na których są gotowane posiłki ma zapach silnie aromatyczny, bo jako opał są używane różne drzewa tropikalne.

W samo południe wchodzimy na redę wewnętrzną, przy nabrzeżu nie ma miejsca wolnego, stoją statki różnych bander.. Rzuciliśmy kotwicę. Nastąpiła odprawa statku i załogi przez straż graniczną oraz celników. Najważniejsze w tej chwili, że dostarczyli załodze listy prywatne. Szczęśliwcy, w tym również ja, z dwoma listami zniknęli w kabinach. Pomimo tego, że są to na ogół wiadomości spóźnione, to przynoszą ulgę, bo rozwiewają złe sny i złe przeczucia. Z lądem mamy łączność motorówką. Część załogi wyruszyła na ląd. Ja na razie pozostaję na statku, bo od północy mam całą noc służbę. W porcie mechanik chłodniczy najczęściej pełni za II mechanika służbę nocną.

II mechanik wraz z motorzystami w ciągu dnia wykonują zaplanowane przeglądy oraz remonty.

Przepraszam bardzo czytelnika związanego z pracą na morzu, że opisuję powszechnie znane fakty z organizacji pracy na statku, ale mam nadzieję, że również jakiś „szczur lądowy” pochyli się nad tym marynarskim życiem.

Po dwóch dniach udało mi się wyruszyć do miasta i to w zorganizowanej grupie z przewodnikiem i mikrobussem za jedynie 50 centów amerykańskich od osoby.

Zaczęliśmy od odwiedzenia kościoła katolickiego. Krótką modlitwą podziękowałem Panu Bogu za bezawaryjną podróż z Europy do Afryki. Jeździliśmy trochę po mieście, przyglądając się wszystkiemu dookoła. Następnie poprzez most (z opłatą) pojechaliśmy w plener. Tutaj doznaliśmy dużo wrażeń. Dużo Murzynów na rowerach. Ubrani w krótkie spodnie i w podkoszulki, prawie każdy podkoszułek miał duże porwane dziury. W mieście Murzynki są ubrane w sukienki lub spódniczki i bluzeczkę, dużo z nich nosi peruki z długimi włosami. Tutaj, w plenerze, bez peruk i na biodrach jedynie kawałek kolorowej przepaski. Zajechaliśmy w taką okolicę, gdzie widzieliśmy skaczące po drzewach małpy w pobliżu mieszkalnych chat z patyków oblepionych gliną. Przyglądaliśmy się baobabom, tym ogromnym drzewom, o których do tej pory wiedziałem jedynie z powieści „W pustyni i w puszczy”. Postanowiliśmy w następną podróż zabrać ze sobą tę książkę.

Jadąc szosą zobaczyliśmy pracujące Murzynki przed chatami. Za skromną opłatą zrobiłem sobie z nimi zdjęcia.

Przejeżdżaliśmy przez różne dzielnice Mombasy, tam gdzie wspólnie mieszkają bogaci Biali i Czarni. Byliśmy, choć krótko, również tam, gdzie mieszka miejska biedota. Po czterech godzinach pełni wrażeń wróciliśmy na statek. Natychmiast przyjąłem obowiązki mechanika służbowego od kolegi, który zastąpił mnie w obowiązkach, bym po raz pierwszy w życiu zobaczył Afrykę z bliska. Wydawało mi się, że to nie jawa lecz sen.

Po kilku dniach postoju na kotwicy, wprowadzili nas do portu. Zaczumowaliśmy przy kei portowej, blisko bramy portowej, można było, w zależności od wolnego czasu, wychodzić ze statku. Woląłem jednak samemu nie wędrować po portowych zaułkach. Dowiedziałem się od załogi, że tutaj w Kenii u władzy jest prezydent Mzee Keniata, długoletni angielski więzień polityczny, który stał na czele ruchu niepodległościowego w Kenii, w czasach rządzenia Kenią przez kolonistów angielskich. Po uzyskaniu niepodległości przez Kenię został prezydentem. Wprowadził rządy silnej ręki, zapobiegając chaosowi w kraju, przestępstwa pospolite były mocno karane. Pozostawił nawet karę sądową w postaci bicia w piętę kijem bambusowym. W kraju zapewnił bezpieczeństwo narodowi i obcokrajowcom.

Po napisaniu listu do domu udałem się po raz pierwszy do Domu Marynarza, prowadzonego przez Kościół anglikański (tzw. „Flying Angel”). Tutaj można było kupić różnego rodzaju pamiątki, pocztówki i wysłać list do domu. Można było spokojnie spędzić czas w ciszy, bez hałasu statku, również popływać w basenie kąpielowym. Na miejscu była biblioteka, z której można było wypożyczyć niektóre książki zobowiązując się, że w innym porcie przekaże się ją w klubie „Flying Angel”. Ponieważ klub znajduje się niedaleko bramy portowej, samotnie wróciłem na statek, pozostała grupa marynarzy udała się do miasta. Tutaj należy coś wyjaśnić czytelnikowi. Dla większości załogi statku byłem człowiekiem niepewnym. Bo to już po czterdziestce, a dopiero IV mechanik, niby to jest kolegą starszego mechanika, rejs dalekomorski odbywa po raz pierwszy, dużo o wszystko wypytuje – lepiej uważać. Takie czasy, nikt nie chce stracić prawa pływania. Na razie to jak będę chciał iść do miasta, to będę „przyczepiał się” przy tra-
pie do wychodzących.

Miałem nadzieję, że w końcu znajdę kogoś z załogi, kto również jak ja będzie miał chęć zwiedzania miasta i okolic. Tak też się stało. Moim przewodnikiem, towarzyszem wędrówek stał się II oficer z pokładu. Rozpoczęliśmy od zwiedzania miasta, przypatrując się na ulicach przechodniom. Zauważyliśmy w przypadkowych przechodniach znaczną ilość Hindusów, z całymi rodzinami. Gdyśmy zawędrowali na plażę, na otwartym oceanie widziałem jak Hinduski pławiły się w falach morskich w tych sukienkach, w których chodziły po ulicach. Widocznie ich zasady moralne nie pozwalały im pokazywać się na plaży w strojach kąpielowych. Efekt był jednak taki, że namoczone ich sukienki i skąpa bielizna pod nimi ściśle przylegała do ciała, stwarzając wrażenie nagości. Skorzystałem z plaży i wykąpałem się w Oceanie Indyjskim.

Podczas następnej wędrówki zwiedziliśmy wytwórnię rzeźb wykonanych w różnym drewnie, w tym również w drewnie mahoniowym. Kupiliśmy drobne pamiątki oraz zrobiłem sobie na pamiątkę z Afryki zdjęcie ze sprzedawczynią.

Na ulicach, oprócz hałasu samochodów, słysząc było rytmiczną muzykę, najczęściej aktualny miejscowy przebój, który wkrótce zacząłem nucić „Malajka nakupenda Malajka, Malajka how I love You my Angel”.

Główna ulica wiodąca z portu do miasta to Kilindini Road, a na niej kilka barów Day & Night. W barach tych wieczorową porą odbywały się występy zespołów artystycznych i dancing, na którym można było potańczyć z przyprowadzoną partnerką. Plakaty reklamowe zachęcały do tańców, gwarantując w razie potrzeby partnerkę, również do tańca. Silny „zespół pod wezwaniem”, w tym ja, postanowiliśmy odwiedzić jeden z licznych barów. Przed wyjściem ze statku zostałem poinformowany, że obowiązuje nas marynarska zasada „ile osób wspólnie wychodzi tyle razem wraca” – bezpieczeństwo najważniejsze. Wybraliśmy bar o nazwie „Sun Shine”. Wstęp po trzy szylingi. Znaleźliśmy stolik blisko drzwi. Muzyka na razie z taśmy, rytmiczna i głośna. Światła fioletowe, dym z kadzidełek zapachowych. Na sali zobaczyliśmy mieszane towarzystwo białych ludzi. Podczas naszych obserwacji nawet się nie spostrzegłem, jak przy naszym stoliku siedziały już trzy młode Murzynki. Grzecznie się przywitały: „How do you do...”. Każda miała swoją szklankę z jakimś płynem. Mieliśmy więc towarzystwo. Oczywiście, można było grzecznie podziękować im za towarzystwo, ale jak mnie poinformowali koledzy, będzie to oznaczało, że się nam nie podobają i za chwilę przyjdą inne. A że były ładne, zaakceptowaliśmy bez zbytnich słów ich towarzystwo. Zamówiliśmy po piwie, rozpoczęły się występy zespołu regionalnego. Muzycy to grupa walcących w tam-tamy oraz Murzynka popisująca się piosenkami. Były również popisy polykaczy ognia oraz akrobatyczne przejście pod prętem położonym na dwóch pustych butelkach po piwie. Temperatura powietrza w pomieszczeniu wzrastała, więc coraz bardziej smakowały następne butelki piwa.

Rozpoczęły się tańce biesiadników. Tańce to podrygiwanie w takt rytmu wokół siebie. Dla wypoczynku czasem wokalistka zaśpiewała coś spokojnego, oczywiście był również przebój „Malajka, nakupenda Malajka”. Pozostawiliśmy te nasze Malajki, tłumacząc „duty is duty”, obowiązki na statku nie pozwalają nam dłużej

zostać. Tylko my wiedzieliśmy, że nasz fundusz rozrywkowy się wyczerpał. Pozostałe szylingi musiały wystarczyć na taksówkę, bo po nocach, nawet przez kilka ulic, lepiej było nie spacerować. Chociaż niby tutaj bezpiecznie. Taksówką spokojnie wróciliśmy na statek.

19 sierpnia o godz. 12.00 cała załoga na burcie, wyjście statku w morze. Postój w Mombasie trwał trzy-nastę dni. Statek obrał kurs na północ. Płyniemy do Somalii, do portu o nazwie Kismaju*.

Po drodze przekroczyliśmy równik. Niecałą dobę płynęliśmy od Mombasy. Do portu weszliśmy pomiędzy rafami koralowymi. Jesteśmy jedynym statkiem w porcie. Zapowiedziany postój – jedynie dwie godziny. Chciałem zwiedzić pobliski bazar arabski, lecz gdyśmy się grupowo tam wybrali, to arabscy handlarze nieprzyjaznymi gestami dali nam do zrozumienia, byśmy się zabierali. Za dwie godziny opuściliśmy ten niegościnnie kraj, udając się w kierunku Etiopii (dana Abisynia). Docelowym portem naszym był Assab w Zatoce Adeńskiej.

22 sierpnia o godz. 08.00 wpłynęliśmy do zatoki Adeńskiej. Minęliśmy kilka skalistych małych wysp i wpłynęliśmy do portu Assab. Jest to mały port, zaledwie kilka ulic. Rzuca się w oczy uroda ludzi. Szczupli, twarze śniade, kobiety, włosy długie. Byliśmy na spacerze z celem dotarcia do plaży, chcąc nazbierać na pamiątkę muszle i koralowce. Przechodziliśmy przez skupiska glinianek zamieszkałych przez robotników portowych. Jest to teren pustyński, sławi nas zapach rozgrzanego piasku zmieszanego z różnego rodzaju zanieczyszczeniami z osady ludzkiej, jak również rozkładających się ryb na brzegu Morza Czerwonego.

Powracając na statek zauważyliśmy mężczyzn rozkładających skromne derki lub kawałki kartonów na chodnikach w pobliżu portu i szykujących się do snu. Prawdopodobnie byli to zamiejscowi robotnicy portowi. Widok jednak przynębiający.

Po kilku dniach spędzonych w Assab przyплыliśmy do portu Jeddah w Arabii Saudyjskiej. Tutaj nie mieliśmy zezwolenia na zejście ze statku – powód? Jest to święta ziemia muzułmanów i nie mogą po niej stąpać innowiercy. Nie przeszkadza im to jednak zatrudniać jako robotników portowych Filipińczyków, którzy w większości są katolikami.

Następna nasza podróż to podróż do portu w Jordanii, o nazwie Akaba w zatoce o tej samej nazwie. Po wpłynięciu do zatoki płynęliśmy mając na trawersie lewej burty góry Synaj, aktualnie okupowane przez wojska izraelskie. W porcie woda za burtą miała temperaturę 32 stopnie i tak znaczne zasolenie, że będąc na plaży położyłem się na wodzie, ubrany w buty „gumia-ki”, spokojnie leżałem, przyglądając się różnobarwnym i różnokształtnym rybkom, na ogół wielkości śledzi. Chciało się dosłownie krzyczeć z zachwytu, lecz z powodu zanurzonej twarzy w wodzie trzeba było zachować spokój. Kilka razy jednak, gdy rybka podpływała do mojej ręki, dostawała delikatnego pstryczka w nos. Wyszedłem z grupą członków załogi również za bramę portową po drodze na terenie portu, zauważyłem wielkie hałdy worków z napisami, że jest to dar narodu amerykańskiego. Niektóre worki były porozrywane. Wysypywała się z nich mąka. Całość bez żadnego przykrycia. Po wyjściu za bramę portową spotkaliśmy Arabów proszących nas „give me bakszysz”, wyciąga-

jąc do nas ręce w geście żebraczym. Tam za bramą psująca się mąka, a tu żebracy.

Jaka szkoda, jesteśmy tak blisko Ziemi Świętej, lecz teraz trwa wojna arabsko-izraelska, dlatego też, choć tak blisko Europy, musimy w drodze powrotnej do kraju odbyć ponownie podróż dookoła Afryki.

Opuściliśmy Akabę i jak by nie liczyć, to „każdy obrót śrubki bliżej chatupki” (do rymu można zdanie kończyć inaczej).

Przed nami kolejny port: to port Sudan. Tutaj dla mnie znowu dużo wrażeń. Po pierwsze to wygląd robotników portowych. Wielu z nich to młodzieńcy szczupli wzrostu około 1,8 m, cery śniade, włosy wysmarowane swoją brylantyną, to jest schodami pustynnych sępów, w to wpięte drewniane widelki służące do wyczesywania z włosów robactwa. Statek szybko został nasycony ich zapachem, ponieważ zaroilo się od nich również na korytarzach. Smakowało im bardzo spożywane na miejscu polskie piwo, płacili tutejszą walutą, za którą z kolei można było kupić czerwoną herbatę „karkadi”. Skorzystałem z oferowanej taniej wycieczki szalupą z oszklonym dnem nad rafami koralowymi. W Akabie, jak opisywałem, różnorodność ryb. Zachwycałem się nimi, nie miałem pojęcia o tym bogactwie ich barw i kształtów. Milczałem, bo miałem twarz zanurzoną w wodzie, tutaj wszyscy uczestnicy, obserwując życie nad rafami, zachowywali się jak dzieci, bez przerwy wydawali z siebie okrzyki podziwu.

W porcie robotnicy kończyli załadunek bawełny. Z nieba lał się żar, myśmy tylko przez bulaje obserwowali ich metodę pracy. Jak podjechał samochód z białymi bawełnami, to robotnicy rozpoczynali swój piekielny taniec, to znaczy rozpoczynali rytmiczny śpiew i w jego rytm przetaczali bele bawełny pod statek. Następnie dźwigami portowymi do ładowni. Tam również Sudańczycy w rytm tej samej melodii układali je ściśle, żeby na morzu podczas sztormu ładunek się nie przesunął. Jak bawełna z samochodu została przetransportowana do ładowni, urywał się śpiew, trwała w cieniu chwila odpoczynku do czasu pojawienia się następnej partii załadunku.

9 września opuściliśmy Zatokę Adeńską, znowu jesteśmy na Oceanie Indyjskim, kierujemy się na południe, następny port to, po raz drugi, Mombasa. Chociaż zbliżamy się po raz trzeci do równika, to jest już czym oddychać. Temperatura wody zaburtowej gwałtownie spadła z 31 na 23 stopnie.

W Mombasie agent przyniósł korespondencję dla załogi, w tym i dla mnie dwa listy od żony. Dowiedziałem się z nich, że Mariusz, nasz młodszy syn, rozpoczął naukę w Technikum Leśnym w Tucholi. Sam wybrał sobie ten dalszy kierunek nauki.

Przykro nam, rodzicom, z powodu opuszczenia przez niego domu rodzinnego. Zamieszkał w internacie przy technikum, 150 km od domu. Czyżby miało się w przyszłości spełnić moje więzienne marzenie o życiu w leśniczówce?

Z treści listu łatwo można było się domyślić, że sytuacja finansowa aktualnie w domu jest trudna. Ponieważ istniała możliwość przesłania do kraju, „na ręce” żony zarobione dewizy, postanowiłem wysłać część do domu.

Po załadunku zielonej kawy w Mombasie zawinęliśmy jeszcze do portu Mtwara w Tanzanii. Kilka słów

o Tanzanii. Obszar 939 524 km kw., ludność 10 310 tys., stolica Dar es Salaam (1964 r.).

Tanzania leży w Afryce Wschodniej i graniczy na północy z Kenią, Jeziorem Wiktorii, Ugandą i Burundi; na zachodzie z Ruandą i Burundi, a przez jezioro Tanganika z Demokratyczną Republiką Konga, na południu z Zambią oraz Mozambikiem, na wschodzie z Oceanem Indyjskim.

Port Mtwara, do którego zawinęliśmy, znajduje się niedaleko granicy z Mozambikiem.

Nic specjalnego nie utrwaliło się w pamięci.

21 września, w 76 dniu rejsu, wypłynęliśmy z Mtwary. Rozpoczęliśmy podróż do portu Avonmouth w Anglii (niedaleko miasta Bristol).

Od dnia 25 września, na polecenie starszego mechanika rozpocząłem pracę jako mechanik wachtowy w zastępstwie II mechanika.

Teraz moja praca wygląda następująco. Wachta w siłowni od 08.00 do 12.00 i od 20.00 do 24.00. Oczywiście, w dalszym ciągu jestem mechanikiem chłodniczym.

Przyda mi się to wciągnięcie do pracy na wachtach, bo przecież moim celem jest jak najszybsze zdobycie praktyki zawodowej na wszystkich stanowiskach, co jest jednym z warunków otrzymania dyplomu I klasy. Nastrój na razie nie za bardzo, trudno na stare lata zaczynać wszystko od nowa. Widocznie mam taką niepokojną duszę, która rwie się cały czas do zamierzonego celu.

Na wachtach przy stanowisku manewrowym.

Kilka słów o tym, jak wygląda praca na statku w czasie pobytu na morzu. Czasami bez przerwy, nawet przez miesiąc, w siłowni. Nadzór nad pracującymi mechanizmami pełnią mechanicy wraz z motorzystami. Czas trwania wachty to cztery godziny (dwa razy na dobę). W siłowni panuje, w tropiku, w najchłodniejszych miejscach: 40-45 stopni Celsjusza (średnio). Przy tym męczący hałas ponad 120 decybeli, dodatkowo szum wentylatorów. Najgłośniejszym źródłem hałasu są generatory prądowców. Do tego dochodzi jeszcze „wycie” kilku pomp, wirówek oczyszczających paliwo. W tych warunkach na kilku piętrach siłowni porusza się mechanik i za pomocą dotyku ręką mierzy temperaturę. Wyostrzonym słuchem wyszukuje, czy nie pojawia się „obcy” hałas. Własnym nosem wychwytyuje niewłaściwe zapachy. Po każdym obejściu siłowni chwila odpoczynku, spozieranie na wiszący zegar czasowy w pobliżu stanowiska manewrowego, ile jeszcze czasu pozostało do zakończenia wachty. Palacze tytoniu kilka razy w czasie wachty wychodzą do mesy na papierosa. Ja, w charakterze „rekompensaty” za to, że jestem niepalący, wychodziłem na kilka minut na pokład, by „napić się” tyk świeżego powietrza.

Na ogół wachta nie polega jedynie na nadzorze pracy mechanizmów. Przecież wszystkie mechanizmy na statku „od masztów aż po stępkę” są „rozdzielone” pracą i odpowiedzialnością pomiędzy mechaników, więc podczas wachty były również przeprowadzane remonty i konserwacje, co przy warunkach tropikalnych bywało nieraz maksymalnie wyczerpujące.

26 września minęliśmy przylądek Dobrej Nadziei, powoli kierujemy się na północ. Jesteśmy już na Oceanie Atlantyckim.

3 października – równik po raz czwarty! Gdy syrena statku ogłosiła, że przekraczamy równik, napelniliśmy basen pływacki i wykąpaliliśmy się w wodzie równikowej, za burtą fruwały latające ryby, a przed dziobem statku pływały „zabawiające się delfiny”. Z przyjemnością wiele godzin spędziłem obserwując ich igraszki aż do zachodu słońca, które tonęło w wodzie oceanu. Hen, daleko, tam gdzie znajduje się kraina marzeń marynarzy, Ameryka Południowa. Z ciekawością przyglądałem się latającym rybkom. Po wyskoczeniu z wody naprawdę nie tylko szybują za pomocą płetw, ale również poruszają nimi w powietrzu jak ptaki skrzydłami.

Jeszcze jedna geograficzna wiadomość. Na równiku nie jest wcale najcieplej! Równik „temperaturowy” leży 10 stopni powyżej równika geograficznego. Półkula północna naszej Ziemi jest cieplejsza od południowej.

6 października minęły trzy miesiące naszego rejsu, wnet będzie 100 dni. Na razie jesteśmy na wysokości Dakaru. Od kilku dni mamy piękną pogodę. Wolny czas załoga spędza na opalaniu, bo lada dzień znajdziemy się w jesiennej porze. Psycholodzy stwierdzają, że po tym czasie przebywania na statku należy się urlop. W siłowni są jeszcze wysokie temperatury, przy stanowisku manewrowym przy pełnej pracy wentylacji jest 37 stopni. Żyjemy wszyscy już atmosferą powrotu. Na statku w rejsie praca: odbywają się zaległe przymusowe szkolenia „ideologiczne” dla całej załogi bez wyjątku. Kierownicy działów przy akceptacji tak zwanego „kolektywu” opracowują opinie, wnioski awansowe. Zapewne również ci, którzy ściśle współpracują z aparatem politycznym przedsiębiorstwa zastanawiają się co i na kogo „uprzejmie donieść”.

Głośno lub cicho następuje wzajemna informacja na temat handlu marynarskiego, to znaczy, co w Europie Zachodniej kupić za zaoszczędzone dewizy, żeby zakupiony towar sprzedać z najwyższym zyskiem w kraju.

Na różnych liniach żeglugowych – różnie to bywa. Na linii, na której jestem to pływają załogi, które albo nie chcą albo nie potrafią „zajmować się handlem”.

Towar wywożony przez marynarzy z Kraju w tym czasie to: krem Nivea, woda po goleniu o nazwie „Prastara”, cukierki, sandały, buciki, koszule itp. Teraz, w zależności, ile kto wniósł na statek, tyle mógł poszaleć w krajach o niższej stopie życiowej. Zaoszczędzone dewizy to jedyny zysk. Piszę tych kilka słów, bo mam nadzieję, że komuś z czytelników przybliży znaczenie popularnego hasła „handel marynarski”.

W tym moim pierwszym rejsie zorientowałem się, że z tym marynarzem, co to pełno dolarów ma w swym worku – coś nie tak.

Wróć do chwili do rozmowy Tońka ze Szczepkiem zamieszczonej na początku mojego opracowania.

Szczepko zwraca się do Tońka, tłumacząc mu, ile tam w Afryce jest bogactwa: „A zara tak o, za lasym, djamenty, złotu i inszy majontki, – inu fajnu poszukać”. Muszę powiedzieć, że „łaziłem gdzie tylko si dało, poszukiwałem, ale niczego nie znalazłem”. Ali szczęśliwie opuściłem Afrykę. Muszę przyznać, że Szczepko prawdę bałakał: „Tat ty si namnij mógłby bać, bu oni świrków w każdym razi ni jedzu”.

8 października na Atlantyku na trawersie po lewej burcie Wyspy Kanaryjskie. Od dwóch dni przez radio kabinowe słucham muzyki hiszpańskiej.

10 października mineliśmy przylądek „ciepłych gaci”, tak marynarze nazywają Przylądek św. Wincen- tego na południu wybrzeża Portugalii. Na razie zakła- damy spodnie z długimi nogawkami i ciepłe koszule. Zatokę Biskajską przepłynęliśmy łagodnie i po kilku dniach zawinęliśmy do portu angielskiego Avonmouth (niedaleko Bristolu w południowej Anglii).

Po raz pierwszy zawinąłem do Anglii. Opiszę kilka przeżyć oraz poczynionych obserwacji dotyczących minionego okresu historycznego.

Natychmiast po zacumowaniu statku robotnicy por- towi rozpoczęli wyładunek worków z zieloną kawą. Podczas pracy dźwigów, z niektórych nieszczelnych worków sypała się kawa na pokład, którą nasza załoga pokładowa zamytała na jedno miejsce. Ktoś zapytał brygadzysty robotników, czy marynarze mogą te zmiotki „posprzątać”. Otrzymali odpowiedź pozytywną, więc skwapliwie pobierali do ostatniego ziarna.

Widocznie któryś z robotników przyglądał się temu zbieraniu, bo po pewnym czasie w następnej partii ładunku znajdował się rozpruty worek, z którego wysy- pała się taka ilość kawy, że „zmiotków kawowych” wy- starczyło dla całej załogi statku.

Wybrałem się z kilkoma ze statku na ląd, wiadomo, pod wieczór celem był widoczny pobliski bar piwny. Naśladując moich towarzyszy „wycieczki” wziąłem zwiększoną ilość paczek amerykańskich papierosów, bo za nie w barze można było napić się piwa.

Dopiero gdy zbliżaliśmy się do bramy portowej i nie- daleko niej zauważyłem stojącego policjanta, zdałem sobie sprawę, że jak nas zrewidują, to drogo będzie nas to piwo kosztowało!

Gdy spotkały się moje oczy z oczami policjanta, wręczyłem mojemu koledze aparat fotograficzny, pro- sząc żeby zrobił mi zdjęcie z tym typowym angielskim mundurowym policjantem. Gdy zbliżyłem się do niego, przedstawiłem się, po czym mówiąc prawdę, że jestem po raz pierwszy w Anglii, poprosiłem o wspólne zdjęcie. Po kilku uprzejmych zdaniach zdjęcie zostało wyko- nane.

Po szczęśliwym przekroczeniu bramy portowej po- stanowiłem nigdy więcej nie „warzyć” sobie takiego piwa.

Następnego dnia, w niedzielę, z grupą marynarzy udałem się miejskim autobusem do pobliskiego miasta Bristol na Mszę Świętą w kościele dla Polaków.

Po nabożeństwie zostaliśmy zaproszeni do klubu parafialnego na lampkę wina. Oczywiście, byliśmy wy- pytywani przez Polaków o sytuację w Polsce. Pamięta- liśmy o tym, że za kilka dni znajdziemy się w kraju za „żelazną kurtyną”, więc odpowiadając na pytania sta- raliśmy się tak mówić, żeby nic nie powiedzieć, tym bardziej że wiszący na ścianie olbrzymi portret Mar- szalka Piłsudskiego przypominał nam, „przedstawicie- lom kraju bloku sowieckiego”, że tutaj nie nasze miej- sce. To nic, że pod portretem przypadkowo usiadł se- kretarz PZPR z naszego statku.

Wracam do zapisków w pamiętniku. W poniedziałek dnia 18 października o godz. 16.50 opuszczamy port Avonmouth. Po przejściu przez służbę portową płyniemy wzdłuż brzegu. Jest deszczowo. Woda morska brudna, koloru żółtego, wpadająca w kolor brązowy. Radio bez przerwy nadaje najnowocześniejsze przeboje muzyki rozrywkowej. Rozpoczęliśmy przedostatnią podróż

w tym rejsie. Płyniemy kursem na port Dunkierka we Francji. Cały statek pachnie paloną kawą. To załoga zmienia „zmiotki” zielonej kawy na produkt nadający się do oclenia w Gdyni.

Kuchnia statku na całą noc zamieniła się w palarnię kawy.

Następnego dnia, w czasie sztormu, silnik napędo- wy statku omalże nie zatrzymał się z powodu zatkania się filtrów oleju smarnego. Przyczyna to nagromadze- nie się, podczas spokojnego morza, przez dwa tygo- dnie osadów produktów spalania na dnie zbiornika ole- ju obiegowego silnika. Podczas sztormu, gdy wystąpiły znaczne przechyły statku osad ten nagle dostał się do filtrów, nastąpił spadek ciśnienia oleju, wtedy działa automatyczne odcięcie paliwa napędowego, silnik główny, statek staje się igraszką fal morskich.

Zatrzymanie silnika na morzu podczas silnego sztormu to krok od tragedii – zatonięcia statku.

Przeprowadzone błyskawiczne czyszczenie filtrów zapobiegło, być może, katastrofie.

Następnego dnia zacumowaliśmy w Dunkierce. Po wachcie wyszedłem sam na zwiedzanie miasta.

Idąc bez celu, krok za krokiem, zawędrowałem na plażę, gdzie zobaczyłem pomnik w postaci tablicy pa- miątkowej, na której przeczytałem, że tutaj podczas wojny w roku 1940 odbywała się ewakuacja wojsk an- gielskich (w tym również i polskich) pod gradem bomb samolotów niemieckich do Wielkiej Brytanii. Wielu z nich tutaj poległo. Nie miałem na tyle czasu, żeby po- szukać cmentarza wojennego. Postanowiłem uczynić to w następnym rejsie.

22 października o godz. 11.40 zakończyliśmy ma- newry wyjściowe z Dunkierki. Następny port docelowy przed nami to Gdynia! Jakie wrażenie? – Zapisalem w pamiętniku: „chyba apatia, zmęczenie i radość z tego, że zobaczymy się z najbliższymi”.

Podczas rejsu zapuściłem sobie brodę, bo chyba tak powinien wyglądać „wilk morski”. W następnym rej- sie dla odmiany prawie połowa załogi statku po opu- szczeniu Europy, płynąc do Afryki wschodniej ostrzygła włosy na tak zwaną „pałę”, czym niespodziewanie dla nas wzbudziliśmy sensację w niektórych portach (sądzi, że jesteśmy karną kompanią). W nocy dnia 24 października szczęśliwie zacumowaliśmy w Gdyni. Wielka radość ze spotkania z żoną, z którą mamy sobie tyle do opowiedzenia, ale czy zdążymy?

Wyjście statku w morze w następny rejs planowane jest na dzień 7 listopada.

Pierwszy mój rejs trwał 110 dni. W czasie rejsu wypłacono mi 103,40 \$ amerykańskich, co wynosi 0.94 \$ za dobę rozłąki.

Dostarczyłem do Gdańskiego Urzędu Morskiego oddział Gdynia potrzebne dokumenty do wydania wy- ższego dyplomu morskiego, to jest Oficera Mechanika III – klasy.

Uzupełnienie brakujących informacji

Agent to przedstawiciel Agencji Morskiej, z którą właściciel statku, czyli Armator zawiera umowę o świadczenie wszelkiej pomocy prawnej na terenie portu cumowania statku, w tym również sprawy socjal- ne załogi.

*Somalia – Republika Somalii. Założona w 1872 r. przez sułtana Zanzibaru. Ośrodek handlu bydlęm, skó-

rami, rybami. Wyrób wody destylowanej. Klimat: temperatura wyrównana 27 stopni C. Pory deszczowe: marzec – maj, i wrzesień – grudzień. Ustrój: X w. Arabowie, XV i XVII Portugalczycy, XVIII w. sultan Omanu XIX w. – Włosi i Anglicy. Od 1960 r. kraj niepodległy.

Zgodnie z planem, w dniu 7 listopada wyruszyliśmy w drugi rejs do portów Wschodniej Afryki. Rejs ten był planowany na 150 dni.

Dopiero teraz zdałem sobie sprawę z tego, jak wyglądają rozłąki na tak długi czas z najbliższymi. Przecież to dopiero jesień, a mamy powrócić dopiero na wiosnę, tyle może się w tym czasie wydarzyć, nie tylko dobrego! Przed nami Święta Bożego Narodzenia na morzu. Tak chciałem! Tak o to walczyłem, ale czy w pełni świadomy tego, co to znaczy, jakie skutki negatywne na życie rodzinne niosą ze sobą te długie nieobecności w domu rodzinnym męża i ojca. Ze smutkiem patrzyłem na znikające światła Gdyni.

Powiedziałem sobie, że jeżeli wytrzymałem moment, w którym usłyszałem wyrok sądu wojkowego, który skazał mnie na 7 i pół roku rozłąki, to co to dla mnie, te 150 dni.

W moim pierwszym rejsie pisałem pamiętnik, więc mogłem dokładnie prawie dzień po dniu opisać życie na statku. Teraz mogę jedynie skorzystać z dokumentów służbowych. Ciekawe przeżycia z Linii Wschodnioafrykańskiej, pomimo tego, że minęło już 40 lat, tkwią w mojej pamięci ze wszystkimi szczegółami, choć za kolejność tych zdarzeń głowy nie dam, a więc do roboty. Na początku, co mówią zapisy w Książeczce Celnej.

Rejs II M/S Zygmunt Stary. Stanowisko: mechanik chłodniczy. Czas trwania: 154 dni, to jest od 07.11.1971 do 08.04.1972 r. Po powrocie odebrałem z Urzędu Morskiego przyznany mi dyplom Oficera Mechanika III klasy.

(c.d.n.)

Stanisława Marta Kot

„Głoście prawdę, przebaczcie, ale pamiętajcie!”

*Jak zwierciadło każdemu podając do oczu,
A może żywiej zadręga zbiorowe sumienie
Co dziś jak mętna rzeka historią się toczy.*

Jest to fragment wiersza poety Zygmunta Jana Rumla, który jako Delegat Rządu Polskiego udał się na pertraktacje z Ukraińską Powstańczą Armią (UPA) o zaprzestanie mordowania ludności polskiej. W lipcu 1943 roku koło wsi Kustysze został zamordowany przez bandy UPA wraz z osobą towarzyszącą i przewodnikiem, poprzez rozerwanie jego ciała końmi (miał 28 lat).

W 70 rocznicę rzezi wołyńskiej – słowa tego wiersza, jak przykre echo wołają o zbiorowe sumienie.

Jesteśmy świadkami głosowania w Sejmie RP, głosami 222 posłów uznano, że tamta tragiczna śmierć 200 tysięcy Polaków zamordowanych przez bandy OUN-UPA nie była ludobójstwem, a nosi tylko „znamiona ludobójstwa”. Jaka jest znajomość historyczna głosujących, czy jak mówi poeta – „mętą rzeka”?

Walka o prawdę, o oddanie należnej czci pomordowanej w okrutny sposób ludności polskiej obecnie nazywana jest słowami zastępczymi, a to męczeństwem, a to konfliktem polsko-ukraińskim, a to walkami bratobójczymi, a ludobójstwo to tylko „znamiona ludobójstwa”.

Co dzieje się z naszymi elitami, dlaczego wstydzą się tej klęski, dlaczego pokutuje strach, jak w tym potocznie używanym powiedzeniu – strachy na Lachy?

Podczas ostatnich obchodów 70. rocznicy rzezi wołyńskiej, w prasie ukazały się publikacje świadczące jakby nie było po Wołyniu ludobójstwa na terenach południowo-wschodnich II RP, w województwie tarnopolskim, stanisławowskim i lwowskim, a do roku 1947 również w rzeszowskim i lubelskim.

Szlachetną odwagę wykazały Sejmiki województwa opolskiego i lubuskiego ustanawiając dzień 11 lipca każdego roku – Dniem Pamięci Ofiar Ludobójstwa na Kresach Wschodnich II Rzeczypospolitej.

Postanowienia podjętych uchwał zostały skierowane do Sejmu, niestety głosowano w sposób jak wyżej, nie uznając jednoznacznie, że było to ludobójstwo.

Komu zależy na tym, ażeby prawda o ludobójstwie na Kresach była zagmatwana, zacierana, lekceważona? Komu zależy na tym, ażeby w świadomości młodego pokolenia w naszej Ojczyźnie, a także na Ukrainie nie budować wspólnej przyszłości na prawdziwie historycznej? Czy na pytania odpowiedział już Czesław Niemien słowami piosenki „Dziwny jest ten świat”? Boskie przykazanie „nie zabijaj” nie obowiązywało w bandach UPA, a obecnie lekceważy się przykazanie „nie mów fałszywego świadectwa”, a także „miłuj bliźniego swego jak siebie samego”.

Powrót do wartości chrześcijańskich jest jedyną drogą pojednania pomiędzy naszymi narodami.

W dniu 28 VI 2013 r. została podpisana Deklaracja pomiędzy Episkopatem Polski (abp Józef Michalik Przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski), a Episkopatem Ukraińskiego Kościoła Greckokatolickiego (Świętoław Szewczuk Arcybiskup Większy, metropolita kijowsko-halicki).

Na szczególną uwagę zasługują słowa wypowiedziane przez abp. Światosława Szewczuka: „A jeżeli kierujemy do braci z Polski prośbę o wybaczenie, oznacza to, że czujemy się winni”. Jeżeli za tymi słowami władze na Ukrainie postąpią, pokolenie Kresowian może doczekać się spełnienia słów poety, że „żywiej zadręga zbiorowe sumienie”. niesprawiedliwa ocena tragicznego mordu ludności polskiej nadal boli, bo ludobójstwo nie zostało ani potępione, ani ukarane.

Nie jest tajemnicą, że na Ukrainie (Zachodniej) broni się dobrego samopoczucia katów, uznając ich za bohaterów narodowych. Imieniem twórców nacjonalizmu faszystowskiego nazywane są ulice, place, stawiane pomniki, przed którymi defiluje obecnie

młodzież ukraińska, to budzi niepokój, pamięć o zbrodniach powraca.

W Polsce powstało wiele pozycji książkowych, opracowań historycznych tamtych wydarzeń z lat 1939–1947 świadczących o rozmiarach zbrodni, a jako zbrodnia wojenna i przeciw ludzkości nie ulega przedawnieniu (26 XI 1968 r. uchwała ONZ z inicjatywy Polski). Bezzasadne są więc stwierdzenia ze strony naukowców i historyków Ukrainy, że ten okres należy poddać szczegółowemu badaniom przez historyków.

Wbrew wielu przeciwnościom Polacy mają odwagę upomnieć się o prawdę. Powstało wiele tablic upamiętniających ludobójstwo OUN-UPA.



W dniu 12 lipca 2013 r. odbyło się uroczyste odsłonięcie pomnika w Lubinie w Zagłębiu Miedziowym. Wszyscy zabierający głos podczas tej ceremonii mówili jednym głosem: To było ludobójstwo!

Obelisk odsłonięto i poświęcono na skwerze przy kościele Najświętszego Serca Pana Jezusa, tuż obok rosnącego tam dębu papieskiego.

Uroczystość z udziałem przedstawicieli władz miejskich, powiatowych i kombatanckich oraz młodzieżowych, licznych mieszkańców miasta poprzedziła Msza św. koncelebrowana pod przewodnictwem dziekana dekanatu Lubin-Wschód ks. prałata Wiesława Migdała. On też dokonał później aktu poświęcenia.

Starosta lubiński Adam Myrda powiedział, że obelisk powstał z patriotyzmu, nie jest sprzeciwem wobec kogokolwiek, ale po prostu ma upamiętnić zmarłych w tragicznych okolicznościach.

Reprezentujący prezydenta Lubina Roberta Raczyńskiego, dyrektor Ośrodka Kultury dr Marek Zawadka stwierdził, że patrząc na zachowanie posłów można domniemać, że Polacy wstydzą się swojej historii.

Na lubińskim obelisku widnieje złoty orzeł w koronie, na którym znajdują się słowa bł. Jana Pawła II – *Głoście prawdę, przebaczcie, ale pamiętajcie, a poniżej: Pamięci ofiar ludobójstwa na Kresach Wschodnich II Rzeczypospolitej. Lubin, lipiec 2013.*

Jego autorem jest znany lubiński rzeźbiarz Jan Wojdyło. Monument powstał z inicjatywy Stowarzyszenia Budowy Pomnika Pamięci Ofiar Ludobójstwa na Kresach II RP. Przewodniczącym stowarzyszenia jest Antoni Madera.

Dalsza część uroczystości lubińskich odbyła się w Kaplicy św. Jadwigi na Wzgórzach Zamkowych – był to wieczór wspomnień.

Prelekcję na temat wydarzeń wołyńskich wygłosił przedstawiciel Oddziału IPN Wrocław Łukasz Sołtysik.

Poproszono też Stanisławę Kot, autorkę książki „Gdyby orłem być” o podzielenie się opiniami i faktami z książki.

Autorka zwróciła szczególną uwagę na obecną sytuację relacji polsko-ukraińskich, na próby pojednania, które są jak gdyby „prośbą” ze strony polskiej, aby obecna Ukraina uznała tamte tragiczne wydarzenia jako zło, które należy potępić.



To co dzieje się na Ukrainie i w Polsce jak gdyby oddala czas prawdziwego pojednania. Tak często w prasie i w wypowiedziach słyszy się słowo „Galicja”, a od czasu odzyskania niepodległości w 1918 r. tam na Wołyniu, Podolu, Pokuciu była Polska, czas austriackiej Galicji skończył się. Wydawany we Lwowie polski tygodnik „Kurier Lwowski” został sześć lat temu przemianowany na „Kurier Galicyjski”, bo Lwów kojarzy się z polskością.

Obecnie uczeni ukraińscy proponują w imię poprawności politycznej, aby nie używać słowa „kresy”, bo w umysłach Ukraińców jest to „jednoznacznie negatywne”, bo centrum Kresów jest w Warszawie, a nie w Kijowie (Kurier Galicyjski nr 1 z dn. 13–30.01.2013 r.).

O swoim pobycie na Ukrainie w 2007 roku i odwiedzeniu zapamiętanych z dzieciństwa miejscowości stwierdza, że po 65 latach istnieją jeszcze ruiny kościołów w Horozance i Podhajcach, a dawne miejsca dobrze zagospodarowanych ziem – to step porośnięty dziką roślinnością.

W domach Ukraińców na kwaterach byliśmy przyjmowani przyjaźnie, a nawiązane rozmowy na temat wydarzeń wojennych i o Stepanie banderze są przekonani, że jest to bohater narodowy, pokazano nam wiele zdjęć, jak to dzieci i młodzież ukraińska w hołdzie defiluje pod jego pomnikiem. Nie rozumieją, dlaczego my, Polacy, ze łzami w oczach wspominamy tego „bohatera”.

O przeżytych cudem napadów na Panowice, a szczególnie ostatniego z dn. 15.08.1944 r. wspomina tragiczny bilans, zginęło 22 osoby, 17 osób odniosło rany, spalonych zostało 35 zagród. Dzięki ofiarności członków Samoobrony atak został odparty, a uratowana ludność dalsze schronienie znalazła w Podhajcach.

Smutkiem napawa „odgrzewanie” operacji Wisła przez mniejszość ukraińską w Polsce i stosowanie tego wydarzenia w Bieszczadach jako przeciwwagi do ludobójstwa na Kresach. Te wydarzenia w żaden logiczny sposób nie powinny być porównywane, a wystąpienia mniejszości ukraińskiej do Sejmu EP o potępienie ope-

racji Wisła nazywanej „Akcją Wisła” (kryptonim akcji eksterminacyjnej) jest głęboko upokarzający dla żyjących jeszcze Kresowian.

W tym miejscu budzi się pytanie, czy mniejszość polska na Ukrainie ma odwagę do występowania do ich parlamentu o potępienie ludobójstwa i eksterminację Polaków. Oni tam nadal w wielu przypadkach nie mają odwagi przyznać się do polskości.

Na zakończenie podkreśliła, że pod takimi pomnikami, jak ten odsłonięty w Lubinie, będą uczyć się prawdy historycznej młodzi Polacy, a twórcom należy się cześć i chwała.

Wieczór wspomnień wypełniony był wypowiedziami wielu uczestników, przywołano smutne szczegóły z okresu wielkiej pogardy dla człowieka, która była przez OUN-UPA uznawana za bohaterstwo, a jak to wygląda obecnie – należy pojechać na Ukrainę.

Wiele głosów wyrażało niepokój, że rozbudzony nacjonalizm o znamionach faszystowskich w zachodniej Ukrainie jest poważnym zagrożeniem, nie tylko dla pojednania naszych narodów.

Wieczór ten zakończono podziękowaniami za spotkanie ludzi Kresów zatroskanych o spokojne współistnienie narodów Polski i Ukrainy. □

Lesław Lech

Wrocławski jubileusz Kresowian

We Wrocławiu w dniach 21–22 września 2013 r. odbyły się uroczystości 25-lecia powstania Towarzystwa Miłośników Lwowa, którego nazwę później rozszerzono dodając „i Kresów Południowo-Wschodnich”. W 25-lecie istnienia Kresowianie spotkali się we wrocławskiej Filharmonii, w której w 1988 roku odbyło się pierwsze zebranie organizacyjne. Uroczystości rocznicowe prowadził aktor scen krakowskich Wojciech Habala. Podsumowania działalności dokonał Prezes Zarządu Głównego Andrzej Kaminski. W czasie uroczystości wręczono medale i odznaki 25-lecia Towarzystwa. Wysłuchano także okolicznościowej prelekcji prof. Stanisława Niciei pt. „Atlantyda Kresowa”. Towarzystwo od 25 lat prowadzi bogatą i zróżnicowaną działalność, m.in. inicjowało powstanie pomników Orląt Lwowskich we Wrocławiu i Częstochowie, fundowało tablice upamiętniające tragiczne dzieje Polaków na Wschodzie. Organizuje seminaria naukowe poświęcone historii i kulturze Kresów, koordynuje wyjazdy z pomocą materialną dla Polaków tam mieszkających. Towarzystwo posiada niezaprzeczalne zasługi w odbudowie Cmentarza Lwowskiego i innych nekropoli. Obchodzi się kolejne rocznice Rzezi Wołyńskiej, szerzy prawdę o dziejach Lwowa i Kresów. Wiele wysiłku wkładają władze Towarzystwa w proces włączania młodzieży w jego działalność, osiągając pozytywny efekt.

Z satysfakcją i wzruszeniem słuchałem wypowiedzi prezesa Andrzeja Kaminskiego o wydatnej pomocy wrocławskiego Stronnictwa Demokratycznego w rejestracji Towarzystwa Miłośników Lwowa. Był to czas, w którym kwestia wschodnich terenów II Rzeczypospolitej objęta była milczeniem. Inicjatywa powołania organizacji zainteresowanej Lwowem wywarła zdecydowany sprzeciw ówczesnych władz państwowych i politycznych. Stronnictwo, do którego zwrócili się inicjatorzy przedsięwzięcia, wystąpiło do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Ministerstwa Spraw Zagranicznych, o wyrażenie zgody na utworzenie wspomnianej organizacji. Wrocławska inicjatywa kresowa i zachowanie władz wojewódzkich SD spotkało się z oporem miejscowych czynników politycznych. Ta kwestia podniesiona została na Komisji Współdziałania PZPR, ZSL i SD. Ówczesny I sekretarz KW Zdzisław Balicki starał się przekonać delegację SD na czele z przewodniczącym prof. Franciszkiem Bielickim do rezygnacji z popierania tej inicjatywy. Kiedy nie znalazł zrozumienia dla swojej argumentacji, poirytowany powiedział: „To może jeszcze

Towarzystwo Katynia założycie?” W Warszawie o uzyskanie akceptacji wyżej wymienionych resortów skutecznie zabiegali: Czesław Jesionowski, kierownik wydziału spraw zagranicznych CK SD i Marian Kunkowski, kierownik wydziału organizacyjnego.

Członkowie Stronnictwa we Wrocławiu byli wśród organizatorów Towarzystwa. Gorącym zwolennikiem jego powstania i jednym z trzech pomysłodawców był lekarz dr Stanisław Krzaklewski (stryj Mariana Krzaklewskiego, byłego szefa NSZZ „Solidarność”). Ponadto, wymierny wkład wnieśli działacze i pracownicy biura SD: Waław Sowula dziennikarz „Kuriera Polskiego”, Mieczysław Korzycki, (wybrany na pierwszego przewodniczącego komisji rewizyjnej TML), dr Janusz Kramarek, Anna Maria Stręk, która m.in. protokołowała zebranie założycielskie we wrocławskiej Filharmonii. Wspomnieć należy również Ś.P. Kazimierza Lelo z Jeleniej Góry, który założył w tym mieście Oddział Towarzystwa, a następnie przez kilka lat był Przewodniczącym Komisji Rewizyjnej. Twórcy Towarzystwa otrzymali od wrocławskiego Stronnictwa pomoc organizacyjną, a także materialną. W początkowym okresie jego siedziba mieściła się w budynku SD przy ulicy Świdnickiej 36. Do 2010 roku Kresowianie dysponowali gablotą w wejściu do kamienicy demokratów, w której eksponowali bieżące materiały informacyjne. Warto podkreślić współpracę Stronnictwa z chórem TML, który występował na Trzciomajowych Akademiiach w Auli Leopolda na Uniwersytecie Wrocławskiego. Stronnictwo natomiast udostępniało chórowi nieodpłatnie salę konferencyjną na okolicznościowe spotkania.

Wybrane pierwsze władze Towarzystwa doceniły pomoc Stronnictwa Demokratycznego w procesie rejestracji a wyrazem tego uznania było m.in. przyznanie prof. Franciszkowi Bielickiemu legitymacji członkowskiej TML z numerem 1, a piszącemu te słowa z numerem 2 – tę legitymację posiadam do dziś.

Uroczystości przebiegały w obecności licznych Kresowian, młodzieży szkolnej oraz gości ze Lwowa i przedstawicieli władz samorządowych. W czasie akademii odczytano listy gratulacyjne od Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego Bogdana Zdrojewskiego, Arcybiskupa Metropolity Lwowskiego Mieczysława Mokrzyckiego, a także list od członków Zjednoczenia Demokratycznego (jego tekst znajduje się na stronie internetowej ZD www.zd.wroclaw.pl).

Wrocław, 23 września 2013 r. □

Moje lata dziecięce przeżyte w okresie II wojny światowej na Kresach

Okupacja sowiecka w Podhajcach (1939–1941)

29 lipca 1939 roku ukończyłem siódmy rok życia. 1 września miałem pójść do szkoły. Była to Powszechna Szkoła Męska im. Króla Jana III Sobieskiego w Podhajcach, w której pracował jako nauczyciel mój Ojciec Józef; Mama uczyła w szkole żeńskiej im. ks. Grzegorza Piramowicza. Jednak w dniu tym jak grom z jasnego nieba spadła na nas wiadomość o napaści Niemców na Polskę. Mimo to zajęcia szkolne rozpoczęły się i trwały do zajęcia miasta przez Sowietów, którzy weszli do Podhajec 18 września.

W chwili wybuchu wojny mieszkaliśmy w domu położonym obok wzniesionego na początku lat trzydziestych budynku szkolnego. Dom ten w 1939 r. był własnością zamożnego rabina Dawida Lilienfelda. W XIX w. należał do ówczesnych właścicieli Podhajec książąt Czartoryskich. Zajmowaliśmy w nim dwupokojowe mieszkanie na I piętrze. Przypominam sobie, że z kuchni wchodziło się do pokoju jadalnego, z którego przechodziło się do sypialni. W futrynie drzwi między pokojami wkręcone były haki, na których wieszano huśtawkę. Na krótko przed wojną rodzice kupili nowoczesny aparat radiowy marki Telefunken, lampowy z tzw. magicznym okiem świecącym zielonkawo. Przypominam sobie, że słuchali jeszcze transmisji z wyboru nowego papieża Piusa XII. Teraz odbierali komunikaty wojenne.

Jeszcze przed wojną, w atmosferze narastającego zagrożenia, robiono zapasy żywności. W pamięci utkwiła mi żydowska maca w kształcie wygiętych prostokątów, którą rodzice kupili. Miała tę zaletę, że było to pieczywo suche, nadawało się do przechowywania. Gromadzono też inne produkty jak mąkę i kasze. Ponadto oklejano szyby okienne na krzyż paskami papieru, aby nie wyleciały w wypadku bombardowania lotniczego. Ojciec przyniósł też tampony przeciwgazowe, swego rodzaju zastępcze maski zakładane na usta i nos wykonane z żółtej tkaniny wypełnionej filtrującym materiałem. Sam został powołany do zastępczej służby policyjnej. Dostał zielony mundur i karabin. Nawet eskortował na stację kolejową jakiegoś osobnika aresztowanego za działalność dywersyjną¹⁾.

Wkrótce po wybuchu wojny przez miasteczko przemieszczać się zaczęły rozmaite oddziały wojskowe, a równocześnie napływali uchodźcy z zachodnich województw. W naszym mieszkaniu zamieszkała rodzina z Bielska. Mieli synka mojego rówieśnika. Gdy opuszczali Podhajce jego matka ofiarowała Ojcu mszałik w skórzanej oprawie. Mam go do dzisiaj. Przypominam sobie również, że Ojciec rozdał kilka swoich garniturów oficerom, którzy chcieli zamienić mundury na cywilne ubrania. Było to już po nadejściu wieści o wkroczeniu w granice Rzeczypospolitej „Armii Czerwonej”.

Z samego wkroczenia Sowietów zapamiętałem, że 18 września, w poniedziałek, w godzinach popołudniowych ulicą wiodącą od Monasterzysk przez most na

Koropcu, a dalej ulicą Sobieskiego w stronę rynku, ciągnęły dłuższy czas czołgi, samochody i kawaleria. Mój kolega Janusz Rogalski, mieszkający przy ulicy Szerokiej wspomina, że widział pędzących z szablami w dłoniach w kierunku stacji kolejowej kawalerzystów. Później dolatywały stamtąd odgłosy strzałów. Podobno Sowietci strzelali do ludzi rozkradających mienie z opuszczonych wagonów. Janusz, który był potem na stacji widział wagony-lory, na których załadowane były małe czołgi tzw. tankietki i samochody wojskowe; stało też sporo wagonów osobowych. Zapamiętał też, że od żołdatów czuło się przykry odór, być może pochodzący od stosowanego w Armii Czerwonej środka odwszalniającego. W czasie wkraczania Rosjan na chodnikach stało wielu mieszkańców miasteczka. Radość z wejścia bolszewików wyrażali głównie Żydzi oraz w mniejszym stopniu Ukraińcy. Ci ostatni oczekiwali raczej Niemców, licząc, że utworzą „samostijną” Ukrainę. Po pewnym czasie, było to chyba następnego dnia, widziałem zgromadzonych i ustawionych w szeregach na boisku szkolnym żołnierzy polskich. Jakiś Sowiet pytał o oficerów. Zdaje mi się, że nikt nie wystąpił. Do naszego mieszkania wszedł także żołdat z karabinem. Zwrócił uwagę na radio. Kazał włączyć, ale nie było prądu. Mama z trudem wyjaśniła mu dlaczego aparat nie może grać.

Jak wspomniałem, wkroczenie bolszewików było przyjęte z zadowoleniem przez część Ukraińców. Nasza ówczesna służąca, Nastka, z ogniem w oczach powiedziała do rodziców: „teraz my już równi, z panami na bagnety!” W miasteczku szybko zachodziły zmiany. Po kilkunastu dniach pozamykano sklepy, z których zniknęły błyskawicznie towary²⁾. „Zakupy” ułatwiał zakaz podnoszenia cen przez kupców oraz zrównanie rubla ze złotówką. Mama wspominała, że po pewnym czasie Sowietki idąc na zabawy ubierały koszule nocne w przekonaniu, że kupiły sukienki.

Tymczasem rozwijała się agitacja komunistyczna. Władzę objął tymczasowy zarząd powiatu mający swoją siedzibę w budynku dotychczasowego starostwa. Później dowiedziałem się, że ważną osobistością był przybysz z Zbrucza, M. W. Słoń. Był on równocześnie redaktorem organu tymczasowego wydziału władzy powiatu, ukazującego się w języku polskim, *Nowe Życie*. Równocześnie w domu bardzo bogatego Żyda Zimeta, handlarza jajami, który przezornie uciekł na Zachód, zainstalowało się NKWD (Narodnyj Komissariat Wnutriennych Dieł) czyli policja polityczna³⁾.

Sowietci postanowili jak najszybciej zalegalizować zabór tej części państwa polskiego przez przeprowadzenie farsy wyborczej. 6 października ogłoszono zatem, że odbędą się wybory „do Zgromadzenia Ludowego Zachodniej Ukrainy”. Hasłem było przyłączenie tego terytorium do Związku Sowieckiego. Natychmiast rozpoczęto akcję wiecową. Tak zwane mityngi prowadzili w mieście i powiecie zawodowi politrucy. Opowiadano

na nich jakie szczęście spotkało społeczeństwo miejscowe przez „wyzwolenie z kajdan pańskiej Polski” i jaka czeka je teraz „światłana przyszłość”. „Wybory” przeprowadzono 22 października, a 1 listopada 1939 r. Rada Najwyższa ZSSR „na wniosek Zgromadzenia Ludowego” we Lwowie włączyła tzw. Zachodnią Ukrainę do Związku Sowieckiego. W efekcie 29 listopada ukazał się dekret prezydium tejże Rady o nadaniu obywatelstwa sowieckiego mieszkańcom wcielonych terenów co wiązało się z obowiązkiem uzyskania paszportu.

Ja tymczasem wróciłem do szkoły. Była to już jednak inna szkoła. Językiem nauczania był język ukraiński. Ponieważ nowe władze uznały, że poziom w szkołach polskich był niższy aniżeli w sowieckich, wszyscy uczniowie zostali cofnięci o jedną klasę. Znalazłem się zatem w zerówce czyli „nulce”. Opiekunką klasy O „B”, do której zostałem zaliczony, była pani Elżbieta Krzewińska, do której zwracano się teraz Jelizaweta Fridrichiwna. Przedwojenni nauczyciele bowiem w większości kontynuowali swoje obowiązki. Dotyczyło to również moich rodziców. Ojciec zanotował, że „władze rosyjskie ogłosiły nakaz powrotu do pracy, nie wydały jednak żadnego dekretu ani innego pisma”. Pojawili się też nowi pedagodzy ze wschodniej Ukrainy. Za okupacji sowieckiej ukończyłem w Podhajcach dwie klasy, „O” i „1”; zachowały się świadectwa zwane „kartkami”.

Z początku nauki w szkole sowieckiej zapamiętałem udział w przedstawieniu wystawionym na scenie ukraińskiego Narodnego Domu. Pokazano tchórzliwych Polaków, oficerów i cywilów, których dopadła radziecka władza. Musiałem to widowisko przeżywać boleśnie, bo mam jeszcze w oczach pewne sceny jak np. schwytanie jakiejś Polki, która we włosach ukrywała rewolwer (sic!). W szkole uczono m. in. kaligrafii. Służyły do tego specjalne zeszyty z ukośnymi liniami. Zeszyty były z podlegszego papieru, a atrament, którym pisaliśmy był koloru fioletowego. Nauce towarzyszyło oczywiście odpowiednie wychowanie. Uczono pieśni, piosenek, wierszyków. Do dzisiaj pamiętam w języku ukraińskim słowa niektórych utworów jak: „Utro krasit nieżnym swietom stieny drewniewo Kremla”, „Komandir heroj heroj Czapajew”, no i oczywiście „Międzynarodówkę”. Pamiętam również, że Sowietci uprawiali propagandę ateistyczną; widziałem plakaty z karykaturami duchownych, papieża, chyba nawet Pana Boga. Mama wspominała, że w szkole odbywały się zebrania, na których szkalowano religię, bluźniono. „Po powrocie z tych zebrzań płakałam”, mówiła. W miejsce Bożego Narodzenia świętowano Nowy Rok. W szkole była choinka (nie wieszano na niej łańcuchów papierowych, bo to były „kajdany”). Pojawił się też „did moroz” (dziadek mróz). Mimo szykan rodzice nie zaprzestali praktyk religijnych. Nadal uczestniczyłem w nabożeństwach w kościele parafialnym św. Trójcy, którego proboszczem był ks. dziekan Stanisław Popkiewicz. Pewnego razu w Zielone Świąta gdy szedłem z Mamą do kościoła, po drodze minęliśmy nauczycielkę, Rosjankę. W czasie Mszy św., po Ewangelii, przyszedł do kościoła Ojciec i powiedział Mamie, że wzywa ją dyrektor. Okazało się, że to skutek donosu owej Rosjanki. Dyrektor Juchimenko również Rosjanin robił Mamie wymówki, ale na koniec powiedział: „jak idziecie, to dziecka nie prowadźcie”. Ostro natomiast „napadł” na Mamę tzw. „zauped” od klas 1–4,

Ukrainiec z radzieckiej Ukrainy. Ten ostatni po wkroczeniu Niemców nie uciekł z innymi, pozostał w Podhajcach. Okazał się nacjonalistą ukraińskim. Rodzice zakazy omijali. 15 czerwca 1941 roku przystąpiłem do I Komunii św.; zachowała się fotografia, mam też piękny obrazek – pamiątkę z podpisem księdza Popkiewicza.

Tymczasem wokół narastał terror z czego jako dziecko nie zdawałem sobie w pełni sprawy. Już we wrześniu zaczęły się aresztowania Polaków. Na pierwszy ogień poszli policjanci i pracownicy służby państwowej. 23 września aresztowano Czesława Rytarowskiego kierownika Sądu Grodzkiego w Podhajcach. Po „wyborach” nastąpiły aresztowania na dużą skalę. W więzieniu znaleźli się: lekarz, dyrektor szpitala miejskiego Antoni Kasprzyk, nauczyciele – Bronisław Czop, Leon Lebensart, Stanisław Schneider, Kazimierz Wilhardt, inspektor Powiatowego Zakładu Ubezpieczeń Wzajemnych Stanisław Jastrzębski, instruktor Przysposobienia Obronnego kpt. Jaworski, komendant powiatowy Związku Strzeleckiego Tadeusz Kromer oraz pracownicy samorządowi – Adam Domadzierski, Józef Dziadykiewicz, Mieczysław Kowalczyk, Wiktor Majewski, Józef Stesłowicz, Horbaczyński i inni. Wśród zatrzymanych byli też młodzi ludzie nie zajmujący przed wojną żadnych ważnych stanowisk jak Józef Pękalski, znany jako lokalny futbolista, czy Leonard Bajorek. Aresztowanych przewożono do więzienia w Brzeżanach, które wkrótce zasłużyło na miano katowni gdyż wielu ludzi tam zamordowano. Część uwięzionych trafiła do Kijowa, a ich szczątki spoczywają w pobliskiej Bykowni. Inni zostali deportowani w głąb Związku Sowieckiego. Jest rzeczą bezsporną, że aresztowani byli ofiarami donosów jakie docierały do funkcjonariuszy sowieckich od komunizujących Żydów oraz Ukraińców.

Wkrótce represje stalinowskie spadły na rodziny aresztowanych, na zwykłych, nie piastujących przed wojną żadnych stanowisk ludzi, których jedyną winą było to, że urodzili się Polakami. W 1940 roku nastąpiły trzy, a w 1941 jeszcze jedna, deportacje na Sybir i do Kazachstanu. Na pierwszy ogień poszli mieszkańcy pobliskich osad Sobieska i Mazur tzw. koloniści, będący solą w oku ukraińskich sąsiadów. Wśród wywiezionych byli nasi przyjaciele i znajomi, m.in. pani Michalina Jastrzębska, nauczycielka, z dwoma synkami – moim kolegą Jurkiem i młodszym Wiesiem, Maria Zarębina, również z dwoma synkami – Romkiem i półtorarocznym Stasiem, rodziny Schneiderów, Kowalczyków, Domadzierskich, Czopów, żona lekarza Kasprzyka z czwórką dzieci, Stesłowicze, Skrzynkowscy, Teselscy i inni⁴). Na Sybir zostały wywiezione także rodziny znajomych rodziców – Owoców z Sobieska oraz Gerlachów z Mazur. Moja najbliższa rodzina uniknęła okrucieństw sowieckiej okupacji. Jedynie wujek, mąż siostry Mamy, Stanisław Gottfried funkcjonariusz Policji Państwowej i śledczy w Tarnopolu, aresztowany zaraz po wkroczeniu Sowietów, został internowany w Ostasz-kowie i zamordowany w Twerze.

Jeszcze w 1939 r. rodzice zmienili mieszkanie. Rabbin Lilienfeld bowiem wymówił im dotychczasowe. Zamieszkaliśmy więc w małym parterowym domku przy ulicy Halickiej, należącym do wdowy po inspektorze szkolnym pani Ingotowej. Mieszkanko było niewielkie, domek stał na opadającym ku ulicy zboczcu, a za nim

znajdował się sad, miejsce moich zabaw z kolegami wśród których byli Romek Demkowicz i Edek Jakubowski. Bawilem się też ze Stefką, Ukraińcem z sąsiedztwa. Z tym ostatnim „w szkołę”. Byłem nauczycielem, a on uczniem. Stefek mówił, że chce uczyć się polskiego, bo jego tato uważa, iż jak przyjdą Niemcy (!), to dobra znajomość polskiego mu się przyda. Przed domem była studnia-pompa. W zimie wokół studni tworzyła się lodowa górką. Próbowałem jeździć na łyżwach przykręcanych do butów, mających zaokrąglone przody, ale się nie nauczyłem. Za to chętnie się sankowałem.

Zima 1939/40 była wyjątkowo mroźna i śnieżna. W Podhajcach nazywanych „zimnymi” mróz i śnieg utrzymywały się długo. Jeszcze 25 marca 1940 r. kiedy żenił się mój kuzyn Eugeniusz Szczerbaty, syn najstarszej siostry Mamę cioci Mani, podczas jazdy saniami z kościoła na stację widziałem wystające ze śniegu wierzchołki słupów telegraficznych. O tym, że tej zimy opady były nadzwyczaj obfite świadczy też fakt, iż pewnego ranka Ojciec musiał wychodzić z mieszkania przez okno, aby przekopać w śniegu dojście do drzwi wejściowych domu bo od środka nie można ich było otworzyć.

Wracając do mieszkania u p. Ingotowej zapamiętałem, że rodzice ukrywali przez pewien czas odbiornik radiowy pod podłogą w kuchni. Nie wiem co się z nim później stało. Właścicielka domu miała ciekawe książki. Oglądałem u niej piękny album z kolorowymi ilustracjami, na których podziwiałem mundury z austriackich czasów. Rodzice szybko nauczyli mnie czytać po polsku i wcześniej zacząłem rozczytywać się w literaturze dziecięco-młodzieżowej.

Warunki ekonomiczne podczas okupacji sowieckiej musiały być ciężkie. Rodzice pozbywali się mebli i wymieniali je na żywność. Trudniej jeszcze żyło się we Lwowie, bo mieszkająca tam siostra Ojca, ciocia Stasia, przyjeżdżała do nas po żywność. Zapamiętałem, że przywiozła mi kiedyś drewniany czołg – zabawkę. Lubilem bowiem bawić się wojskiem i w wojsko. Miałem sprzed wojny pięknych, kolorowych żołnierzy ołowianych. Teraz też bawiliśmy się z kolegami w żołnierzy. Wieczorami „pełniliśmy warty” nosząc na ramieniu drewniane karabiny. Pewnego razu, ku niezadowoleniu właścicielki p. Ingotowej, czołgaliśmy się w sadzie wydeptując „tunele” w wysokiej trawie. Tymczasem na drugi dzień wybuchła wojna niemiecko-sowiecka, nastąpił nalot lotniczy, w sadzie schroniło się wielu ludzi, którzy zupełnie stratali piękną trawę. Ale to było później.

Wcześniej, jeszcze w 1940 roku, zachorowałem na szkarlatynę. Ponieważ jest to choroba zakaźna, musiano oddać mnie do szpitala. Leżałem w izolatce dwuosobowej w towarzystwie Ukraińca, chyba rówieśnika, który wieczorami opowiadał mi w swoim języku bajki. Słuchałem ich z zainteresowaniem. Tymczasem rodzice obawiali się, że w tym czasie mogą zostać wywiezieni. Trwały już bowiem deportacje do Kazachstanu i na Syberię. Mama postarała się więc, aby przyjęto ją również do szpitala. Wspominała później, że pobyt tam był bardzo przykry, gdyż hospitalizowani byli także chorzy psychicznie, którzy wyli i krzyczeli. Nie wytrwała więc do końca mojego leczenia. Później często mnie odwiedzała. Zapamiętałem, że musiało to być wiosną i

doszło do dużych roztopów. Ponieważ szpital podhajecki leżał w obniżeniu terenu, w jarze którym przepływał potok Mużylówka, został wtedy częściowo odcięty od miasta i Mama miała trudności z dostaniem się do lecznicy.

Pod koniec okupacji sowieckiej nasza rodzina powiększyła się. 3 kwietnia 1941 roku urodziła się moja siostrzyczka. Podobnie jak ja przyszła na świat w podhajeckim szpitalu. Mama wspominała, że w tym samym czasie urodziło się dziewięciu chłopców, ona była jedyną dziewczynką. Bardzo spodobała się pracującym w szpitalu dwóm Rosjankom, z których jedna wciąż powtarzała, że ją ukradnie. Na chrzcie świętym siostrzyczka otrzymała imiona: Maria Antonina; drugie imię po babci, matce Ojca. Chrzestną została ciocia Stasia. Z jakichś powodów nie mogła jednak przyjechać ze Lwowa. W tej sytuacji „per procura” trzymała Marylkę do chrztu akuszerka p. Julia Zawadowska. Ojcem chrzestnym został przyjaciel Tatusia. Nie wiem ile trwał tzw. urlop macierzyński wkrótce jednak Mama musiała kontynuować pracę nauczycielską. W związku z tym rodzice zatrudnili jako niańkę Stefkę, Rusinkę z pobliskiej wioski Wierzbowa. W czerwcu zakończył się rok szkolny. Korzystając z tego Tatuś pojechał do Lwowa, aby odwiedzić swoją matkę. Tam zaskoczył go wybuch wojny niemiecko-sowieckiej.

Pod okupacją niemiecką (1941–1944)

22 czerwca 1941 roku nastąpił atak niemiecki na ZSSR. Mieczysław Bauman tak zapamiętał to wydarzenie. „O wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej zorientowaliśmy się w niedzielę około godziny ósmej rano z przełatujących nad Podhajcami z zachodu na wschód, na niskiej wysokości, eskadr niemieckich bombowców nurkujących Sztukas. Już od wczesnych godzin rannych budziły nas dochodzące odgłosy silnych detonacji. Myśleliśmy, że Sowieci prowadzą intensywne ćwiczenia na okolicznych poligonach, były to jednak odgłosy bombardowania okolicznych lotnisk sowieckich. Radio Kijów poinformowało o wybuchu wojny dopiero o godzinie jedenastej. W mieście zapanowało podniecenie, a wszyscy Rosjanie i Rosjanki zostali uzbrojeni w karabiny. W poniedziałek 23 czerwca wieczorem, około godziny 18-tej, nadleciała nad Podhajce eskadra niemieckich bombowców Junkers i zrzuciła na miasto kilkadziesiąt bomb. Miasto zasnęło się dymem i pyłem z cegły. Efektem bombardowania było zniszczenie kilku domów w Rynku i w okolicy, a szczególnie na tzw. Jurdyce; podczas tego nalotu zburzona została nowa synagoga żydowska przy ulicy św. Mikołaja. Śmierć poniosło kilkanaście osób, a sporo zostało rannych. Pomnik Lenina stojący na Rynku zniknął, a na jego miejscu pozostał lej o średnicy kilkunastu metrów. We wtorek rano w Podhajcach nie było już Sowietów, wszyscy zwichli w kierunku na Wiśniowczyk i Złotniki. Na ulice wyszli nacjonaści ukraińscy, rozpoczęło się panowanie samostijnej, wywieszono flagi ukraińskie i niemieckie”.

Tu trzeba przypomnieć, że 30 czerwca, tuż za Wehrmachtem, do Lwowa dotarła grupa banderowców, nacjonalistów ukraińskich spod znaku terrorysty Stepana Bandery, dowodzona przez Jarosława Steckę. Ukraińcy ogłosili, że „z woli narodu ukraińskiego” Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów kierowana przez Banderę

rę powołuje rząd ze Stecką na czele. Rząd ten miał „ściśle współpracować” z Niemcami Adolfa Hitlera. Był to jednak sukces przejściowy. Już na początku lipca Niemcy zatrzymali w areszcie domowym Banderę i Steckę, a 1 sierpnia 1941 roku oficjalnie ogłosili włączenie Małopolski Wschodniej jako Distrikt Galizien do Generalnego Gubernatorstwa. Wiązało się z tym wprowadzenie w obieg jako waluty złotego, co irytowało Ukraińców. Tymczasem banderowcom udało się przejąć władzę w 213 miejscowościach, także w Podhajcach. M. Bauman wspominał: „W Podhajcach powstała lokalna władza ukraińska, na czele której stanęli Jarosław Sena, Bohdan Hajdukewycz syn księdza greckokatolickiego i Myrosław Toupasz. Ten triumwirat stanowił całkowitą władzę i rozpoczął swoją działalność od aresztowania i likwidacji Ukraińców, którzy w jakiś sposób współpracowali z Sowietami. Następnie aresztowano wielu młodych Polaków, z których niektórzy zostali zamordowani m.in. Stanisław Tomasikiewicz, Bronisław Hermanowski, Władysław Flisiński, ilu jeszcze nie wiadomo. Niektórym udało się uratować życie dzięki interwencji w organizującej się niemieckiej komendanturze wojskowej, m. in. czterem braciom rodziny Beckerów. Wojsko niemieckie wkroczyło kilka dni po ucieczce Sowietów, żadnych walk o miasto nie było”.

A oto jak wspominał ten okres ks. Stanisław Bizuń, syn mojego ojca chrzestnego, ówczesnie wicerektor Seminarium Duchownego we Lwowie: „Z terenu archidiecezji dochodziły okropne wieści: były wypadki mordów, napadów, samosądów (...) W okolicy Podhajec, w pobliskim Uhrynowie i Kazimierzówce, był zorganizowany przez Ukraińców swego rodzaju sąd polowy, gdzie stawiano uprowadzonych Polaków przed »prokuratorem« i »sądem«, skazywano ich na śmierć, tracono i grzebano po okolicznych polach, nieraz bardzo płytko. Znalezione dużą ilość takich grobów. W księgach zmarłych parafii Podhajce dla wsi Uhrynów zapisano cały szereg nazwisk pomordowanych Polaków⁵⁵.”

Ja wybuch wojny zapamiętałem tak, że podczas nalotu na Podhajce wiele osób, w tym także Żydów, kryło się m. in. w sadzie p. Ingotowej. Wtedy też zginęła od bomby lotniczej moja pierwsza nauczycielka – wychowawczyni, p. Elżbieta Krzewińska, mieszkająca w Rynku. Jakaś bomba spadła również niedaleko nas, obok domu Bizuniów, a w naszej sypialni powylały szyby. Ponieważ Tatusia nie było, Mama, zapewne niepewna zaistniałej sytuacji, schroniła się ze mną i malutką Marylką u Stefi w Wierzbowie. Jak długo tam przebywaliśmy nie wiem. Tymczasem Ojciec znalazł się w trudnej sytuacji. Pociągi na linii Lwów–Podhajce nie kursowały. Ci, którzy chcieli dotrzeć do miejscowości leżących przy tej trasie, zmuszeni byli wędrować pieszo. A we wsiach, przy szosach, czuwały straże ukraińskie, które kontrolowały podróżujących. Ojciec zdecydował się wybrać taką właśnie drogę. Dołączył zatem do grupy osób, wśród których znajdowała się siostra ks. Bizunia Zofia, i jej świeżo poślubiony mąż, Władysław Żmuda. Oni również zmierzali do Podhajec. 16 lipca opuścili Lwów. Do przebycia mieli około 140 km. Przechodząc przez różne wioski byli zatrzymywani i wypytywani przez ukraińskich policjantów. Do Podhajec dotarli szczęśliwie, prawdopodobnie dlatego, że Zofia mówiła płynnie po ukraińsku. Widzieli

jednak zabitych i nie raz znajdowali się w niebezpiecznej sytuacji. Kiedy przyszli do Podhajec i zatrzymali się na rynku oglądając zniszczone przez bombardowanie budynki, zostali zatrzymani przez ukraińską policję i zaprowadzeni na posterunek mieszczący się w domu Żyda Zimeta. Żmudę aresztowano i uwolniono dopiero dzięki interwencji Ukraińców sąsiadów Bizuniów. Ojca puszczono, ale musiał przez pewien czas meldować się codziennie na komisariacie. Zwolniono go z tego obowiązku dopiero wtedy gdy okazało się, że zna język niemiecki.

Kilka dni po wkroczeniu Niemców do Podhajec miał miejsce niezwykle incydent. Od strony wsi Uhrynów wjechał do miasta ciężki czołg sowiecki. Przejechał przez miasto i skierował się na most nad Koropcem. Przed mostem stało niemieckie działko ppanc., którego załoga widząc czołg, ukryła się. Gdy przejechał i skierował się na Zastawie, obsługa działka oddała dwa strzały. Pierwszy nie trafił w pojazd lecz uderzył i rozbił najbliższy dom na Zastawiu, w którym zginął Albin Tomasikiewicz, a kilka osób zostało rannych. Drugi był celny, zabił dowódcę i kierowcę, a czołg stoczył się nad staw i tam pozostał⁶¹. Wkrótce mogłem zapoznać się z nim nader dokładnie. Wraz z innymi chłopakami wchodziłem do środka pojazdu przez właz na szczycie obracanej wieżyczki, kręciliśmy jakimiś korbami, bawiliśmy się. We wnętrzu była jeszcze amunicja do działka, ale kto z nas pomyślał o ewentualnym zagrożeniu?

Już po zajęciu Podhajec przez Niemców rodzice po raz kolejny zmienili mieszkanie.. Przeprowadziliśmy się na ulicę Szeroką, do kamienicy będącej własnością Ukraińca Kościowa. Zajmowaliśmy niewielkie lokum na I piętrze. Niedaleko nas, w bliskim sąsiedztwie domu, w którym mieszkali Rogalscy, Niemcy urządzili tzw. Stację Maszynowo-Traktorową gdzie zgromadzili zmechanizowany sprzęt rolniczy do obsługi majątków ziemskich, aby maksymalnie wykorzystać rolnicze możliwości okupowanych terenów. Pewnego razu, gdy przez Podhajce przemierzały się jakieś jednostki niemieckie kierowane na front wschodni, w sadzie przylegającym do kamienicy Kościowa zatrzymał się oddział artylerii. Jeden z żołnierzy, blondyn, poczęstował mnie czekoladą. Było to tak niezwykle zdarzenie, że zapamiętałem je dobrze. Teraz, gdy po tylu latach wspominam tamte czasy wydaje mi się, że zmiana okupacji z sowieckiej na niemiecką przynajmniej przez pewien czas wydawała się Polakom zmianą na lepsze. Odczułem to także ze względu na dalszą edukację.

W roku 1942 otwarta została ponownie szkoła. Osobne pomieszczenia mieli folksdojczce, Ukraińcy i Polacy. Klasy pierwszych mieściły się na drugim piętrze budynku szkolnego, Ukraińców – na pierwszym, a Polaków – na parterze. W szkole polskojęzycznej znalazł pracę Ojciec. Mama nie została zatrudniona. Szkoła do której teraz uczęszczałem miała oficjalną nazwę „6-klassige öffentliche polnische Volksschule” – „sześcioklasowa polska publiczna szkoła powszechna”, a jej kierownikiem był Jan Węglowski, po wojnie adwokat we Wrocławiu. Ponieważ za Sowietów byłem cofnięty o jedną klasę, Ojciec zapisał mnie od razu do klasy czwartej. Uczyłem się teraz w języku ojczystym, to było ważne, ale przedmioty były bardzo zredukowane. W klasie IV uczono: religii (lekcje prowadził wikary

ks. Zdzisław Łabowicz), języka polskiego, nauki o przyrodzie, arytmetyki z geometrią i rysunków. Miałem też „zajęcia praktyczne”, śpiew i „ćwiczenia cielesne” (w.f.). Jako ciekawostkę podam, że pewnie ze względu na oszczędność papieru pisaliśmy na małych, czarnych tabliczkach rysikami, chociaż zeszyty też były w użyciu. Nauczyciele starali się przekazywać więcej aniżeli zalecał program. Później dowiedziałem się, że Ojciec pracował równocześnie w zorganizowanym tajnym nauczaniu⁷⁾. Posiadam dwie opinie o moim Ojcu jako nauczycielu. Starszy ode mnie, siostrzeniec Józefa Wojciechowskiego, Zbigniew Kobyłański, w liście do mnie napisał: „W siódmej klasie uczył mnie śp. Ojciec Pana, którego zachowałem w pamięci jako opanowanego i sprawiedliwego nauczyciela”⁸⁾. Natomiast pani Ludomira Stobiecka, lekarka z Wrocławia wspominała: „Ojca Pana dobrze pamiętam i zachowałam Jego obraz jako wspaniałego nauczyciela i patriotę. Uczył mię w czasie wojny w 7 klasie, do której chodziła młodzież w różnym wieku, chroniąc się przed wywózką na roboty do Niemiec. Ojciec Pana i Kazimierz Wojciechowski starali się nas jak najwięcej nauczyć, nie licząc się z oficjalnym programem zdążającym do pauperyzacji Polaków”⁹⁾. Od siebie dodam, że także poza szkołą Ojciec przekazywał mi i bawiącemu się ze mną kolegom wiele wiadomości z historii Polski. Podsuwał mi też odpowiednie lektury, dzięki którym nie tylko poznawałem historię, ale budziło się we mnie już wcześniej zainteresowanie tą dziedziną wiedzy. Reminiscencje ze szkoły podhajeckiej z czasów okupacji niemieckiej chcę zakończyć wspomnieniem o bitwach na śnieżki z Ukraińcami, jakie toczyliśmy na boisku podczas przerw między lekcjami. Boisko jest dwupoziomowe. Wyżej położona część znajduje się bliżej ulicy. Ukraińcy zgrupowani na niej ruszali z krzykiem, obrzucając nas kulami śnieżnymi. My cofaliśmy się, aby po chwili z wrzaskiem ruszyć do przodu i odpowiedzieć śnieżną „amunicją”. I tak na zmianę.

Wiosną 1943 roku polskojęzyczna gazeta „Dziennik Lwowski” przyniosła informację o odkryciu w Lesie Kałyńskim masowych grobów pomordowanych przez Sowietów polskich oficerów. Pamiętam, że wiadomość ta zrobiła wstrząsające wrażenie na rodzicach i wielu innych Polakach. Rodzice domyślali się, że taki los spotkał niewątpliwie wujka Stacha.

Tymczasem w Podhajcach Niemcy przeprowadzali już akcje mordowania Żydów w ramach tzw. rozwiązywania kwestii żydowskiej. W tym miejscu muszę przypomnieć, że Podhajce od dawna były miastem, w którym żyło wielu wyznawców religii mojżeszowej. W starannie wydany album o zabytkach województwa tarnopolskiego, który Ojciec miał w swojej bibliotece znajdowała się informacja, że na okopisku (kirkucie) żydowskim w Podhajcach najstarsze groby pochodzą z XV wieku¹⁰⁾. Największa zachowana synagoga zbudowana w XVII wieku początkowo była podobno kościołem ariańskim. Pod koniec lat trzydziestych żyło w Podhajcach ok. 3,5 tys. Żydów (Polaków i Ukraińców było łącznie ok. 2 i pół tysiąca)¹¹⁾. Z Żydami stykałem się od wczesnego okresu życia. Jako dziecko często chorujące, byłem leczony przez Salmyna Dicka, który ukończył studia medyczne w Wiedniu. Mama nazwała go „moim lekarzem” i wysoko oceniała jego fachowość.

Doktor Dick przychodził na każde wezwanie biorąc za wizytę 3 złote. Wśród nauczycieli w szkołach podhajeckich, z którymi pracowali moi Rodzice byli: Lajzor Freud – uczący religii mojżeszowej oraz Rachela Pochorille i Fajga Rauchowa. Społeczność żydowska była bardzo zróżnicowana pod względem materialnym i intelektualnym. Większość Żydów parała się drobnym handlem. Część dzierżyła w ręku najbardziej dochodowe przedsiębiorstwa handlowe i gospodarcze jak np. wielki młyn nad Koropcem, który był własnością Oskara Habera. Najbogatszym Żydem podhajeckim był Dawid Zimet zajmujący się handlem jajami na wielką skalę. Zimet utrzymywał kontakty handlowe z kupcami w Anglii, Szwajcarii, Hiszpanii i Portugalii. Za osiągnięcia na polu eksportu otrzymał w 1935 r. od premiera Mariana Zyndrama-Kościńskiego brązowy Krzyż Zasługi¹²⁾. Bogaczem był również rabin Lilienfeld posiadający fabryczkę trykotażu; wytwarzano w niej swetry dla dzieci oraz dla dorosłych. Wolne zawody były w większości w rękach żydowskich. Żydzi byli lekarzami, adwokatami. Ze spisu abonentów telefonicznych Lwowskiej Dyrekcji Poczty i Telegrafów z 1929 roku dowiadujemy się, że z 38 numerów telefonów w Podhajcach aż 24 posiadali Żydzi¹³⁾. Do Żydów należała największa biblioteka w miasteczku. Jednak większość społeczności żydowskiej Podhajec stanowiła biedota. Gdy do Podhajec wkroczyli Sowieci spora część Żydów wywodząca się głównie z tej warstwy współpracowała z okupantami, szczególnie z NKWD i w pamięci Polaków, a także Ukraińców utrwaliła się opinia o ich udziale w zbrodniach sowieckich. Ukraińcy od początku okupacji niemieckiej wyładowywali na Żydach swoją nienawiść. Urodzony w Podhajcach Baruch Milch lekarz w miejscowości Tłuste w powiecie zaleszczyckim w swoim pamiętniku zanotował: „Ukraińcy już zaczęli pokazywać co potrafią. We wszystkich prawie sąsiednich wioskach od razu zrobili porządek i wymordowali wszystkich tamtejszych Żydów (...) pierwsi dali przykład, pokazali drogę, tak że nie darmo Niemcy wyrazili się, że niejednego jeszcze od Ukraińców się mogą nauczyć”¹⁴⁾.

Wkrótce po zajęciu Podhajec przez Niemców nakazano Żydom od 12 roku życia noszenie na prawym ramieniu białej opaski z wyszytą niebieską gwiazdą Dawida. W 1942 r. powstało w Podhajcach getto, do którego spędzono nie tylko Żydów podhajeckich, ale też z całego powiatu. Początkowo getto mieściło się w dwóch dzielnicach zamieszkałych głównie przez Żydów: w okolicach starej synagogi oraz między ulicami Brzeżańską, Rynkiem i Szeroką. Później stłoczono ich w tej drugiej. Władzę w getcie sprawował Judenrat, instytucja będąca czymś pośrednim między organem samorządowym a pomocnikiem w przekazywaniu i wypełnianiu poleceń administracji okupacyjnej. W getcie działała też policja żydowska. Po pewnym czasie część mieszkańców getta została wywieziona, prawdopodobnie do obozu w Bełżcu. Likwidację getta przeprowadzili Niemcy w dwóch etapach. W połowie maja 1943 roku około 2 tysiące ludzi wyprowadzili za wieś Stare Miasto, gdzie wcześniej przygotowali głębokie doły. Tam kazali Żydom rozebrać się do naga i wchodzić na ustawione nad dołami deski. Następnie strzelali do nich. Do dołów wpadali zabici, ale też i ranni. Gdy dół wypełnił się ciałami, zasypywano go.

Na podstawie zapisu kronikarskiego ks. Anczarskiego wnioskuję, że akcja ta miała miejsce w Podhajcach 14 maja. Opis prowadzonych na śmierć, oraz ich oprawców, jest wstrząsający¹⁵.

Nie widziałem tego pochodu. Zapamiętałem tylko, że ulica którą przeszedł zasłana była podartymi na strzępy banknotami. Pamiętam też, że ludzie dziwili się, iż Żydzi szli tak potulnie, że nie próbowali oporu mimo, że oprawców było ogółem niewielu. Baruch Milch wyjaśnia to tak: w umyśle każdego Żyda tkwią głęboko wyrazy Kidusz Aszem – ofiara Bogu. Może tym tłumaczyć trzeba to bierne zachowanie w obliczu zagłady?

Po kilku tygodniach nastąpił drugi etap likwidacji getta. Ks. Stanisław Bizuń, który 8 czerwca przyjechał ze Lwowa, aby odwiedzić swą matkę, tak o tym pisze: „Okolo godz. 13.00 wysiadłem w Podhajcach. Do domu udałem się połąną drogą koło cmentarza, dalej obok kirkutu i kiedy już byłem niedaleko naszej uliczki, przy domu Ingłotowej, usłyszałem gdzieś niedaleko, w pobliskich sadach gwałtowną strzelaninę i krzyki. Przystanąłem za jakimś domem; na ulicy nie było żywego ducha. Po kilkunastu minutach strzały ucichły, potem padł jeszcze jeden, drugi i nastąpiła cisza. Do mojego domu było niecałe 100 m. Tam dopiero dowiedziałem się, co się dzieje. Otóż w Podhajcach odbyła się wczoraj i przedwczoraj (a więc 6 i 7 czerwca – dop. mój IW) likwidacja getta (...). To, co słyszałem idąc z dworca było dodatkowym »polowaniem« na Żydów zbiegłych z wcześniejszego pogromu i ukrywających się w sadach na naszym przedmieściu. Wszyscy w domu byli przerażeni. Na probostwie dowiedziałem się reszty szczegółów tej eksterminacji (...). Całą akcją eksterminacyjną dowodził oficer SS, były urzędnik bankowy z Łodzi, niejaki Musganow¹⁶).

Mój kolega Edward Jakubowski tak zapamiętał likwidację getta:

„(...) Pamiętam, że był to dzień pogodny i ciepły, byłem w szkole. Po rozpoczęciu lekcji na boisku szkolnym zaczęto gromadzić ludność żydowską. Wyprowadzano ich z budynku tzw. Judenratu, który znajdował się po drugiej stronie boiska szkolnego. Był to budynek, w którym znajdowała się policja żydowska oraz urząd do spraw Żydów. Budynek ten wraz z posesją był ogrodzony wysokim szczelnym płotem z desek. Na boisku kręciło się kilku esesmanów, a kilku uzbrojonych żołnierzy Wehrmachtu rozlokowało się na obrzeżach boiska. Z Judenratu na boisko Żydów wyprowadzali policjanci żydowscy. Byli to mężczyźni wysocy, w czarnych uniformach, na głowach mieli czarne cylindryczne czapki z daszkiem. W rękach trzymali długie białe pałki. W czasie wyprowadzania ludzi z Judenratu powstał niesamowity tumult i zamieszanie. Esesmani zaczęli donośnym głosem wydawać jakieś rozkazy i polecenia. Poszły w ruch białe pałki żydowskich policjantów. Do bicia, kopania i popychania włączyli się esesmani. Pod oknami naszej klasy esesman, młody człowiek, katował bykowcem starszą kobietę trzymającą za rękę kilkuletnie dziecko, za chwilę po twarzy tej kobiety popłynęła krew.

W naszej klasie lekcja się nie odbywała. Panowała grobowa cisza. Siedzieliśmy wszyscy w ławkach, nauczyciel nie pozwolił nam zbliżyć się do okien. Nasz

nauczyciel, pan Werschler zachowywał się nerwowo, chodził w poprzek klasy od drzwi do okien. Twarz miał bladą i bardzo poważną, oczy były wilgotne, cała postać sztywna, a ruchy powolne. W pewnej chwili pan Werschler kazał nam wstać i powiedział, że zaśpiewamy pieśń do Pana Boga. Podał nam słowa tej pieśni i melodię. Słowa brzmiały następująco: Nie opuszczaj nas, nie opuszczaj nas, Jezus nie opuszczaj nas, Tyś powiedział, że na Ziemi nie zostawisz nas samymi ... Zaśpiewaliśmy dwie lub trzy zwrotki. W międzyczasie zamieszanie na boisku ustało, ludzie zostali ustawieni w czwórki, a kolumny wyprowadzono na ulicę i skierowano w stronę Zastawia. Jak się później okazało, w miejscowości Zahajce za folwarkiem zostali wszyscy zamordowani w tamtejszych kamieniołomach. Później z kolegami chodziłem do getta, oglądaliśmy domy, mieszkania. Wszystko było zrujnowane¹⁷).

Od siebie dodam, że i ja oglądałem opuszczone getto, być może razem z Edkiem. Po wymordowaniu Żydów w Podhajcach zapanowało, jak wspomina M. Bauman, „ogromne przygnębienie i załamanie okolicznej ludności”. Zauważa to również ks. Bizuń: „Nad miasteczkiem wisiała ciężka atmosfera zbrodni, oparów krwi, przygnębienia i strachu. Opowiadano sobie okropności o wyłapywaniu resztek Żydów i rozstrzeliwaniu ich na żydowskim cmentarzu (...). Słyszałem też o okrucieństwie wieśniaków ukraińskich gdzieś koło Hołchocz, gdzie spalono dom z ukrywającymi się w nim Żydami¹⁸). Osobną sprawą jest pomoc i ukrywanie Żydów przez aryjczyków. Czekala za to kara śmierci, wymierzana całej rodzinie. Oczywiście były przypadki udzielania Żydom azylu. Przykładem jest pani Sikorska, kobieta mająca małe dzieci, ukrywająca dwóch synów z zamożnej rodziny Kresslów. Pewnej nocy ukrywani chłopcy wyszli z kryjówki, aby zaczerpnąć świeżego powietrza. Ktoś ich zauważył. Zostali rozstrzelani, a wraz z nimi Sikorska i jej dzieci. Niektórzy mieli szczęście. Przykładem jest siedmioletnia wówczas Żydówka Regina Kateganer, którą zaopiekowała się siostra Helena Chmielewska ze Zgromadzenia SS. Franciszkanek Rodziny Maryi. Siostry te w latach 1920–1945 pracowały w Szpitalu Powiatowym w Podhajcach, a w latach 1938–1940 oraz 1941–1944 prowadziły w wiosce Siółko sierociniec. Tam Regina została ukryta i przeżyła holocaust¹⁹). Siostry Marianki przechowały też i inne dziewczynki Żydówki. Z Żydów podhajeckich ocalało jeszcze więcej osób²⁰).

Niemcy dokonali w Podhajcach także zniszczeń materialnych. W rynku zburzyli szereg sklepów żydowskich. A rynek podhajecki był bardzo stary i znajdowało się na nim coś w rodzaju małomiasteczkowych sukienic. Szczególnie cenną była rotunda, pozostałość po ratuszu z XVII wieku zbudowanym podobno w stylu renesansowym²¹). W rotundzie do 1939 roku mieścił się sklep Glasserów, w którym sprzedawano piękne wyroby szklane, kryształowe i porcelanę. W 1942 roku wszystko to legło w gruzach.

Nasze życie w latach okupacji niemieckiej w Podhajcach, zanim zaczęły się w powiecie rzezie dokonywane przez Ukraińców, biegło bezpieczniejszym niż pod rządami sowieckimi. Ojciec pracował w szkole, Mama zajmowała się opieką nad malutką Marylką i pracami domowymi, ja uczyłem się i sporo czasu spędzałem na

spotkaniach z kolegami. Oprócz Januszka Rogalskiego, Edka Jakubowskiego i Romka Demkowicza zapamiętałem Ryśka i Mietka Baczyńskich oraz Jana Rzeszowskiego. Poza tym od czasu do czasu, a regularnie w święta Bożego Narodzenia i Wielkanocy, jeździliśmy do babci Dobrzańskiej do Przemyślan. Odwiedzaliśmy również babcię Werschlerową i siostry Mamy we Lwowie, a i do nas zaglądali krewni i znajomi. Zimą chętnie się sankowałem. Jeździłem z kolegami ulicami miasteczka. Czepialiśmy się sań ciągniętych przez konie. Szczególnie lubiłem zjeżdżać stromą ulicą Lityńskiego, która jednak wychodziła przy ukraińskim Narodnym Domu na ruchliwą ulicę Brzeżańską. Pewnego razu jadąc z Marylką, która wtedy mogła mieć 2 i pół roku, o mało co nie wpadliśmy pod samochód ciężarowy.

W 1943 r., około Bożego Narodzenia, chodziłem z kolegami kołędować. Mieliśmy gwiazdę na drążku oświetloną od wewnątrz. Kołędowaliśmy także w święta greckokatolickie śpiewając kolędy ukraińskie. Zdarzyło się, że jakiś Ukrainiec domyśliwszy się zapewne, że to Polacy, wybiegł z domu i nas przepędził. Kołędowanie pozwalało nam zdobyć trochę groszy.

Jak wspominałem, odwiedzaliśmy krewnych w Przemyślanach i we Lwowie. Do babci do Przemyślan jeździliśmy częściej. Kuzyn Gienek był kolejjarzem. Pracował najpierw na stacji w Podhajcach, później jako dyżurny ruchu w Przemyślanach. Z babcią Bronisławą Dobrzańską mieszkały jej córki, niezamężna ciocia Gienia i wdowa po zamordowanym w Rosji wujku Stachu, ciocia Stenia. Stałe przebywała tam też kuzynka Jaśka, przed wojną i za okupacji sowieckiej nauczycielka w Delatynie, która za Niemców pracowała jako „siła biurowa” w przemyślańskiej Delegaturze Polskiego Komitetu Opiekuńczego z siedzibą w Złoczowie²²). W tym czasie brakowało różnych rzeczy. Pamiętam, że ciocie i Jaśka pręły wełniane kilimy i robiły na drutach ładne i ciepłe swetry. Genek natomiast hodował króliki, których mięso uzupełniało braki w pożywieniu, a skórki były wykorzystywane do szycia zimowych okryć dla małych dzieci. Marylka miała płaszczyk podbity takim futerkiem. We Lwowie natomiast odwiedzaliśmy krewnych Tunów. Kuzyn Jurek miał ciekawe przedwojenne czasopisma m.in. z komiksami o Tarzanie, oraz ilustrowane gazety niemieckie, w których oglądać można było różne zdjęcia z frontów wojennych, modele nowoczesnego uzbrojenia itp. Z pobytów we Lwowie zapamiętałem pójście do kina na film o „Titanicu” w ukraińskiej wersji językowej.

Życie w Podhajcach w miarę upływu czasu stawało się coraz bardziej ciężkie, z czego jako jedenastoletni chłopak nie do końca zdawałem sobie sprawę. W 1942, a zwłaszcza w 1943 roku, powstały poważne trudności aprowizacyjne. Jako przykład podam, że Mama mełła na młynku do kawy ziarno, może pszenicę i piekła na blacie kuchennym placuszki. Z chlebem były trudności. Pamiętam Ją też cerującą odzież, bo na wszystko brakowało pieniędzy. I my także hodowaliśmy króliki.

Tymczasem sytuacja polityczna i wojenna stawała się dla Polaków coraz trudniejsza. Tym razem zagrożenie nadeszło ze strony Ukraińców. W lipcu 1943 roku na Wołyniu rozszalały się masowe mordy bezbronnej ludności polskiej dokonywane przez nacjonalistów ukraińskich. Mordów dopuszczali się zarówno zorganizowane

sotnie tzw. Ukraińskiej Powstańczej Armii, jak i bandy chłopów podburzanych do tego propagandą Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów. Na obszarze Dystryktu Galicja w Generalnym Gubernatorstwie przypadki mordowania Polaków miały miejsce już od początku wojny. Dotąd nie przybrały charakteru masowego. Wiele było jednak niepokojących sygnałów. Głębką troską napawały one moich Rodziców. Z pewnością słyszeli o zdarzeniach, które ja odnajduję w wertowanych pamiętnikach i o których opowiadali mi starsi od mnie podhajczanie. Wtedy byłem dzieckiem i dużo faktów po prostu uleciało mi już z pamięci. Dlatego przytoczę tutaj niektóre, znane mi „z drugiej ręki”. Ich autentyczność nie budzi wszakże wątpliwości. Cytowany już ks. Stanisław Bizuń zapisał m.in.: „dnia 9 marca (1943 r.) wybrałem się w sprawie rodzinnej do Podhajec. Po drodze opowiadano, że przed kilku dniami na linii Lwów–Podhajce jakiś »mołojec« ukraiński zastrzelił w pociągu konduktora-Polaka, kiedy ten zażądał od niego biletu do kontroli”. Natomiast jadąc 8 czerwca do Podhajec tenże ksiądz spotkał w pociągu w Brzeżanach kapłana greckokatolickiego. „Pozdrowiłem go po łacinie i usiadłem obok niego na wolnym miejscu. Oczywiście przedstawiłem się. Rozmawialiśmy po polsku. W przedziale znajdowało się także kilku wieśniaków ukraińskich, którzy po pewnej chwili, niby to wtrącając się w rozmowę, zaczęli najpierw ogólnie atakować polskie sprawy i Polaków, a potem już otwarcie adresowali swe wywody do mnie. Z ich stwierdzeń wynikało, że po zlikwidowaniu kwestii żydowskiej na wsi ukraińskiej, nadeszła pora, aby policzyć się »z proklatymi Lachy« (przeklętymi Polakami). Atmosfera była bardzo napięta, a moi sąsiedzi gwałtowni. Przez cały czas słuchałem tylko tego co mówili i patrzyłem na ich twarze. Ksiądz Ukrainiec coś im próbował wyjaśniać, ale oni gwałtownie i agresywnie replikowali. Na szczęście całe towarzystwo i ów kapłan wysiedli w Potutorach i na następnym przystanku, w Sarańczukach”²³). A oto jeszcze inny przykład ze wspomnień ks. Bizunia: „Pod koniec sierpnia (1943 r.) wpadłem na dzień do matki w Podhajcach. Z dworca do domu jechałem dorożką z nieznanym mi młodym Ukraińcem (...). W rynku mój towarzysz podróży rzekł: *Ale szczo to szcze bude!* (ale co to jeszcze będzie). Powtórzył to zdanie kilka razy, patrząc na mnie przeciągle. Przyglądał mi się bardzo dziwnie, a głos brzmiał mu złowieszczo”²⁴).

W roku 1943 na terenie powiatu podhajeckiego zdarzały się sporadyczne przypadki zabijania Polaków przez Ukraińców. Miały one miejsce we wsiach Szwejków, Nowosiółka, Hnilcze, Panowice, Rosochowaciec, Sławentyn, Zastawcze koło Hołchocz i in. W samych Podhajcach również²⁵). Informacje o wielu innych docierały z różnych części województwa tarnopolskiego. Ofiarami padali często przedstawiciele polskiej inteligencji, wśród nich księża, leśnicy, lekarze, pocztowcy i inni. Nasilenie zbrodni nastąpiło na przełomie lat 1943 i 1944. W Podhajcach sytuacja stawała się bardzo napięta. W końcu grudnia tegoż roku ks. Bizuń odwiedzając kolejny raz swą matkę stwierdził, że: „Wśród miejscowych Polaków panowały fatalne nastroje, ale i swego rodzaju determinacja. Dowiedziałem się o ogłoszonym ostrym pogotowiu. Jedna z kobiet powiedziała mi, że Ukraińcy mają szczegółowy plan wyniszczenia Pola-

ków; podobno istniały dokładne rozkazy co do tego, kto, kiedy i na której ulicy ma zlikwidować polskie rodziny. Ale i Polacy zbroili się przygotowując obronę. Cóż to jednak znaczyło wobec znacznej liczebnej przewagi Ukraińców?" Od siebie dodam, że o organizowaniu polskiej samoobrony w Podhajcach opowiadał mi Józef Wojciechowski, ówczesny dowódca kompanii w tamtejszym obwodzie Armii Krajowej. I on również pesymistycznie oceniał możliwości Polaków w walce z przeważającymi i mającymi oparcie w Niemczech, siłami ukraińskimi²⁶⁾.

W nocy z 14 na 15 stycznia 1944 roku banderowcy urządzili rzeź ludności polskiej we wsi Markowa na południowy zachód od Podhajec, nad rzeką Żłota Lipa. Mordowali przy pomocy różnych narzędzi, nie używając broni palnej. Zamordowali 57 osób, wśród nich kapłana Mikołaja Ferenca, którego przed śmiercią torturowali²⁷⁾. Moi Rodzice wiedzieli niewątpliwie o tym wydarzeniu. Uważali, że w tej sytuacji pozostawanie w Podhajcach stanowi poważne zagrożenie. Jednak wyjazd do Lwowa, gdzie można było zatrzymać się u babci Antoniny, nie był łatwy. Wnioskuje to z listu Ojca, napisanego do sióstr, a adresowanego do starszej, Jadwigi, mieszkającej w tym czasie w Krakowie. List ten, jedyny jaki z tego czasu posiadam i prawdopodobnie ostatni wysłany z Podhajec, zacytuje w obszernych fragmentach: „Kochane Siostrzyczki! Z chwilą, gdy piszę do Was tych kilka słów, jeszcze żyjemy. Jak Wy tam Kochani? Czy zdrowi jesteście? Czy tam bardzo drogo? U nas wszystko stosunkowo tanie a najtańsze życie ludzkie – bierze się je bezkarnie i po prostu (...). Chcielibyśmy się stąd wynieść lecz przepustek przynajmniej na razie nie dają. Zresztą – ach przypominałem sobie nareszcie, jesteśmy w ręku i tylko w ręku Boga, który policzył wszystkie nasze włosy i jeśli mu będą potrzebne potrafi je zachować. Jeśli zaś przeznaczył nas na nawóz to też dobrze, widać że tak być musi. Dzieci Bogu dzięki zdrowe. Nauki tu nie ma (...). Zresztą nie bierzcie tego listu zbyt tragicznie, bo gotów bym żałować, żem go pisał (...).” Na końcu listu stawiając datę Ojciec napisał: „Wołyń, 23. I. 44”²⁸⁾. Piszząc „Wołyń” zamiast „Podhajce” dawał do zrozumienia, że straszliwe rzezie Polaków jakie miały miejsce w 1943 na Wołyniu, mają teraz miejsce u nas, w Małopolsce Wschodniej.

Nie wiem kiedy zapadła ostatecznie decyzja opuszczenia przez nas Podhajec. Opierając się na relacji Mamy wnioskuję, że wyjechaliśmy do Lwowa na początku lutego. Mama opowiedziała mi, że gdy w okolicznych wioskach płonęły już polskie zagrody, a do Podhajec chronili się ci, którym udało się uciec z życiem, jej koleżanka pani Rogalska dowiedziała się od znajomego Ukraińca, iż teraz przyjdzie pora na Podhajce. Ostatnią noc w Podhajcach przeżyliśmy wspólnie z panią Rogalską, jej matką i trójką dzieci – Januszkiem, Rysiem i Jagódką, w mieszkaniu innej zaprzyjaźnionej rodziny, państwa Baczyńskich. Baczyńscy, z których synami Ryśkiem i Mietkiem bawiłem się, mieszkali w piętrowej kamienicy na rogu ulic Szerokiej i Lityńskiego. Wybór miejsca na nocleg nie był przypadkowy; na parterze kwaterowali żołnierze czy żandarmi niemieccy i można było mieć nadzieję, że Ukraińcy tam nie wtargną. Następnego dnia, zabierając najpotrzebniejsze rzeczy takie jak odzież, bielizna, pościel, trochę

naczyń, kilka książek, a zostawiając całe urządzenie, meble, biblioteczkę Ojca, pojechaliśmy furą czy na sianach, na stację odległą o blisko 2 km od miasteczka. Urządzenie mieszkania rodzice przekazali byłej służącej ze Starego Miasta. Na stacji zatrzymaliśmy się jeszcze na krótko, po czym odjechaliśmy pociągiem do Lwowa. Gdy byliśmy już w wagonie, jeszcze na stacji w Podhajcach widzieliśmy Polaków, zapewne AK-owców, skutych i prowadzonych brutalnie przez Niemców.

Pożegnanie ze Lwowem

Jako jedenastoletni chłopak nie zdawałem sobie sprawy, że już nigdy więcej nie pojedę pociągiem z Podhajec do Lwowa. Ta podróż była ostatnią. Pociąg przejechał ostrożnie przez prowizorycznie naprawiony jeszcze po zniszczeniu w czasie pierwszej wojny wiadukt koło Rudnik i zatrzymując się na kolejnych stacjach mijał znane mi z wielu wyjazdów miejscowości. Z nich bliskie mi były szczególnie Brzeżany z potężnym zamkiem Sieniawskich nad wspaniałym stawem, gniazdo rodzinne Werschlerów, oraz Przemyślany gdzie pozostała jeszcze babcia Bronisława i krewni ze strony Mamy. Wkrótce, mijając browar w Krosienku-Zaciemnem przejechaliśmy europejski dział wód; spływające od tego miejsca w kierunku północnym rzeki należą już do zlewiska Morza Bałtyckiego. Teraz tor obniżał się stopniowo w kierunku bagnistej równiny, prowadząc do Winnik. Stamtąd blisko już było do stacji Łyczaków, na której wysiedliśmy. Dalej pojechaliśmy już tramwajem linii „1” ulicą Łyczakowską noszącą wówczas nazwę „Oststrasse”, a następnie „8”, aby dojechać do ulicy Kazimierza Wielkiego. Jadąc do jej końca wysiedliśmy przy zbiegu Gródeckiej i Janowskiej w miejscu gdzie znajdował się kościół pod wezwaniem św. Anny i zaczynała się krótka ulica nosząca imię tejże świętej. Idąc nią skręciliśmy w lewo, w ulicę Jachowicza. Tam pod numerem 15, na trzecim piętrze, mieszkała wtedy babcia Antonina. Mieszkanie to należało do ciotki Stanisławy Mikszyńskiej przebywającej wówczas z wujkiem Bolkiem w Siedlcach. Na Jachowicza mieszkał z babcią brat Bolka Klimek pracujący na poczcie. Wyglądu mieszkania nie zapamiętałem. Wydaje mi się, że składało się z trzech pokoi z kuchnią. Przypuszczam, że była także łazienka. W jakiś czas po naszym przyjeździe został dokwaterowany pewien Reichsdeutsche, pochodzący z wcielonego do Rzeszy Pomorza imieniem Adolf; malutka Marylka nazywała go Adolfinek. Nazwiska jego nie zapamiętałem. Był to człowiek spokojny, podobno nieco głuchy. Pracował na lotnisku.

Wkrótce po naszym przybyciu do Lwowa zjawił się ktoś z konspiracji, jak domyślam się akowskiej, i rodzice otrzymali jakieś wsparcie materialne jako uciekinierzy z zagrożonego przez Ukraińców terenu. Było to dowodem, że nasze podziemie kontroluje sytuację i ma dobre rozeznanie. A pomoc była nam bardzo potrzebna, bo Mama nie pracowała już od roku 1941, a Ojciec zakończył formalnie pracę 1 lutego 1944 r. W praktyce zajęcia szkolne w Podhajcach zawieszono zostały wcześniej.

Teraz mogłem kontynuować naukę. We Lwowie chodziłem przez jakiś czas do V klasy. Ponieważ pobliski okazały gmach szkoły św. Anny zajmował wermacht, lekcje odbywały się w mieszkaniach prywatnych. Zapa-

miętałem, że uczono nas zdecydowanie więcej, aniżeli zezwalał program "polnische Volksschule". Zachowałem zeszytik romerowskich mapek konturowych Europy wydany jeszcze przed wojną, w którym na poszczególnych mapkach zaznaczałem półwyspy, góry, rzeki i inne elementy naszego kontynentu. A geografii wtedy uczyć nas nie było wolno. Poza tym na przykład na lekcji śpiewu nauczycielka uczyła nas piosenki „Maki” (właściwie: „Przekorna dziewczyna”), której słowa napisał Kornel Makuszyński.

W krótkim czasie zapoznałem się z poszczególnymi fragmentami miasta i poczułem się we Lwowie „jak u siebie”. Odwiedzaliśmy bowiem krewnych; Tunów – mieszkających przy ulicy Okólskiego i Pollów – przy Hoffmana. Najczęściej odwiedzałem Tunów, aby spotykać się z Jurkiem. To był mój wielki przyjaciel i z nim spędzałem czas szczególnie interesująco. Idąc do niego przechodziłem ulicę św. Anny, Krasickich, Mickiewicza (Parkstrasse), plac św. Jura, ulicę Karpińskiego, i przechodząc przez Leona Sapiehy (wtedy Fürstenstrasse), jedną z najgłówniejszych arterii Lwowa, dochodziłem do Okólskiego. Do cioci Mili na Hoffmana na Łyczakowie sam nie chodziłem. Z Ojcem odwiedzałem jego znajomych. Pamiętam, że jeden z nich produkował cukierki „krówki”, którymi mnie poczęstował. Zdaje mi się, że od niego dostałem też książeczkę „Na tropach ludzi i zwierząt”, podręcznik dla harcerzy, którą zachowałem do dziś. Pożyczył mi również bardzo interesującą lekturę o życiu mrówek. Musiała mnie wielce zafascynować, bo pamiętam ją do dzisiaj.

Tymczasem w teatrze wojennym następowały ważne dla nas zmiany. 4 marca ruszył sowiecki 1 Front Ukraiński dowodzony przez marszałka Żukowa i 7 tegoż miesiąca doszedł do Tarnopola i Wołoczysk. Niemcy podjęli próbę kontrofensywy. Wywiązały się zacięte walki, które trwały do 21 marca. Tego dnia Sowieci wykonali uderzenie w kierunku południowym opanowując po kilku dniach Kamieniec Podolski i Czerniowce. W rezultacie znaczne siły niemieckie w tym 1 armia pancerna zostały okrążone w rejonie na północ od Kamieńca. Dla ich uwolnienia Niemcy skoncentrowali w rejonie Buczacza silne zgrupowanie i przełamali front sowiecki uwalniając z okrążenia swoje siły. 14 kwietnia oddziały 1 Frontu Ukraińskiego rozbiły garnizon niemiecki w Tarnopolu. Rosjanie przygotowywali się do opanowania Lwowa. Wstępem do tego stały się naloty lotnicze i bombardowanie miasta, rozpoczęte na dużą skalę w niedzielę Wielkanocną 9 kwietnia 1944 r.

Przeżycia związane z bombardowaniem Lwowa przez lotnictwo sowieckie wbiły mi się w pamięć. Naloty rozpoczynały się wieczorem po godzinie 21.00. Najczęściej huk wybuchających bomb mieszał się z rykiem syren alarmowych, a elektrownia centralnie wyłączała prąd. Mieszkańcy kamienicy chronili się w piwnicy. Zbiegaliśmy na dół zabierając ze sobą jakieś okrycia. W piwnicy panował nastrój przerażenia. Ludzie modlili się głośno, rozlegały się okrzyki wystraszonych. Z zewnątrz dolatywały narastające odgłosy zbliżających się samolotów i detonacje bomb. Gdy natężenie tego zgiełku dochodziło do zenitu, gdy bomby spadały już blisko i w piwnicy syłał się kurz z powały i ścian, rozlegał się z kolei grzmot artylerii przeciwlotniczej. Niemieckie działa, tzw. „Flaki” ustawione były na stokach Wysokie-

go Zamku i jeśli się nie mylę na Górze Stracenia. Jakiś czas również na torach kolejowych niedaleko Dworca Głównego stała na platformach ciężka artyleria przeciwlotnicza. Gdy ją zabrano Sowieci zbombardowali dworzec. Takie bombardowania trwały około 2 do 3 godzin. Czasem, ale rzadko, powtarzały się jeszcze nad ranem. Nasz współlokator „Adolfinek” wracał czasem podczas takiego bombardowania pieszo i później dzielił się z dorosłymi swoimi wrażeniami. Ksiądz Bizuń, opisujący ówczesne przeżycia w Seminarium Duchownym we Lwowie zanotował, że najcięższe bombardowanie miało miejsce w nocy z 1 na 2 maja. Gdy następnego dnia po jednym z nalotów szedłem na Okólskiego, widziałem zburzoną częściowo kamienicę. Wyglądało to tak jakby ktoś przeciął ją od dachu do fundamentów. Widziałem części pokoi; pod zachowaną ścianą stały jakieś sprzęty np. łóżko, na ścianach wisiały obrazy ... Wtedy też, a może innym razem spostrzegłem leżącą na bruku bombę – niewypał.

Już w tym czasie coraz więcej Polaków wyjeżdżało ze Lwowa i mniejszych miejscowości Małopolski Wschodniej kierując się na zachód, za San. 29 kwietnia wyjechała z Przemyślan rodzina Mamy. Genek jako kolejarz pełniący funkcję dyżurnego ruchu lub zawiadowcy stacji postarał się o cały wagon towarowy. Dzięki temu babcia i ciocie oraz on sam z żoną i synem, mogli zabrać meble. Jaśka opowiadała, że załadowali nawet 3 klatki królików. W Przemyślanach pozostał tylko piesek Tasek i czarny kotek. Po kilku dniach jazdy dotarli do Gorlic. Tam Genek dał pewnemu kolejarzowi klatkę z królikami, w zamian za co ten pozwolił im zatrzymać się w wagonie na jeszcze jedną noc. Tymczasem znaleźli sobie mieszkanie u niejakich Majewiczów, w którym mieszkali następnie dwa lata.

Ksiądz Bizuń tak opisuje to, co działo się wtedy we Lwowie: „Sytuacja z dnia na dzień komplikowała się coraz bardziej. Niemcy już nie kryli się z ewakuacją. Codziennie tysiące ludzi opuszczały Lwów. Rozpoczął się exodus nawet niektórych rodzin polskich. Firmy niemieckie zabierały swój sprzęt; raz po raz ktoś dawał znać, że jest okazja przejazdu do Rzeszowa, Krakowa, Warszawy. Komunikacja kolejowa z każdym dniem stała się trudniejsza ze względu na transporty frontowe, które były bardzo często atakowane i bombardowane z powietrza. Na linii Lwów–Kraków co noc ogłaszano kilka alarmów”²⁹).

W takiej sytuacji również rodzice postanowili wyjechać. Na ich decyzję wpływały zapewne różne względy. Brali niewątpliwie pod uwagę fakt, że zbliżał się front i mogło dojść do ciężkich walk o miasto. Doświadczysz okupacji sowieckiej w latach 1939–1941 nie mogli spodziewać się niczego dobrego. Być może nie łudzili się też co do losu tej części ziem polskich. Nadal wisiała nad nami groźba rzezi ukraińskich, które szalały na obszarze Małopolski Wschodniej. W porozumieniu z siostrami Mamy, oraz po naradach z babcią postanowiono ostatecznie wyjechać. Siostry Mamy z córkami miały dołączyć do rodziny znajdującej się już w Gorlicach, my natomiast mieliśmy udać się do Krakowa do wujostwa Hajnosów i tam poszukać zajęcia i mieszkania. Babcia nie chciała opuszczać mieszkania na Jachowicza. Postanowiła czuwać nad dobytkiem córki i zięcia, którzy przebywali w Siedlcach. Czekala na ich

decyzję. Ostatecznie wyjechaliśmy ze Lwowa 10 maja 1944 roku niewielkim, półtonowym autem, otwartym, bez plandeki. Usadowiliśmy się: rodzice, ciocie Stanisława i Emilia, ich córki Olga i Krzyska, trzyletnia Marylka i ja. Załadowano to co każdy mógł w takich warunkach zabrać; my – pościel, odzież, jakieś naczynia, to co udało nam się przywieźć z Podhajec. Rozstawaliśmy się z ziemią, z którą związani byliśmy od pokoleń. Ja wówczas tego w pełni nie rozumiałem. Dorośli ludzili się być może, że nie jest to rozstanie ostateczne, chociaż dzisiaj nie jestem tego pewny.

Na koniec refleksja. Pewnego razu w czasie pobytu we Lwowie, wraz z rodzicami i siostrą byłem na spacerze na Wysokim Zamku. Był piękny, słoneczny dzień. Na zawsze wbiła mi się w pamięć wspaniała panorama Miasta. Nigdy jej nie zapomniłem. Po siedmiu latach, już na Śląsku, postanowiłem zrobić sobie album z widoczkami Lwowa. Pomógł mi w tym Ojciec, który miał zdolności plastyczne i wykonał ładną okładkę i stronę tytułową. Na końcu albumu napisałem, że Lwów "był takim swoim, kochanym i cudnym jak żadne inne miasto na świecie". I dzisiaj jako stary człowiek, po osiemdziesiątce, mogę podpisać się pod tymi słowami kładąc nacisk na czas przeszły. Zmieniły się również moje rodzinne Podhajce, zmieniły się całe nasze Kresy.

Przypisy:

- 1) Mieczysław Bauman, mieszkaniec Podhajec, urodzony w 1923 r., od którego otrzymałem relacje dotyczące sytuacji w Podhajcach w tym czasie, podaje przykład aresztowania 4 września właściciela zakładu stolarskiego, niejakiego Hüttera, który organizował z osadników niemieckich tzw. „piątą kolumnę”. Hütter po aresztowaniu został przewieziony do Brzeżan.
- 2) M. Bauman zapamiętał widok soldata sowieckiego na koniu, z karabinem na sznurku, w brudnym drelichowym mundurze, który trzymał pod pachą całą blachę białych bułek i szybko je zjadał. Natomiast ks. Anczarski, będący wówczas w Wiśniowczyku zanotował, że Rosjanie „tysiącami runęli na sklepy” i „w ciągu niedługich dni (...) wygolili z towarów całkowicie”. Ks. J. Anczarski, Kronikarskie zapisy z lat cierpień i grozy w Małopolsce Wschodniej 1939–1946, Lwów-Kraków 1998, s. 33.
- 3) R. Gerlach pisze, że Rosjanie skrótki NKWD rozszyfrowywali tak: Nieznajesz Kogda Wierniosz Damoj. R. Gerlach, Los Kresowianów na Syberii ..., Biuletyn Informacyjny TMLIKPW Oddział w Poznaniu, nr 3(97) X–XII 2012.
- 4) Zob. moją pracę: Z Podhajec do Rzymu. Życie i służba księdza Mieczysława Kowalczyka TChr, Poznań 2008, oraz artykuły: Dzieje kresowej rodziny, *Semper Fidelis* nr 2 i 3 z 2004, i Podhajczanin pod Monte Cassino, *Semper Fidelis* nr 6 z 2005.

- 5) Ks. Stanisław Bizuń, Historia krzyżem znaczone, Lublin 1993, s. 116.
- 6) Opis według relacji M. Baumana.
- 7) Ojciec pracował w zorganizowanym tajnym nauczaniu w Podhajcach od 1.10.1942 do 31.01.1944 w wymiarze 15 godzin tygodniowo. Uczył j. polskiego, historii i geografii. Wyciąg z dokumentów służbowych i osobistych wypełniony przez Ojca 25.08.1947 w Grobli pow. Bochnia, oraz zaświadczenie wystawione przez Marię i Kazimierza Wojciechowskich w Sieprawiu 14.02.1946. w moim posiadaniu. I.W.
- 8) List Z. Kobyłańskiego do mnie pisany w Myślenicach 10.11.1992 r.
- 9) List p. dr L. Stobieckiej do mnie z 25.07.1994.
- 10) Zob.: Aleksander Czołowski i Bohdan Janusz, Przeszość i zabytki województwa tarnopolskiego, Tarnopol 1926, s. 180.
- 11) Przewodnik po Polsce t. II, Warszawa 1937, s. 335.
- 12) Tarnopolski Dziennik Wojewódzki nr 14/2.12.1935. W 1939 r. Zimet uciekł na Zachód. Po zajęciu Podhajec przez Sowieców, w wydawanej wówczas gazecie, ukazał się artykuł pt. Ohyda. Czarna dola robotników jajczarskich w Podhajcach, który kończył się słowami: „Pan Zimet zwał (...) Pan Zimet nie wróci, on i jemu podobni. A przyjdzie czas i odszukamy ich wszystkich, gdziekolwiek by byli i jakkolwiek by się nazywali”. Nowe Życie Podhajce nr 4 z 22.10.1939.
- 13) Spis abonentów państwowej sieci telefonicznej okręgu Lwowskiej Dyrekcji Poczty i telegrafów, 1929, s. 58.
- 14) Baruch Milch, Mój testament, *Karta* niezależny miesięcznik historyczny, Warszawa luty 1991, s. 4–5.
- 15) Ks. J. Anczarski, op. cit., s. 268–271.
- 16) Ks. S. Bizuń, op. cit., s. 184.
- 17) Zob. kwartalnik historyczny *Karta* nr 41/2004, s. 149–152.
- 18) Ks. S. Bizuń, op. cit., s. 185.
- 19) Ratowali, choć za to groziła śmierć, cz. 4. *Nasz Dziennik* z 8-9.03.2008.
- 20) M. Bauman wymienia kilka osób z rodzin Scheerów, Grosów, Schnitzlerów, Kimlów, Lehrerów i Rozmaryna. Bernard Scheer osiadł po wojnie w Stanach Zjednoczonych AP opublikował dwa małe wspomnienia: Don't cry out loud, Hartford, Connecticut, 1989, oraz Death of the innocent, West Hartford, CT., 1991.
- 21) Zob.: Podhajci ta Podhajeczczyna, Ternopil 2012. Co do czasu zburzenia rotundy są sprzeczne informacje.
- 22) Zaświadczenia: R.G.O. Polnisches Hilfskomitee Bestätigung z 6.08.1942 i 16.08.1943.
- 23) Ks. S. Bizuń, op. cit., s. 184.
- 24) Tamże, s. 192.
- 25) Zob.: Henryk Komański i Szczepan Siekierka, Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na Polakach w województwie tarnopolskim 1939–1946, Wrocław 2004, s. 252–279 oraz 759–772.
- 26) Zob. też: Jan Stanisław Smalewski, Wyrok Warkuta. Wywiad-rzeka z zesłańcem na Warkutę Józefem Wojciechowskim, Wrocław 2007, s. 52.
- 27) H. Komański, S. Siekierka, op. cit., s. 263–264.
- 28) List mojego Ojca Józefa w moim posiadaniu.
- 29) S. Bizuń, op. cit., s. 204.

Teresa Paryna

Pastelowy rapsod

Jakże bliski ten daleki świat starych fotografii...

Świt. Budzą się rogatki Lwowa.
Już pejsaty Żyd wybiega przed sklep,
zaprasza, chwali towar.
Czyścibut rozkłada szczotki.
Turkoczą furmanki, gdzieś od Łyczakowa –
w półkoszkach kokoszą się gosposie ...
Płynie „Lwowska Fala” –
echo brukiem dudni.
Ktoś zażył tabaki, kichnął! –
Przestraszyły się wróble ...

Przy cukierni gazeciarz,
w bramie śmiech batiarów.
Zegar na Ratuszu wybił trzy na siódmą,
od gromów, od złodziei
broń nas Łyczakowska Pani!...

Świat drewnianych liczydeł,
szum długich spódnic –
wszystko się oddala, milknie
w cieplej sepii ...

XII/2001

Janusz Sekulski

Uczcili 69 rocznicę Powstania Warszawskiego

Gnieźnieński oddział TMLiKPW wspólnie z komendą hufca ZHP w Gnieźnie zorganizował uroczystość 69 rocznicy Powstania Warszawskiego. Obok członków towarzystwa oraz harcerzy udział wzięli przedstawiciele Prezydenta miasta Gniezna, Starosty Gnieźnieńskiego, członkowie zrzeszeni i stowarzyszeni, mieszkańcy Gniezna.

O godz. 17 (Godzina W) przy dźwięku syren zebrani uczcili pamięć poległych. Odśpiewano hymn państwowi. Odczytany został rozkaz specjalny komendy hufca ZHP przypominający walkę powstańców z hitlerowskim okupantem i silniejszym od śmierci dążeniem do wolnej Polski. Apel poległych odczytał p. Janusz Sekulski prezes gnieźnieńskiego TMLiKPW.

„Synowie i córki narodu polskiego, którzy w harcerskich mundurach czy w stroju cywilnym, toczyli śmiertelną walkę o życie i wolność narodu o honor Ojczyzny naszej – Polski, stańcie do apelu!”

„Wzywam was najlepsi synowie ojczyzny, bohaterowie zmagali się z hitlerowskim najeźdźcą – spadkobiercy najpiękniejszych tradycji narodu, stańcie do apelu!”

„Wzywam was harcerze – męczennicy kaźni, lochów gestapo i obozów koncentracyjnych, stańcie do apelu!”

„Wzywam was Orlęta lwowscy – drużyny i druhowie, którzy oddali swoje młode życie za ojczyznę, broniąc umiłowanej Ziemi Lwowskiej, stańcie do apelu!”

„Wzywam was żołnierze Armii Krajowej, którzy oddaliście swe życie w walce o wolność i honor ojczyzny, stańcie do apelu!”

„Wzywam was żołnierze powojennych podziemnych struktur, ofiary komunistycznego terroru, często wasze młode życie i bohaterskie czyny nie poszły na marne. Wolna i demokratyczna Polska nigdy o was nie zapomni. Oddaliście życie za wolną Polskę”

Stańcie wszyscy na uroczystym Apelu. Jesteście przekonani, że po wielu latach zniewolenia, Polska odzyskała wolność. Niestety, układy w Poczdamie i Jaltie pozbawiły was przepięknych i prastarych Kresów. Wasze bohaterskie czyny i wasz patriotyzm pokazały jak właściwie należy kochać Boga i Ojczyznę.

Po apelu uczestnicy wraz z ks. kan. dr. Janem Szrejterem, członkiem i opiekunem naszego oddziału odmówili modlitwę za poległych. Złożenie kwiatów i zapalenie zniczy na skwerze Orląt Lwowskich przy pomniku harcerzy przy dźwiękach werbli zakończyło uroczystość.

Z pomocą dla rodaków na Ukrainie

Z dwudniowego pobytu z pomocą humanitarną u naszych rodaków na Ukrainie wróciła delegacja gnieźnieńskiego oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. Nauczani doświadczeniem z poprzednich dwóch lat, kiedy byliśmy zwracani przez ukraińskie służby celne do Polski po wielogodzinnym oczekiwaniu większość towaru pozostawiliśmy w magazynie parafii w Medyce. Tak uzgodniliśmy wcześniej z dyrekcją polskiej szkoły w Strzelczyskach oraz siostrami zakonnymi z Krysowic i ze Lwowa. Swym transportem odbiorą paczki w najbliższym czasie.

Pozostawiliśmy duże ilości nowego obuwia, środków czystości, odzieży nowej, żywności dla mieszkańców parafii w Strzelczyskach, Domu Pomocy i Pielgrzymstwa w Krysowicach oraz polskich rodzin i sióstr Józefitek we Lwowie. Zabraliśmy jedynie paczki z przyborami szkolnymi, plecakami itp. zebrane przez dzieci i młodzież gnieźnieńskich szkół (akcja prowadzona za pośrednictwem oddziału Związku Nauczycielstwa Polskiego) dla polskiej szkoły w Strzelczyskach. Nie ryzykowałem nawet zabrania opakowań z płynami do mycia naczyń czy rąk. Ukraińska celniczka pomimo to rozrywała opakowania, fotografowała bagaż, czyniła niewybredne uwagi nie wspominając już o jej bardzo groźnej minie.

W końcu po dłuższym, ok. trzygodzinnym oczekiwaniu przekroczyliśmy granicę i dojechaliśmy do szkoły w Strzelczyskach. Jak zawsze witani bardzo serdecznie. Podziękowaniom nie było końca, zapomnieliśmy o zmęczeniu i bolących nogach. Nocleg u sióstr Służebniczek Śląskich w Krysowicach, śniadanie i wyjazd do Lwowa.

Jak zawsze podziękowania przed cudownym obrazem Matki Bożej Łaskawej w Katedrze i wyjazd na Cmentarz Łyczakowski i Cmentarz Obrońców Lwowa (Orląt Lwowskich). Obok odwiedzenia grobów Wielkich Polaków zależało nam oddać pokłon Powstańcom Styczniowym w 150 rocznicę Powstania, ich walki o niepodległość. Pomnik i Kwatery Powstańców 1863 r. znajduje się na dość stromym wzgórzu. Nic to jednak było dla starszego pana pomimo trzaskających kolan. Obecnie cały obiekt poddawany jest renowacji (oczywiście przez stronę polską). Przy Pomniku Powstańców i wokół grobów zapaliliśmy znicze, chwila zadumy i w ten sposób oddaliśmy hołd naszym bohaterom. Chyba jako jedyni gnieźnianie uczciliśmy 150 rocznicę Powstania Styczniowego w ten sposób przy pomniku i grobach powstańców. Jak dotychczas w Gnieźnie ta rocznica nie był świętowana w jakiś specjalny sposób, a może w ogóle.

W kaplicy na Cmentarzu Orłąt Lwowskich zamieniliśmy kilka zdań z prezesem Towarzystwa Opieki nad Polskimi Grobami Wojskowymi we Lwowie, złożyliśmy datki na odbudowę tych grobów, zapaliliśmy znicze przy płycie grobu zbiorowego i wyruszyliśmy w drogę powrotną do Kraju. Przejazd w przeciwieństwie do poprzedniego roku, kiedy celnicy polscy wzięli nas chyba za przemytników, tak ze strony Ukraińców jak i służby polskiej, odbył się bez problemów.

Tak duża pomoc nie byłaby możliwa bez darczyńców. Słowa podziękowania składamy przede wszystkim

p. Maciejowi Korneckiemu firma „Kornecki”, firmie „Maciejka”, panom Romanowi Macioszkowi i Wojciechowi Grajkowi z Jankowa Dolnego, pani Mirosławie Budziak z Jerzykowa, p. Zb. Hoffmanowi, firmom „Nest”, „Sofex”, „Bol-An”, „Kos-Bud” za pomoc finansową.

Szczególne podziękowania należą się panu Jarosławowi Chojnackiemu, który nie tylko użyczył swój pojazd, ale również kierował, pomagał przy pakowaniu. □

Wanda Butowska

XVI Dni Lwowa i Kresów w Poznaniu

Tegoroczne – XVI Dni Lwowa i Kresów (13 IX–17 IX br.) pod honorowym patronatem prezydenta Poznania Ryszarda Grobelnego, marszałka Województwa Wielkopolskiego Marka Woźniaka i wojewody wielkopolskiego Piotra Florka – podporządkowane zostały w całości pamięci Rodaków na Kresach okrutnie tam wymordowanych i doświadczonych.

Już w lipcu w 70. rocznicę krwawych dni, w krużgankach kościoła oo. Dominikanów została odsłonięta tablica upamiętniająca ofiary ludobójstwa na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej.



Tablica „Pamięci Rodaków...”

Wrześniowe „Dni Lwowa” rozpoczęła wystawa pt. „OUN-UPA: ludobójstwo i potępienie. Polska-Ukraina: współpraca i partnerstwo” eksponowana w holu Urzędu Wojewódzkiego.

Wystawa jest własnością Stowarzyszenia Upamiętnienia Ofiar Zbrodni Ukraińskich Nacjonalistów, a jej

przesłaniem – hołd ofiarom ludobójstwa, a żyjącym ku pamięci i przestrodze. Współautorami katalogu wystawy są: Szczepan Siekierka, Henryk Komański, Czesław Filipowski.



Pomnik Ofiar Katynia i Sybiru

Wystawę otwierała prezes – Bożena Łączkowska z przedstawicielami Urzędu: wicewojewodą Przemysławem Pacią i dyrektorem Biura Wojewody Andrzejem Plesińskim. Jak zauważył wojewoda, takiej wystawy w Urzędzie jeszcze nie było.

Do tematyki ekspozycji nawiązywał program inauguracji „XVI Dni Lwowa i Kresów”, podczas której miała być wręczona statuetka Lwa „Semper Fidelis” Władysławowi i Ewie Siemaszkom w uznaniu ich pracy dokumentującej zbrodnię ludobójstwa dokonanej przez organizację OUN UPA i ich wyznawców na polskich mieszkańcach Wołynia, a także wykład pani Siemaszko. Laudację wygłosił Iwo Werschler.

W zastępstwie nieobecnych – Ewa Siemaszko odwołała swój przyjazd w ostatniej chwili z powodu choroby Ojca – wystąpił Szczepan Siekierka prezes Stowarzyszenia Upamiętnienia Ofiar Zbrodni Ukraińskich Nacjonalistów, wyróżniony naszą statuetką w 2009 r.

Szczepan Siekierka – świadek wydarzeń i uczestnik tragedii opowiadał o pracy Stowarzyszenia dopełniającej dokumentację Siemaszków głównie odnośnie terenów Małopolski Wschodniej. Zebrane materiały – relacje ocalałych – zgromadzono w kilku tomach poświęconych województwom kresowym.

Program artystyczny „Dni” to spokojne nastrojowe spotkanie w „Salonie Lwowskim” z występem poetycko-muzycznym Wojciecha Habeli i prof. Pawła Bieńkowskiego (akompaniament).

Artysta deklamował wiersze m.in. Jerzego Michotki, Feliksa Konarskiego – Ref-Rena, śpiewał lwowskie piosenki. Występ zakończył się wspólnym z publicznością odśpiewaniem „Tylko we Lwowie”. A potem jeszcze miła pogawędka, w której artysta opowiedział o swoim duchowym zobowiązaniu wobec ojca – urodzonego we Lwowie, muzykologa z zamiłowania, o spotkaniach ze Lwowem i jego mieszkańcami, odpowiadał na pytania gości.

Koncert został powtórzony następnego dnia (w niedzielę) w Parku Solacim przy restauracji „Meridian”.

17 września to kolejna smutna rocznica – włączyliśmy się w krąg uroczystości przygotowanych przez Urząd Wojewódzki i inne organizacje: Msza św. u oo. Franciszkanów, następnie przemarsz ulicami miasta, składanie kwiatów przy tablicach pamięci, zakończony uroczystością przy pomniku Ofiar Katynia i Sybiru. Przy pomniku poproszono o głos prezes naszego Towarzystwa, która nawiązując do lipcowej rocznicy m.in. powiedziała: „przypadająca 70. rocznica tych zbrodni daje unikalną szansę na trwałe zapisanie jej



„Salon Lwowski” w Domu Polonii

w świadomości Polaków i Ukraińców. Młode pokolenie powinno potraktować te zbrodnie jako ostrzeżenie przed skrajnym nacjonalizmem”.

Po zakończeniu uroczystości przy pomniku uczestnicy zaproszeni zostali na koncert muzyki klasycznej w wykonaniu pedagogów i studentów Akademii Muzycznej im. I.J. Paderewskiego „Poznań Kresom”. W programie znalazła się muzyka barokowa.

Fotografie – Jacek Jerzy Kołodziej

Leszek Mulka

Pamięć o ludobójstwie Polaków na Kresach

17 września 2013 r. w oleśnickiej bazylice mniejszej odbyła się podniosła patriotyczna uroczystość. W 74 rocznicę uderzenia wojsk sowieckich na walczącą z hitlerowskim najeźdźcą Polskę została odprawiona uroczysta Msza św. w intencji Ojczyzny oraz za Polaków poległych i zamordowanych na Wschodzie. Tuż przed Mszą św. wystąpiły dzieci ze scholi prowadzonej przez siostrę Chrystianę z programem słowno-muzycznym nawiązującym do tragicznych wydarzeń II wojny światowej.

Mszy św. koncelebrowanej przewodniczył ks. Jan Kudlik, proboszcz parafii Matki Bożej Fatimskiej w Oleśnicy.

Podniosły charakter uroczystości podkreślały zgromadzone przed ołtarzem poczty sztandarowe oleśnickich szkół i organizacji kombatanckich.

W tym roku szczególnie modlono się za Polaków pomordowanych przez ukraińskich nacjonalistów na Kresach Wschodnich II Rzeczypospolitej w latach 1939-1947. Mało znaną i dotychczas przemilczaną historię ludobójstwa ludności polskiej, dokonanego przez Organizację Ukraińskich Nacjonalistów (OUN) i Ukraińską Powstańczą Armię (UPA), przedstawił w pięknej homilii ks. Marcin Wojteczek.

Po Mszy św. nastąpiło uroczyste poświęcenie i odsłonięcie tablicy pamiątkowej znajdującej się przy wejściu głównym bazyliki. Na tablicy widnieje napis:

Pamięci Polaków pomordowanych przez ukraińskich nacjonalistów na Kresach Wschodnich II Rzeczypospolitej w latach 1939–1947

Tablica została ufundowana przez członków TMLiKPW w Oleśnicy. Zamiar wykonania takiej tablicy powstał wiele lat temu, ale dopiero teraz, 70 lat po Rzezi Wołyńskiej, udało się go zrealizować. Szkoda tylko, że wielu członków Towarzystwa, świadków historii, nie doczekało tej uroczystej chwili.

W otoczeniu pocztów sztandarowych tablicę poświęcili ks. Jan Kudlik i ks. Tadeusz Faryś. Symbolicznego odsłonięcia dokonał inicjator tego przedsięwzięcia, prezes Klubu TMLiKPW w Oleśnicy Leszek Mulka, który powiedział:

Nie było w historii Polski bardziej zafalszowanej i przemilczanej sprawy jak ludobójstwo ludności polskiej na Kresach Wschodnich II Rzeczypospolitej dokonane przez ukraińskich nacjonalistów w latach drugiej wojny światowej.

Na Wołyniu, w województwie lwowskim, tarnopolskim i stanisławowskim ukraińscy nacjonaści w okrutny sposób wymordowali około 200 tys. Polaków. Ile dokładnie nie wiadomo, ponieważ wiele miejscowości

zostało zrównanych z ziemią, wszyscy ich mieszkańcy wymordowani, a miejsca ich pochówku są nieznane. Z powierzchni ziemi i z mapy zniknęło prawie 1500 miejscowości.

Prerażający jest ogrom zbrodni i niewyobrażalne okrucieństwo morderców. Męczeńska śmierć Polaków z rąk ukraińskich nacjonalistów to była prawdziwa Golgota.

Na tej tablicy umieszczone jest mickiewiczowskie motto: **Jeżeli zapomnę o nich, Ty Boże na niebie zapomnij o mnie.**

Więc pamiętajmy o nich, nie przechodźmy obok tej tablicy obojętnie i módlmy się za nich.

Następnie poczty sztandarowe i uczestnicy uroczystości udali się pod pomnik „GOLGOTA WSCHODU”, pod którym odmówiono modlitwę za Polaków poległych i pomordowanych na Wschodzie, po czym delegacje władz samorządowych, stowarzyszeń i szkół złożyły pod pomnikiem wiązanki kwiatów.

Udział w tej uroczystości wzięli przedstawiciele władz samorządowych Oleśnicy, organizacji kombatanckich, członkowie Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, uczniowie oleśnickich szkół i licznie zgromadzeni mieszkańcy Oleśnicy. □

Zygmunt Zelek

Obchody 74. rocznicy napaści Związku Sowieckiego na Polskę oraz obchody Dnia Sybiraka w Świdnicy

W 74 rocznicę wydarzeń wrześniowych 1939 roku: wybuchu II wojny światowej i napaści Związku Sowieckiego na Polskę, w niedzielę 29 września 2013 r. w Katedrze Świdnickiej został odprawiona wspólna Msza Święta w intencji pomordowanych, zmarłych, żyjących Sybiraków oraz Kresowian – Lwowiaków. W 2013 roku przypada 85 rocznica powstania i 25 reaktywowania Związku Sybiraków, również w tym roku

Zelek. Nawiązał do historii spotkań okolicznościowych Sybiraków, mówił że po raz kolejny spotykamy się w rocznicę wydarzeń wrześniowych w gronie żyjących Sybiraków, młodzieży szkolnej i Was mili goście, aby podziękować Bogu za łaski, jakie otrzymaliśmy i prosić o Królestwo Niebieskie dla tych, którzy po powrocie do kraju odeszli na wieczną wartę. Przypomnienie naszego sybirackiego życia jest bolesnym rozdrapywaniem



Związek Sybiraków Koło Ziemi Świdnickiej liczy obecnie około 300 członków. 160 osób to tzw. prawdziwi Sybiracy – deportowani. Pozostali to wdowy i wdowcy po Sybirakach.

przypada 25 rocznica powstania Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. W związku z tymi rocznicami w dniu 29 września br. w obecności licznie zgromadzonych wiernych, młodzieży szkolnej, Sybiraków (Lwowiaków) w asyście księży diecezjalnych Mszę Świętą odprawił i homilię wygłosił JE ks. biskup Ignacy Dec.

Po Mszy Świętej odbyła się druga część spotkania w klubie muzycznym „Łaźnia” w Świdnicy, poczynawszy od wysłuchania hymnu Sybiraków w wykonaniu zespołu młodzieżowego IV LO im. Orłąt Lwowskich w Świdnicy. Po wysłuchaniu hymnu Sybiraków i uczczeniu minutą ciszy zmarłych młodzieży IV LO wystąpiła w krótkim spektaklu słowno-muzycznym dotyczącym w/w dat i rocznic. Po przedstawieniu programu artystycznego młodzieży z IV LO głos zabrał Prezes Koła Zygmunt

Zelek. Nawiązał do historii spotkań okolicznościowych Sybiraków, mówił że po raz kolejny spotykamy się w rocznicę wydarzeń wrześniowych w gronie żyjących Sybiraków, młodzieży szkolnej i Was mili goście, aby podziękować Bogu za łaski, jakie otrzymaliśmy i prosić o Królestwo Niebieskie dla tych, którzy po powrocie do kraju odeszli na wieczną wartę. Przypomnienie naszego sybirackiego życia jest bolesnym rozdrapywaniem ran, które nie zabiły się do końca. W dalszej części przemówienia Prezes Koła serdecznie powitał zgromadzonych gości m.in. Jego Ekscelencję księdza biskupa Ignacego Deca, księdza infułata Kazimierza Jandziszaka wieloletniego kapelana Sybiraków, parlamentarzystę Annę Zalewską i Katarzynę Mrzygłocką, przedstawicieli władz miasta: pana prezydenta Wojciecha Murdzka, przewodniczącą Rady Miasta panią Joannę Gadzińską, przedstawicieli starostwa: panią Alicję Synowską, Urzędu Gminy panią Annę Szymkiewicz oraz Jadwigę Generowicz. Wśród obecnych gości był Prezes Związku Sybiraków w Wałbrzychu Jerzy Orabczuk z małżonką oraz prezesi zaprzyjaźnionych organizacji kombatanckich, młodzieżowych, członków Związku Sybiraków, harcerstwa, opiekunowie młodzieży z IV LO im. Orłąt Lwowskich w Świdnicy z panią Dyrektorką Joanną Szalek oraz Anną Kurowską. W dalszej części spotkania Prezes pan Zygmunt Zelek nawiązał do wybuchu II wojny światowej oraz napaści Związku Sowieckiego na Polskę, stwierdzając że 17 września 1939 roku jest dniem tragedii Narodu Polskiego. Dzień ten należy obchodzić z pełnym szacunkiem i powagą. W 2013 roku w miesiącu wrześniu dzień ten został uznany przez Sejm Rzeczypospolitej Polskiej oficjalnie Dniem Sybiraka. Jan Paweł II polski papież wyniesiony na ołtarze w jednej ze swoich wizyt w kraju powiedział: „Wydarzenia 17 września 1939 roku są rozdziałem i martyrologią polską, która nie może być nigdy zapomniana”. 74 lata po wydarzeniach wrześniowych Związek Sybiraków

obchodzi dwie bardzo ważne rocznice tj. 85 rocznica powstania i 25 rocznica reaktywowania Związku Sybiraków. Z okazji tych rocznic decyzją Prezesa Zarządu Głównego w Warszawie ustanowiono Złote i Srebrne Honorowe Odznaki za Zasługi dla Związku Sybiraków, które w czasie spotkania wręczył Prezes Oddziału Związku Sybiraków w Wałbrzychu Jerzy Orabczuk. Złotymi Odznakami zostali uhonorowani: ksiądz biskup Ignacy Dec, ks. infułat Kazimierz Jandziszak, Sybiraczka Wanda Budziszyn. Srebrne odznaczenia otrzymali: Halina Łopatowska, Janina Garaszczuk, Hermina Słowińska i Danuta Jarosz. Natomiast podziękowania w postaci dyplomów otrzymali prezesi organizacji kombatanckich zrzeszonych w Świdnicy oraz opiekunowie młodzieży z IV LO dyrektor Joanna Szalek i Anna Kurowska.

Wracając do daty powstania Związku Sybiraków, pierwszy zjazd odbył się w dniach 29–30 czerwca 1928 roku w Gmachu Cytadeli Warszawskiej w obecności Prezydenta Rzeczypospolitej Ignacego Mościckiego wraz z dwoma tysiącami delegatów. Na honorowych członków wybrano Marszałka Józefa Piłsudskiego i pisarza syberyjskiego Wacława Sieroszewskiego. Druga data to 25 rocznica reaktywowania Związku przypadająca na dzień 17 grudnia 1988 r., natomiast pierwsze zgromadzenie odrodzonego Związku odbyło się 13 stycznia 1989 r. Jak wiemy Związek Sybiraków odrodził się w czasie stanu wojennego i rozwijał się w bardzo trudnych warunkach, musiał pokonywać wiele trudności politycznych, administracyjnych i finansowych.

W Świdnicy głównym inicjatorem powstania grupy założycielskiej Związku Sybiraków był Edward Polak, były więzień polityczny, członek AK. 19 stycznia 1989 roku na pierwszym spotkaniu grupy założycielskiej, wśród której znaleźli się Czesław Bartkiewicz, Jerzy Orabczuk, Franciszek Pięta, Jan Krupa, Zofia Bazydło i wielu innych, przyjęto nazwę Związek Sybiraków Koło Ziemi Świdnickiej w Świdnicy, prezesem został wybrany Czesław Bartkiewicz, natomiast kapelanem Sybiraków został ksiądz infułat Kazimierz Jandziszak, który nadal pozostaje opiekunem bożym naszego Koła. Do Koła Związku Sybiraków w Świdnicy w owym czasie należeli członkowie: Strzegomia, Świebodzic, Żarów, Jaworzyny Śląskiej, Marcinowic oraz Miasto i Gmina Świdnica. Od października 2000 r. na Prezesa Koła został wybrany pełniący obecnie tę funkcję pan Zygmunt Zelek.

Spotkanie odbyło się w miłej i przyjacielskiej atmosferze, były wspomnienia, śpiewano pieśni w wykonaniu Sybiraczki Anieli Kowalczyk, które były śpiewane na Sybirze przez Polaków. Był czas na refleksje na przyszłość, jak i wspomnienie trudności, na jakie napotykać obecnie żyjący Sybiracy. Na zakończenie spotkania przypomniane zostało główne przesłanie (dewiza) Związku Sybiraków: „Pamięć zmarłym, żyjącym pojednanie”. Oddajmy dowody pamięci zmarłym, a żyjącym głośmy pojednanie.

Wielu Sybiraków żyje dzisiaj w trudnych warunkach, tego czego najbardziej pragną to powiedzenie całej prawdy o ich losie, zadośćuczynienie i godna śmierć. □

Marian Winiarski

Białe soboty w parafii Medenice na Kresach

Patriotyzm „Małych Ojczyzn”

Miłość do miejsca urodzenia, kultywowanie tradycji, obyczajów i kultury – to patriotyzm „małych Ojczyzn”.

Po II wojnie światowej, po masowych deportacjach Polaków z Kresów na tereny PRL, Kresowiaczy zachowali piękne tradycje kultury i obyczajowości. Lwów stał się symbolem nostalgii przesiedlonych Polaków, bo był on szczególnie w dobie autonomii galicyjskiej i w okresie II Rzeczypospolitej centrum polskości.

Kresy południowo-wschodnie zostały włączone do Polski w połowie XIV wieku za panowania Kazimierza Wielkiego i przez kolejne wieki były częścią państwa polskiego. Na początku XIV wieku książę halicki Daniel lokował miasto Lwów, jego nazwa pochodzi od imienia syna Daniela – Lwa. Miasto w krótkim czasie stało się integralną częścią I Rzeczypospolitej, głównym ośrodkiem Kresów. W tym mieście w XVI wieku został zawiązany pierwszy rokosz szlachecki, czyli wypowiedzenie posłuszeństwa królowi Zygmuntowi Staremu i jego żonie Bonie. Pretekstem do tego zbrojnego spisku szlachty były próby czynione przez dwór królewski wzmocnienia władzy monarszej. Rokosz ten wszedł do historii jako wojna kokosza z powodu obżarstwa rebeliantów.

Drugim ważnym wydarzeniem były śluby lwowskie Jana Kazimierza w 1656 r. w katedrze lwowskiej. Śluby te były podziękowaniem Matce Boskiej za obronę Ja-

snej Góry przed Szwedami i oddawały Polskę pod opiekę Pani Jasnogórskiej. W 1956 r. prymas Polski kardynał Stefan Wyszyński odnowił te śluby. Za Jana Kazimierza powołano we Lwowie Collegium Jezuickie.

Na mocy III konwencji rozbiorowej z 1795 r. ziemie te zostały włączone do habsburskiej Austrii i zaczęto nazywać je Galicją.

W drugiej połowie XIX wieku po przegranej przez Austrię wojnie z Prusami cesarz Franciszek Józef przebudował monarchię habsburską na dualistyczną monarchię austro-węgierską. W ramach tej przebudowy Galicja otrzymała autonomię, a Lwów stał się jej stolicą. Rezydował namiestnik z ramienia Wiednia i tu funkcjonowały organy autonomiczne, a były nimi: Sejm Krajowy, Wydział Krajowy i Krajowa Rada Szkolnictwa. Z Sejmem Krajowym wiąże się polityczna kariera lidera polskich chłopów Wincentego Witosa. Rozpoczął on działalność polityczną od deputowania do Sejmu Krajowego, następnie Sejmu Wiedeńskiego, a w niepodległej Polsce był trzykrotnie premierem. Lwów w dobie autonomicznej stał się centrum polskości – miastem dialogu religijnego, narodowego, rozwijającej się nauki i kultury.

W czasie I wojny światowej rodzą się tendencje budowy narodowych państw na gruzach Monarchii Austro-Węgierskiej. W Galicji zamieszkałej w większości przez Polaków i Rusinów oba narody tworzą siły zbroj-



Fot. Marian Orliński

Medenice 15 IX 2013. Niedzielną Msza św. Na około 189 osób prawie 90 procent przystąpiło do Komunii św.

ne. Są nimi: polskie Legiony Józefa Piłsudskiego i ukraińskie Legiony Siczowe Eugeniusza Petrusiewicza. Te ukraińskie legiony opanowały Lwów 2 listopada 1918 roku. Do walki o miasto przystąpiła ludność polska, w tym młodzież i dzieci, przez 3 tygodnie toczyły się walki o Lwów, 22 listopada 1918 roku oddziały ukraińskie wyszły ze Lwowa, a miasto świętowało zwycięstwo.

Poległych Polaków i Ukraińców pogrzebano na cmentarzu Łyczakowskim, z powodu młodego wieku ofiar powstała kwatery cmentarna – Orląt Lwowskich.

Drugim wielkim zrywem patriotycznym była walka o Lwów z bolszewikami w 1920 roku, pod miasto podeszły wojska bolszewickie dowodzone przez generała Jegorowa. W ramach tego frontu walczyła I Armia Konna dowodzona przez Semena Budionnego. W sierpniu 1920 r. wojska Budionnego stoczyły bój pod Lwowem w Zadwórzcu z polskim oddziałem dowodzonym przez kapitana Zajączkowskiego. W Zadwórzcu Budionny rozbił polski oddział i zamordował 318 polskich żołnierzy. Ten mord wszedł do historii jako I polskie Termopile. W okresie międzywojennym upamiętniono ten ludobójczy mord cokołem, zniszczonym po II wojnie światowej przez władze sowieckie i ponownie odrestaurowanym w latach osiemdziesiątych XX wieku.

Traktat ryski z 18 marca 1921 r. ustalał granicę polsko-sowiecką: przebiegała ona od środkowego biegu Dźwiny na południe wzdłuż rzeki Zbrucz do granicy z Rumunią. W dobie II Rzeczypospolitej Lwów stał się jednym z ważniejszych miast. Sławę temu miastu przyniósł Uniwersytet im. Jana Kazimierza, wówczas najlepsza uczelnia Polski, znalazła się ona w czołówce uczelni świata, wnosząc wielki wkład do światowej nauki. Szczególny wkład wniosła szkoła matematyczna Stefana Banacha i szkoła medyczna Ludwika Rydygiera. Lwów kontynuował tradycję dialogu religijnego. Funkcjonowały tu metropolie czterech wyznań chrześcijańskich: katolicka, prawosławna, unicka i ormiańska.

Ponadto we Lwowie powstała swoista kultura: radiowa Lwowska Fala i Batiary, które rozślawiały Lwów w Polsce i świecie.

Ten owocny okres zakończył się we wrześniu 1939 r. Kresy Wschodnie i Lwów opanowała Armia Czerwona i rozpoczęły się pierwsze prześladowania ludności polskiej. W czerwcu 1941 r. Lwów opanowała armia niemiecka, dokonując w lipcu 1941 r. mordu polskich intelektualistów na Wzgórzach Wuleckich. Wśród zamordowanych znalazł się Tadeusz Boy-Żeleński i Stefan Banach. W 1944 r. Kresy ponownie opanowała Armia Czerwona, postanowieniem Konferencji w Jaltie ustalono wschodnią granicę Polski wzdłuż linii Curzona z niewielkimi zmianami w 1951 r.

Dla Polaków mieszkających od wieków na terenach kresowych była to dziejowa tragedia. Następowaly aresztowania, zsyłki do republik środkowoazjatyckich i Syberii oraz deportacje na ziemie odzyskane. Miastami, gdzie osiedliła się największa liczba Polaków ze Lwowa, były Wrocław, Bytom i Gliwice. Należy podziwiać tę ludność, która stopniowo wrastała w nowe realia, zachowując wiele obyczajów kresowych i kresowe tradycje.

W latach osiemdziesiątych XX wieku następowała transformacja ustrojowa państw bloku wschodniego. Rozpoczęła się ona w Polsce, od wielkiego ruchu „Solidarność”. Następował powolny demontaż „realnego socjalizmu”.

Polacy związani z kulturą i obyczajami Lwowa i Kresów postanowili nawiązać do tradycji kresowych. Dlatego 22 września 1988 r. we Wrocławiu zarejestrowano Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. W przyjętym statucie znalazł się zapis o tworzeniu w Polsce oddziałów i klubów tego Towarzystwa. Również kielczanie mający rodowód kresowy rozpoczęli starania o powołanie oddziału. W dniu 5 stycznia 1989 r. T. Rubik otrzymał upoważnienie do

organizowania kieleckiego oddziału. Wydział Społeczny Urzędu Miejskiego w Kielcach wydał zezwolenie na odbycie zebrania założycielskiego. Odbyło się ono 23 marca 1989 r. w Szkole Podstawowej nr 12. Wzięło w nim udział 59 uczestników, a pierwszym prezesem został Wojciech Podolecki. Przyjęto statut, który mówi o wspieraniu moralnym i finansowym Polaków, którzy pozostali na Kresach.

Zarząd Główny Towarzystwa w 2003 r. przydzielił kieleckiemu oddziałowi opiekę nad odrestaurowaną parafią rzymskokatolicką w Medenicach. Liczy ona około 200 wyznawców w mieście, w którym mieszka około 4 tysięcy mieszkańców. Funkcjonują tam również



Fot Marian Orlński

Medenice 14 IX 2013. Grupa lekarzy z Kielc oraz członków TMLiKPW O. Kielce. Od dołu: Alicja Jabłońska, dr Marta Sitnik, dr Jarosław Kossak, dr Hanna Krasowska-Kurzeja, s. Adriana, s. Magda, dr Lucyna Rzepecka-Raczyńska, ks. Ryszard Pędzimąż – proboszcz, Marian Orlński – organizator wyjazdu, mgr Marian Winiarski – historyk, dr Wiesław Sitnik.

dwa wielkie wyznania chrześcijańskie: unicy i prawosławni. Od 2003 r. kielecki oddział organizuje zbiórki pieniędzy, kwesty z przeznaczeniem na renowację kościoła i zespołu parafialnego w Medenicach.

Medenice

Wieś Medenice jest położona w dawnym powiecie drohobyckim około 22 km od Drohobycza nad rzeczkami Tyśmienicą i Letnianką, dopływami Dniestru. Nazwa miejscowości pochodzi od ruskiego słowa med – miód i wiąże się z rozwiniętym tu od dawna pszczelarstwem. Medenice po raz pierwszy zostały odnotowane w 1395 r. w związku z pobytem króla Władysława Jagiełły. W 1533 r. wieś otrzymała przywilej królewski, zwalniający jej mieszkańców od niektórych powinności. W XV wieku Medenice wchodziły w skład starostwa drohobyckiego, a następnie stanowiły ośrodek ekonomii samborskiej. W XVIII wieku przybyli osadnicy niemieccy i utworzyli niemieckie osiedle. W 1880 r. Medenice zostały zniszczone przez pożar.

Nie jest znana data powołania w Medenicach parafii rzymskokatolickiej i jej fundacja. Tradycja głosi, że pierwszą świątynię zbudowano za panowania Królowej Jadwigi, był to kościół drewniany z dwoma ołtarzami. Za panowania Zygmunta Augusta kościół został odno-

wiony, a przy parafii działała szkoła. W 1741 r. założono Bractwo Świętej Trójcy. Parafia należała najpierw do dekanatu samborskiego, a następnie drohobyckiego. Nową świątynię zbudowano w dobie panowania Jana III Sobieskiego, a jej fundatorem był Król. Obszerna świątynia składała się z prezbiterium i nawy, do której przylegała dzwonnica. W świątyni było 6 ołtarzy z nazwiskami fundatorów. Szczególnie wiele kościół medenicki zawdzięcza Jerzemu Rzeczyckiemu, w protokołach nazywanemu benefaktorem. To on sprawił dwa ołtarze, obił świątynię gontami, wymienił dach i podłogę.

Na początku XIX wieku wzniesiono nowy kościół murowany, na fundamentach poprzedniego, zniszczonego przez pożar. Konsekracji świątyni pod wezwaniem Trójcy Świętej dokonał biskup przemyski Franciszek Ksawery Wierchlejski w 1858 r. Dokumenty parafialne mówią, że kupiono organy, figurę Matki Boskiej, odnotowano też istnienie 4 ołtarzy.

Sporo zmian w kościele dokonano pod koniec XIX wieku, sprawiono ołtarz boczny pod wezwaniem Najświętszego Serca Jezusa, odnotowano ołtarz Matki Boskiej i przeprowadzono renowację na zewnątrz, w 1913 r. wykonano w całym kościele podłogę ze sztucznego kamienia, zakupiono również 4 dzwony (w tym sygnaturkę). W latach 1916–17 zostały one skradzione. W 1915 r. kościół został ostrzelany i wymagał naprawy, o czym mówi protokół wizytacji diekańskiej. W czasie II wojny światowej kościół został ponownie ostrzelany, ale szkody naprawiono w 1945 r. W następnym roku Polaków – parafian z Medenic – deportowano do Suliszewa koło Gorzowa, a świątynia została zamknięta. Do 1989 r. kościół pełnił funkcję domu kultury, rozebrano wieżę, dach, sklepienie i mury do połowy wysokości.

W 1989 r. zdewastowany kościół został zwrócony wiernym. W 1991 r. rozpoczęto jego odbudowę wg projektu architekta Kaliwa, przywracając formy budowli zbliżone do pierwotnych. Pierwszym proboszczem został ks. Andrzej Jagielka, rozbudował on plebanię. Kolejnym proboszczem został ks. Ryszard Pędzimąż. Prowadzi on dalszą renowację kościoła i zespołu parafialnego.

Białe soboty w Medenicach

W 2003 r. Zarząd Główny TMLiKPW mający swoją siedzibę we Wrocławiu powierzył naszemu Oddziałowi opiekę nad odrestaurowaną w 1988 r. parafią rzymskokatolicką w Medenicach. Opieka ta polega na utrzymywaniu stałych kontaktów, pomocy materialnej i kultywowaniu polskości rodaków, którzy pozostali w tym rejonie. Współpraca ta przybrała szczególny charakter po 2009 r., kiedy proboszczem tej parafii został ks. Ryszard Pędzimąż z archidiecezji krakowskiej. To ten duchowny kontynuuje restaurację kościoła i zespołu parafialnego, wspierają go dwie siostry zakonne prowadzące punkt katechetyczny. W 2009 r. ks. Pędzimąż i współpracujące z nim siostry złożyli wizytę w Kielcach, gdzie ustalono formy współpracy. Zadecydowano o stałych kontaktach i materialnym wspieraniu tejże parafii

oraz przekazywaniu polskich książek dla Polaków mieszkających w Medenicach i okolicy.

Dlatego Kielecki Oddział za zgodą Ministerstwa Administracji i Cyfryzacji, Departamentu Spraw Społecznych organizuje kwesty, a zebrane pieniądze przekazuje parafii.

W 2009 r. z inicjatywy dr Lucyny Rzepeckiej-Raczyńskiej – kresowianki zrodziła się nowa forma współpracy – „Białe Soboty”.

Od 2009 r. we wrześniu jest organizowana wycieczka do Lwowa i Medenic. Biorą w niej udział kieleccy lekarze różnych specjalizacji, za zgodą księdza Proboszcza i miejscowych władz przyjmują pacjentów, diagnozują ich i udzielają lekarskich porad. W tym roku udział wzięło aż 5 lekarzy. Byli nimi: Lucyna Rzepecka-Raczyńska – specjalista chirurgii dziecięcej, Marta Sitnik – internista, Anna Kurzejowa – pediatra, Jarek Kosak – kardiolog, Wiesław Sitnik – chirurg.

W tym roku z bezpłatnych diagnoz i porad skorzystało około 50 osób. Wymienionym lekarzom należą się szczególne podziękowania. Zwieńczeniem „białej soboty” był ciekawy wykład dr. Wiesława Sitnika dotyczący profilaktyki raka sutka.

Działalność TMLiKPW ma na celu podtrzymywanie wśród Polaków związanych z Kresami kultury, tradycji i obyczajów. Jest to już dzisiaj trzecie pokolenie Kresowiaków. Pokazujemy zaszłości między tymi narodami, odcinamy się od wszelkich nacjonalizmów, wspieramy wejście Ukrainy do Unii. Opowiadamy się za Federacją Europejską przy zachowaniu tożsamości każdego narodu i utrzymujemy stałe kontakty z Polakami tam zamieszkałymi.

Literatura:

„Kościoły i klasztory rzymskokatolickie dawnego województwa ruskiego”. Red. naukowa Jana K. Ostrowskiego i Tomasza Zaucha – Kraków 1996 r. □

Zygmunt Muszyński

Relacja z przekazania podręczników i materiałów edukacyjnych do Szkoły nr 4 w Drohobyczu

W miesiącu kwietniu 2013 r. otrzymałem bardzo ważną przesyłkę listowną. Wewnątrz koperty znajdowało się pismo Dyrektora Szkoły nr 4 w Drohobyczu (dzisiejsza Ukraina) p. Swietłany Małej. Zwróciła się z prośbą o pomoc w zabezpieczeniu podręczników oraz materiałów dydaktycznych dla pierwszej klasy z nauczaniem języka polskiego. Motywując swoją prośbę p. Dyrektor zaznacza, że: „język polski jest jednym z najbardziej popularnych języków. Naukę pragną poszerzać dzieci w wieku 6–7 lat polskiego pochodzenia. Pragną oni umiejętnie i prawidłowo czytać i pisać w języku ojczystym”.

W związku z tym, że dobrze znam relacje polsko-ukraińskie oraz to, że jestem członkiem Zarządu Głównego TMLiKPW we Wrocławiu poczułem się zobowiązany do wykonania tej misji i zadośćuczynieniu prośbie p. Dyrektora.

O pomoc wsparcia finansowego w zakupie książek zwróciłem się do różnych urzędów i instytucji. Pozytywne stanowisko zajął Zarząd Województwa Lubuskiego w Zielonej Górze, który współfinansował niniejszą akcję. Dużą w tym zasługą członka Zarządu p. Stanisława Tomczyszyna, który osobiście zaangażował się w urealnienie oczekiwań.

Pozostał część środków finansowych pochodzi od osób prywatnych – mieszkańców Kożuchowa. Zbiórką zajął się znany emerytowany nauczyciel kożuchowski p. Kazimierz Sadowski.

Za zebrane środki zostało zakupionych 30 kompletów podręczników do nauki języka polskiego. „Wesoła szkoła i przyjaciele”, 30 podręczników „Witaj szkoło” (alfabet demonstracyjny) oraz tornistry, kolorowe kredki, długopisy i polskie słodczyce.

Przekaz materiałów edukacyjnych na ręce p. Dyrektora Swietłany Małej oraz nauczycielki języka polskiego p. Ireny Biłogan nastąpił w dniu inauguracji roku szkol-

nego w niedzielę 1 września 2013 r. W uroczystym przekazaniu darów uczestniczył również koordynator akcji, drohobycki przyjaciel p. Ryszard Dąbrowski. Jako gość honorowy brałem udział w głównych uroczystościach. Miałem okazję do zgromadzonych osób na placu szkolnym przekazać pozdrowienia w języku polskim (tłumaczonym na j. ukraiński), pozdrowienia od Pani Marszałek woj. Lubuskiego oraz od pozostałych darczyńców – mieszkańców Kożuchowa.



Zygmunt Muszyński przekazuje drohobycki chleb (dar p. dyrektor Swietłany Małej), członkowi Zarządu Województwa Lubuskiego w Zielonej Górze p. Stanisławowi Tomczyszynowi



Dzieci z rodzicami zgromadzone na inauguracji nowego roku szkolnego

Wielkim przeżyciem było spotkanie z miejscowymi Polakami po oficjalnej ceremonii. W rozmowie z nimi dowiedziałem się, że tak zdecydowanie i głośno, w języku polskim, na tym placu jeszcze nikt nie przemawiał, odkąd istnieje szkoła... a szkoła istnieje od roku 1944. Słowa te były wzruszającym gestem, podziękowaniem za trudy, jakie towarzyszyły mi w dostarczeniu materiałów edukacyjnych do szkoły.

W związku z naborem dzieci do klas pierwszych powstały nowe cztery oddziały. Dwa z nauczaniem języka ukraińskiego, jeden oddział z j. rosyjskim oraz jeden z nauczaniem języka polskiego. Utworzenie polskiej klasy było uwarunkowane zaopatrzeniem m.in. w materiały edukacyjne.



Członek Zarządu Głównego TMLiKPW Zygmunta Muszyński melduje o wykonaniu prośby p. Dyrektora i dziękuje za miłe i gorące przyjęcie przez Dyrekcję i mieszkańców Drohobycza

W rozmowie z Dyrekcją szkoły, nauczycielami, mieszkańcami Drohobycza polskiego pochodzenia, a przede wszystkim dziećmi pragnącymi uczyć się języka ojczystego stwierdziłem, że zadanie jakiego się podjąłem przyniosło pożądaną efekt.

W spotkaniu z gronem pedagogicznym poznałem historię placówki oświatowej, jej dokonania, sukcesy oraz potrzeby i wyzwania z jakimi borykają się opieku-

nowie drohobyckiej szkoły. Jest to jedna z najlepiej prowadzonych szkół w mieście. W Dyrekcji szkoły zasiadają same Panie. Atmosfera w szkole naprawdę bardzo miła i przyjazna.

Dyrekcja wyraziła chęć rozszerzenia współpracy z polską szkołą. Dotyczyłoby to m.in. wymiany dzieci i



Członek Zarządu Głównego Zygmunta Muszyński i dyrektor szkoły nr 4 w Drohobyczu p. Swietłana Mała młodzieży. Przy szkole działają zespoły artystyczne i sportowe.

2 września rozpoczął się praktyczny rok szkolny. Razem z pp. Sadowskim i Dąbrowskim uczestniczyliśmy w lekcji z nauką języka polskiego. Mogliśmy wysłuchać pięknych wierszy patriotycznych w wykonaniu uczniów. Na zakończenie naszego spotkania dzieci zostały obdarowane słodyczami, które przywieźliśmy z Polski. Głównymi atrybutami na rozpoczęcie roku szkolnego były: dzwonek, klucz oraz bochen wspaniałego chleba. Dzwonek i klucz p. Dyrektor wręczyła uczniom, natomiast chleb na moje ręce został przekazany dla Zarządu Województwa Lubuskiego.

Pragnę bardzo serdecznie podziękować w imieniu Dyrekcji Szkoły nr 4 w Drohobyczu wszystkim darczyńcom, mieszkańcom Kożuchowa za okazaną pomoc.

Wizyta nasza została odnotowana w lokalnej prasie „Majdanie Drohobyckim” oraz w dwutygodniku wydawanym w Stanisławowie „Kurierze Galicyjskim”.

N=2646
big 30.08.2013r.



УКРАЇНА

МІНІСТЕРСТВО ОСВІТИ І НАУКИ

Дрогобицька загальноосвітня школа №4 I-III ступенів

Дрогобицької міської ради Львівської області

82100 м. Дрогобич вул. Стрийська 28, тел. 2-37-28 e-mail: drogobych_vo.school4@ukr.net

Sz. P.

Andrzej Kamiński

Prezes Zarządu T M L

i Kresów Południowo-Wschodnich

ul. Kościuszki 35 B/E

50-011 Wrocław

Szanowny Pan Andrzej Kamiński

Bardzo serdecznie i gorąco pragnę podziękować Panu oraz zarządowi TML i Kresów Południowo-Wschodnich za współfinansowanie w zakupie materiałów edukacyjnych do nauczania języka polskiego w naszej szkole. Wielką niespodzianką oraz dużą radością było dla nas gościć w dniu inauguracji roku szkolnego 2013/2014 Waszego przedstawiciela p. Zygmunta Muszyńskiego na uroczystym apelu. Chcielibyśmy złożyć podziękowania na pana ręce, dla członka zarządu p. Zygmunta za ciężką pracę, bezinteresowną za dostarczenie podręczników. Jesteśmy bardzo wdzięczni za jego wielkie starannia i zdobycia środków dla zakupu podręczników dla klasy pierwszej.

Dziękujemy za pomoc materialną w tak trudnych czasach. Jest ona bardzo przydatna i jestem przekonana, że efekty z tej pomocy przyczynią się do lepszego i bardziej konkretnego wyniku w nauczaniu języka polskiego.

Proszę przyjąć raz jeszcze gorące słowa podziękowania ode mnie, groan pedagogicznego oraz dzieci, które z powyższych dobrodziejstw będą korzystały.

z poważaniem
dyrekto szkoły ogólnokształcacej №4

p. Swietlana Mala



Kazimierz Kulas

Tablica Matki Sybiraczki

*Matko Boża Sybiraków
bądź zawsze z nami...*

W sobotę, 22 czerwca 2013 roku, została odsłonięta i poświęcona Tablica Matki Sybiraczki przy Kaplicy Zesłańców Sybiru w Rokitnie. Aktu tego dokonali: H. Jacuński – kapelan Sybiraków i ks. kustosz J. Tomiak. Gospodarzem spotkania był Zarząd Oddziału Związku Sybiraków w Gorzowie Wlkp. i Zielonej Górze.

Centralnym punktem programu uroczystości była odprawiona Msza Święta w Bazylice Sanktuarium Matki Bożej Cierpliwie Słuchającej w Rokitnie za Sybiraków pomordowanych na „niehumanitarnej ziemi” i żyjących, z udziałem JE ks. biskupa Adama Dyczkowskiego, ks. H. Jacuńskiego – kapelana Sybiraków i ks. kustosza – Józefa Tomiaka.

Ks. bp Adam Dyczkowski powitał delegacje samorządowe, poczty sztandarowe, młodzież, rodziny Sybiraków, zaproszonych gości, parafian. W homilii nawiązał do bolesnych przeżyć matek na Syberii, a piękna syberyjska ziemia stała się dla zesłańców „ziemią niehumanitarną”. Chorowały dzieci, wycieńczone z zimna i głodu, bo taki spotkał ich los, naszych rodaków. Człowiek dla człowieka przygotował cierpienia, katargę, śmierć za to, że był Polakiem.

Były wspomnienia, zaduma, refleksja. Był też wspólny poczęstunek...

Były odznaczenia, m.in. Jan Antonowicz uhonorowany został Złotym Medalem Opiekuna Miejsc Pamięci Narodowych, Jadwiga Nawrot – Złotą Odznaką Zasłużonego Sybiraka...

Prezes Senior – Jan Antonowicz przywołał historię budowy Kaplicy Zesłańców Sybiru w Rokitnie. Mówił:

Przy udziale Prezes Oddziału ZS w Gorzowie pani Jadwigi Ostrowskiej i obecnego kustosza ks. Józefa Tomiaka, uzgodniono miejsce i warunki budowy kaplicy. Sybiracy otrzymali w darze rozpoczętą już budowę kaplicy, za zwrotem dotychczas poniesionych kosztów przez Sanktuarium, które wynosiły w sumie 20 tys. zło-

tych. Chętnie skorzystaliśmy z korzystnej oferty i przystąpiono do pracy.

Wysłano apele do lubuskich Sybiraków, oddziałów w Gorzowie i Zielonej Górze o zbiórkę funduszy na budowę. Zawarto umowy z firmą E. Głogozę oraz M. Lutostańskiego o wykonanie krzyży, symbolicznego ołtarza, herbu Sybiraków, nazwy kaplicy i cytatu A. Mickiewicza.

Kaplica Zesłańców Sybiru została oddana do użytku przed Dniem Sybiraka w 2003 roku. 19 września 2003 r. została uroczystie poświęcona przez Ordynariusza Diecezji Zielonogórsko-Gorzowskiej ks. bp. Adama



Poczet sztandarowy Sybiraków w Rokitnie koło Międzyrzecza. Z lewej: Helena Buras, Ryszard Szydłowski, Maria Kulas, Stanisława Szydłowska, Kazimierz Kulas.

Dyczkowskiego w asyście licznej grupy księży, pocztów sztandarowych, władz terenowych, Sybiraków i młodzieży szkolnej.

Była piękna oprawa artystyczna – „Dojrzałe Kłosa” ze Szprotawy oraz zespół szkolny „Chór” ZSR z Bobowicki, pod kierunkiem prof. Andrzeja Korzeniowskiego.

Uroczystość zakończył Jan Antonowicz przywołując archiwalne zdjęcia... oraz słowa podziękowania – wszystkim Sybirakom lubuskim za ofiarę w zbiórce funduszy, budowniczym – śp. E. Głogozie, M. Lutostańskiemu, z ZSR w Bobowicku za ofiarowane kaplicy wrota – Adamowi Nowakowi z małżonką z Międzyzdroj, Irenie Górnej, Helenie Burej, Huszczanowskiemu z małżonką z Międzyzdroj i wielu innym. □

Jerzy Duda

XV-lecie kluczborskich pielgrzymek kresowych

Kluczbork – położony na północnych obrzeżach Śląska Opolskiego stał się wiosną 1945 roku miastem, w którym starali się znaleźć dla siebie miejsce osiedlenia ludzie przybywający tutaj z różnych stron Polski. Wcześniej wojska niemieckie w związku z zbliżającym się frontem usunęły rodowitych mieszkańców. Do opuszczonych domów i mieszkań wprowadzali się nowi lokatorzy, tu rozpoczynali swoje nowe życie. Większość przybywających to byli wygnańcy z Kresów Wschodnich, głównie z województw tarnopolskiego, lwowskiego i stanisławowskiego, sporą część nowo tworzącej się społeczności stanowili przybysze z Polski Central-

nej – z Mazowsza i wschodniej Wielkopolski. Kościół katolicki i szybko organizowane szkoły podstawowe i średnie pomogły w zbudowaniu w miarę zintegrowanego spójnego środowiska lokalnego.

Zgodnie z ówczesnymi standardami społeczno – politycznymi ekspatrianci kresowi nie mieli prawa głośno mówić o swojej tęsknocie i miłości do utraconych ziem rodzinnych, niektórzy żarliwie wierzyli, że już wkrótce powrócą na Wschód, ale czas odarł ich z tych złudzeń. W dowodach osobistych jako miejsce urodzenia wpisywano dawne polskie nazwy miejscowości, ale w nawiasie zawsze był dopisek: ZSRR. O ewentualnym

odwiedzeniu swoich wsi, miasteczek i miast mogli starać się dopiero pod koniec lat pięćdziesiątych minionego wieku, wymagało to sporego wysiłku i pokonania trudnych, formalnych progów.

Dopiero, w wiele lat później, kiedy padł znienawidzony system polityczny, z całą mocą ujawniła się, ukrywana dotąd wielka tęsknota za krajem ojczystym – miejscem urodzenia. Powołano do życia stowarzyszenia skupiające mieszkańców poszczególnych miast czy też ziem kresowych. Wznowił również działalność Związek Sybiraków. Okazało się, jak wielu mieszkańców Kluczborka wyraziło chęć uczestnictwa w pracach utworzonych organizacji. Na spontanicznie zwoływanych spotkaniach przekazywano sobie wzajem informacje o kresowych miejscowościach, a także informacje o tym, co się tam aktualnie dzieje. Nawiązano współpracę z podobnymi stowarzyszeniami, zwłaszcza z niezwykle prężnym centrum ruchu kresowego we Wrocławiu, zdecydował o tym fakt, że w mieście tym zamieszkało wielu Kluczborczan, którzy po ukończeniu miejscowych szkół, a potem wrocławskich uczelni, swoje losy zawodowe z tym miastem związali. Zapraszano gości, znawców przeszłości Kresów Wschodnich, szczególnie gorąco przyjmowano profesora Stanisława Sławomira Nicieję, niezrównanego kronikarza i piewcę tamtych ziem.

Te wszystkie działania przywracały pamięć o Kresach Wschodnich, jednocześnie coraz częściej padały propozycje, by własnymi siłami, według własnego programu zorganizować wyprawę na Wschód. Uznano, że tak będzie i taniej i serdeczniej, bo w podróż wyruszą przecież ci, dla których ten wyjazd będzie spełnieniem marzeń, latami śnionych, będzie z sobą można zabrać także najbliższych, tych którzy już tutaj na Opolszczyźnie się urodzili, a o świętych miejscach rodziców i dziadków tylko słyszeli.

Trudu organizacji takiej wyprawy podjął się Karol Sutarzewicz, mieszkaniec Kluczborka od 1945 roku, kiedy to wraz z rodzicami przybył do tego miasta z Ziemi Łódzkiej. Po ukończeniu renomowanego kluczborskiego Liceum Ogólnokształcącego swoje losy zawodowe, podobnie jak wielu absolwentów tej szkoły związał z Wrocławiem. Rozmiłowany w turystyce, posiadacz uprawnień przewodnickich przez wiele lat profesjonalnie zajmował się prowadzeniem krajowych i zagranicznych wycieczek. A zatem osoba organizatora nie była przypadkowa, i w pełni uzasadniała powodzenie zaplanowanej wyprawy. Wspólnie zabrano się do przygotowań do wyjazdu.

Okazją ku temu stosowną było stulecie kościoła OO Jezuitów pod wezwaniem Św. Ignacego Loyoli w Kołomyi, jedynego czynnego w tym 75-tysięcznym mieście kościoła katolickiego. Był 1998 rok, tam w Kołomyi wierni pod wodzą księdza proboszcza Alfonsa Górskiego podjęli prace, by uroczystości rocznicowej nadać okazały charakter, dać dowód, że wiara katolicka mimo wszelkich utrudnień w tym przepięknym regionie przetrwała. W Kluczborku z kolei Karol Sutarzewicz wspólnie z przyszłymi uczestnikami wyjazdu zakrzętnęli się wokół pozyskania środków finansowych, które przeznaczono na zakup żyrandoli i kinietów dla odnawianego kościoła. W tej pierwszej wyprawie – pielgrzymce wzięło udział 37 osób, naj-

starsza z nich miała 87 lat, najmłodszy uczestnik liczył lat 8.

Od tego czasu, w ciągu ostatnich piętnastu lat Karol Sutarzewicz zorganizował i poprowadził 23 wyprawy – pielgrzymki – ostatnia miała miejsce w dniach 31 maja – 15 czerwca 2013 roku. Każdej pielgrzymce towarzyszy ksiądz, uczestnicy, jeżeli tylko chcą mogą codziennie uczestniczyć w nabożeństwach i modlitwach.

Przygotowanie każdej trasy wymaga wielu działań logistycznych, najpierw trzeba ustalić program pielgrzymki, dostosowując go do oczekiwań pielgrzymów, dla wielu z nich jest to podróż życia, przeto ich życzeniom trzeba sprostać. Potem są rozmowy z księżmi na Ukrainie, którzy tradycyjnie już zapewniają noclegi u parafian, umawiają przewodników, którzy chętnych oprowadzają po najciekawszych miejscach w danej miejscowości, pomagają także w odnajdywaniu najważniejszych dla pielgrzymów miejsc, takich jak rodzinne domy, czy też miejsca wiecznego spoczynku ich najbliższych. Ważną częścią każdej pielgrzymki był kontakt z działającymi na danym terenie organizacjami i stowarzyszeniami skupiającymi zamieszkałych tam Polaków, a także z zespołami artystycznymi kultywującymi polskie tradycje kulturowe. Dzięki osobistemu zaangażowaniu organizatora wszystkie te wydarzenia udawały się i stanowiły cenną część programu pobytu na Kresach.

Z biegiem czasu pielgrzymki obejmowały nie tylko Podole, w 2001 roku po raz pierwszy dotarto na Wołyń, rok później była Odessa, Akerman, Mikołajów i Chersoń, w 2005 roku program wiosennej wyprawy objął Zakarpacie, Mołdawię, a w drodze powrotnej Słowację, z kolei jesienią tegoż roku część czasu przeznaczono na zwiedzanie i wypoczynek na Krymie. W tym układzie powstała możliwość poznania całej Ukrainy, trudno zatem dziwić się, że niektórzy uczestnicy wzięli kilkakrotny udział w wyprawach. Przemawiał za tym, przede wszystkim niezwykle ciekawy i bogaty program pobytu, przeciętnie trasa liczyła trzy tysiące kilometrów, a także relatywnie niższy koszt w porównaniu z propozycjami profesjonalnych biur podróży, wystarczy wspomnieć, że w minionym okresie odwiedziono prawie 200 miejscowości, a w każdej z nich czas przeznaczano na poznanie najciekawszych miejsc, związanych z wieloletnią działalnością pokoleń Polaków budujących i tworzących wielkość Kresów Wschodnich, dymy Rzeczypospolitej Polski.

Wzruszające były spotkania z rodakami, którzy z różnych powodów pozostali na Ukrainie, dopiero po 1991 roku zaczęli się łączyć w różnych stowarzyszeniach kultywujących polskość na tych ziemiach, rozmawiano z członkami m. in. następujących polskich organizacji: Towarzystwo Kultury Polskiej (Lwów), Zjednoczenie Polaków Żytomierszczyzny „Polonia” (Żytomierz), Towarzystwo Odrodzenia Kultury Polskiej im. Juliusza Słowackiego (Krzemieniec), Stowarzyszenie Polaków im. Konfederatów Barskich (Kamieniec Podolski). Spotkania te uświetniane były występami polskich zespołów chóralnych m.in. „Echo” (Lwów), „Polskie Sokoly” (Żytomierz).

W 2000 roku w Glinianach uczestniczono w konsekracji kościoła rzymskokatolickiego, której dokonał Metropolita Lwowski ksiądz arcybiskup Marian Jaworski.

Spotkano się również z Ordynariuszem Kamieńskiego Podolskim legendarnym księdzem biskupem Janem Olszańskim, który w Katedrze pod wezwaniem Św. Piotra i Św. Pawła powiedział do uczestników pielgrzymki: „... Weź kamień z tych murów, a poleje się krew...”. Biskupstwo to ustanowił w 1990 roku nasz Papież, Ojciec Święty Jan Paweł II. Przywrócił tym samym zniesiony w 1866 roku przez władze carskie tytuł prawny, w latach sowieckich w Katedrze było muzeum ateizmu. W Odessie spotkał się z pielgrzymami ksiądz biskup Bronisław Biernacki, Ordynariusz Diecezji Odesk-Chersońskiej, wcześniej był wieloletnim proboszczem w Barze.

Na zawsze w pamięci uczestniczących w tych wyjazdach pozostaną spotkania z polskimi kapłanami, których udział w przywracaniu lokalnych społeczności do normalnego życia i ukazywaniu tych wartości, które wydawałoby się raz na zawsze zniszczyli bolszewicy zasługuje na uznanie najwyższe, wspomnieć tu należy bodaj o niektórych, m. in. o księdzu infulacie Tadeuszu Rutynie, który podniósł z ruiny kościoły w Buchaczu i Złotym Potoku, o księdzu Kazimierzu Dudku tworzącym przy odbudowanym w Winnicy kościele centrum życia kulturalno oświatowego dla wszystkich, szczególnie najmłodszych mieszkańców tego miasta. W Przemyślanach Salezjanin ksiądz Piotr Smółka przywrócił światłość zamienionemu w fabrykę kościołowi, a w domu parafialnym stworzył świetną bazę noclegową, z której chętnie korzystają przybywający z Polski pielgrzymi. Proboszcz Katedry w Kamieńcu Podolskim ksiądz dr Roman Twaróg z niezwykłą pieczołowitością przywrócił blask świadectwom, które mówią o złotych latach tego niezwykłego – niektórzy powiadają, że najpiękniejszego na świecie – miasta, a szczególnie tak nierozdzielnie z dziejami naszego narodu związanej Katedry Św. Piotra i Św. Pawła.

Karol Sutarzewicz, tak mówi o podejmowanych przez siebie działaniach: „Wyjazdy na Kresy Wschodnie, i dalej na Wschód są okazją do nawiązania nowych kontaktów ze środowiskami polskimi, nie tylko w okolicach Lwowa, Tamopola czy Stanisławowa, ale przede

wszystkim na terenach, które od czasów rozbiorów Rzeczpospolita na zawsze utraciła”. Dodaje przy tym, że w miarę możliwości staramy się wspierać te środowiska, a składane na ręce kapłanów ofiary i dary z całą pewnością trafiają do najbardziej potrzebujących, państwo ukraińskie nie przekazuje żadnych dotacji polskim stowarzyszeniom.

Ta pomoc przeróżny ma kształt, w trakcie jednej z pielgrzymek, wybitny chirurg dr Zdzisław Jacek Pizio, rodowity Wielkopolanin, nie tylko zachwycił się urodą Kresów Wschodnich, ale na własny koszt sprowadził do Polski, młodą dziewczynkę, przeprowadził skomplikowaną operację ortopedyczną, zapewnił profesjonalną rehabilitację, na Ukrainie taka operacja byłaby niemożliwa.

Każda pielgrzymka ma bogatą dokumentację, składają się na nią gromadzone starannie zdjęcia i filmy, a nade wszystko spisywane przez uczestników wrażenia, dotychczas opracowano 18 tomików, starannie wydane trafiły do rąk pielgrzymów, spośród tych publikacji, zwykle kilkudziesięciostronicowych na uwagę zasługują przygotowane m. in. przez: Księdza Alojzego Sitka, dr. Zdzisława Jacka Pizio, Bronisławę i Romana Pastwińskich, dr. Kazimierza Dąbrowskiego.

Ksiądz Alojzy Sitek, emerytowany kanclerz Diecezji Opolskiej, rodem z Górnego Śląska, zauroczony Kresami Wschodnimi w swoim pięknym opracowaniu przytoczył słowa Papieża Jana Pawła II wypowiedziane w czasie pielgrzymki do Lwowa w 2001 roku: „... Zdałem sobie sprawę, że Wschód to serdeczność, otwartość... Tam człowiek wychodzi z sercem na dłoni, jeśli widzi, że z drugiej strony jest również życzliwość i otwartość...”

Ofiarność i silna wola Karola Sutarzewicza sprawiły, że dzięki jego staraniom już prawie tysiąc pielgrzymów, uczestniczących w zorganizowanych przez niego wyjazdach poznało niezwykle piękno i zbudowaną trudem pokoleń Polaków wielkość Kresów Wschodnich, powracają stamtąd urzeczeni, przekonani, że rację miał wielki kresowy poeta Bohdan Zaleski, kiedy pisał:

*...Boże mój Boże! Izami modłę się do ciebie –
Jak umrę daj mi Ukrainę w niebie...* □

Jerzy Duda

Modlitwa wiernych

Już ponad rok temu, dokładnie 24 kwietnia 2012 roku Sejmik Województwa Opolskiego – jako pierwszy w kraju – postanowił, że dzień 11 lipca każdego roku, tu na Opolszczyźnie będzie Dniem Pamięci Ofiar Ludobójstwa na Kresach Wschodnich II Rzeczypospolitej.

W preambule przyjętej wtedy jednogłośnie uchwały zapisano: „...Wybór dnia nie był przypadkowy, bo to właśnie 11 lipca 1943 roku miało miejsce apogeum zbrodni na Wołyniu. Ukraińscy nacjonaliści, zbrodniarze wywodzący się z OUN i UPA zaatakowali w 167 miejscowościach, mordowano niewinnych w domach i w kościołach, poddawano najokrutniejszym torturom, nie oszczędzono nikogo, wielu spalono żywcem. Według niepełnych danych na Kresach Wschodnich męczeńską śmierć poniosło dwieście tysięcy ludzi...”

Dokument – uchwalony w obecności wzruszonych, uczestniczących w tej historycznej Sesji przedstawicieli kresowych i kombatanckich organizacji i stowarzyszeń działających na Śląsku Opolskim – przesłano do Marszałka Sejmu Rzeczypospolitej Polski, do Prezydenta RP Bronisława Komorowskiego, Premiera Donalda Tuska i Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego Bogdana Zdrojewskiego z wnioskiem o podjęcie działań zmierzających do ustanowienia dnia 11 lipca Ogólnopolskim Dniem Pamięci Ofiar Ludobójstwa na Kresach Wschodnich II Rzeczypospolitej. Rok minął od tych ważnych dla Opolan wydarzeń, nadal jednak nie możemy się doczekać, i pewnie nigdy nie doczekamy się potępienia – przez polski rząd, polski parlament i prezydenta RP – jednego z największych w dziejach ludzkości aktów ludobójstwa, którego dokonali nacjonaliści spod znaku UPA na naszych rodakach.

W dniu 11 lipca 2013 roku w Opolu, zgodnie z przyjętą przez Sejmik Uchwałą uroczystościom poświęco-

krzyż, zapalimy znicz, z szacunkiem zmówimy modlitwę i ugnieśmy kolana.

Ojcze nasz, Panie miłosierny, daj nam świadkom tamtych zbrodni moc i łaskę skruchy, a sąsiadom daj mądrość zrozumienia krzywdy, dopomóż, by wspólnie z nami w duchu prawdy budowali dobrosąsiedztwo i trwały mir.

Ciebie prosimy – wysłuchaj nas Panie."

W sierpniu tego roku uchwałę obywatelską – podpisaną przez 800 mieszkańców naszego miasta – proponującą nadanie rondu na Placu Wolności imienia „Ofiar Ludobójstwa na Wołyniu” złożyli w Radzie Miasta Opola działacze Solidarnej Polski z posłem Patrykiem Jakim i Małgorzatą Wilkos na czele. Radni spod znaku

PO i SLD stanowiący większość, już w trakcie wstępnych konsultacji na komisji zagłosowali przeciwko skierowaniu tego projektu pod obrady najbliższej Rady. Na chwilę obecną propozycja nie ma szans na wprowadzenie jej w życie.

Jednak jak zawsze, tu w Opolu, w tych rocznicowych dniach trudno – w środowisku dawnych Kresowian – nie odczuć serdecznej refleksji i jednocześnie olbrzymiego żalu, gdy pamięć wraca się do tego wielonarodowego świata, który tak pięknie istniał na kresowych terytoriach Rzeczypospolitej przez wieki i został tak brutalnie i bezwzględnie zniszczony przez obu totalitarnych okupantów w latach II wojny światowej". □

Kazimiera Głogowska-Gosz Przemijanie i zapominanie

Przemijanie i zapominanie to dwa zjawiska postępujące równolegle, ale cechuje je bardzo istotna różnica. Otóż, na przemijanie, rozumiane w wymiarze czasowym, nie mamy wpływu ani możliwości sterowania. Zapominanie, a ściślej określając, zapobieganie temu zjawisku i hamowanie w sposób częstokroć selektywny leży w zasięgu wielu z nas. Środowiska kresowe w kraju i za granicą już blisko 75 lat przeżywają i często opłakują tak liczne wydarzenia, między innymi z okresu II wojny światowej, z którymi związana jest martyrologia naszego narodu. Zachowanie oraz pielęgnowanie pamięci o tych smutnych wydarzeniach zawierają statuty wielu organizacji, w tym również Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich.

Przeciwdziałanie procesowi zapominania nie było przez wiele dziesiętności lat realne we właściwym wymiarze z uwagi na zaistniały ład, a ściślej mówiąc, brak ładu w powojennej Polsce. Po odzyskaniu niepodległości nie doszło w minionym ćwierćwieczu do wyczuwalnej poprawy w zakresie świadomości polskiego społeczeństwa, zarówno wśród osób starszych, jak i młodego pokolenia. Proces edukacji w polskim szkolnictwie okazał się dość niefortunny, a zamiast naprawy i poprawy obserwuje się ciągle spadek poziomu nauczania na wszystkich bez wyjątku szczeblach, co dotyczy zarówno przedmiotów ścisłych jak i humanistycznych. Dla środowisk patriotycznych, w tym głównie kresowych, szczególnie dotkliwy okazał się brak korekty w programach nauczania historii. Obserwuje się nie tylko zjawisko przemilczania istotnych wątków historii XX wieku, ale praktykuje się tendencyjne formy interpretacji wydarzeń, pomimo tego że żyją jeszcze ich świadkowie.

Wśród najważniejszych rocznic mijającego roku były niewątpliwie obchody 70 rocznicy ludobójstwa na Wołyniu i Małopolsce Wschodniej. Obchody tej rocznicy znalazły się w kalendarium tyskiego oddziału TMLiKPW. Tradycyjnie już planowaliśmy udział młodzieży szkół średnich, stąd obchody te zorganizowaliśmy z wyprzedzeniem jeszcze w trakcie roku szkolnego, to jest 26 czerwca 2013 roku. Jednocześnie zdawaliśmy sobie sprawę, że wiedza mieszkańców Tychów, podobnie jak w całym kraju, w zakresie tego tematu



11 lipca 2013 r. Cmentarz Komunalny w Tychach.
„W holdzie Ofiarom ludobójstwa”

jest zdecydowanie niewystarczająca, zarówno wśród osób starszych jak i młodzieży szkolnej. Zdecydowaliśmy się przynajmniej na częściowe uzupełnienie tej wiedzy z kilkudniowym wyprzedzeniem planowania obchodów. Z naszej inicjatywy lokalne tygodniki („Echo” i „Twoje Tychy”) zamieściły informacje przynajmniej w skrócie przypominające istotę tych przemilczanych wydarzeń. Najistotniejsze było dotarcie do młodzieży tyskich szkół średnich. Wystosowaliśmy pisma z odpowiednią motywacją do dyrektorów szkół za pośrednictwem Miejskiego Zarządu Oświaty. W maju rozpoczęliśmy cykl wykładów uzgadniając wyprzedzająco terminy z dyrektorami szkół. W większości przypadków były to wykłady jednogodzinne, chociaż zdarzały się również dwugodzinne w danej klasie. Przyjmowanie nas w szkołach było niezwykle przychylne zarówno ze strony nauczycieli jak i uczniów.

W I Liceum Ogólnokształcącym im. L. Kruczkowskiego, w jednej z najlepszych klas wykład o ludobójstwie zakończył się entuzjastycznie, bo niezależnie od pięknego bukietu biało-czerwonych kwiatów, otrzymałam gorące oklaski od młodzieży. W innej szkole średniej po zakończeniu wykładu podeszła do mnie nauczycielka historii i oświadczyła, że nie jest tak źle, bo młodzież uczy się np. o akcji „Wisła” i pokazała mi materiał na ten temat w podręczniku. To co przeczytałam było podwójnie przerażające – po pierwsze, zawierało wypaczoną tendencyjnie wersję wydarzeń, a po drugie, że nauczyciel historii w polskiej szkole w 2013 roku nie zdaje sobie sprawy z przekłamań zawartych w podręcznikach historii.

Podręcznik do historii dla szkół ponadgimnazjalnych, zakres podstawowy, klasa 1 nosi tytuł: „Poznać przeszłość. Wiek XX”, autorzy to Stanisław Roszak i Jarosław Kłaczek, wydawnictwo Nowa Era, Spółka z o.o., Warszawa 2011. Na stronie 231 napisano o akcji „Wisła” w następujących słowach: „Mimo deportacji do ZSRR na terenie południowo-Wschodniej Polski nadal mieszkało ponad 150 tys. Ukraińców. Władze komunistyczne dążyły do całkowitej likwidacji problemu mniejszości ukraińskiej, dlatego zaplanowano akcję jej wy-



11 lipca 2013 r. władze miasta
na Cmentarzu Komunalnym

siedlenia na Ziemi Odzyskane. Pretekstem do przeprowadzenia tych działań miała być walka z oddziałami UPA.” Komentarz pozostawiam czytelnikowi. A oto drugi cytat: „W czasie akcji »Wisła« zginęło około 1,5 tys. Ukraińców, a ponad 3 tys., głównie przedstawicieli inteligencji i kleru, skierowano do Centralnego Obozu Pracy w Jaworznie”.

Czyżby twórcy programów nauczania w polskich szkołach wraz z autorami podręczników takich jak wyżej cytowany, nie wiedzieli, że po zakończeniu II wojny światowej toczyły się krwawe walki na terytorium obecnej RP, których celem było oderwanie 16 powiatów o powierzchni około 20 000 km² od Polski południowo-Wschodniej? Czyżby nie wiedzieli, że w walkach tych zginęło ponad 15 000 osób – w tym 1 500 żołnierzy Wojska Polskiego i ponad 500 milicjantów. Pomimo zakończonej oficjalnie wojny spalono na naszym terytorium 25 000 zagród. Ostateczne położenie temu kresu w 1947 roku i likwidacja wielotysięcznych band spod znaku OUN-UPA było możliwe dzięki operacji „Wisła”, a pomysłodawcy i wykonawcy tej operacji zasłużyli na najwyższe odznaczenie (choćaby pośmiertne). Pisanie dziś w polskim podręczniku, że do Centralnego Obozu Pracy w Jaworznie kierowano „głównie przedstawicieli inteligencji i kleru” jest jawnym dowodem historycznego kręactwa i obłudy względem polskich ofiar faszystowskiego terroru i ludobójstwa ukraińskich nacjonalistów. Jeżeli w Jaworznie znajdowali się przedstawiciele kleru ukraińskiego, to potwierdzało, że brali udział w morderczych akcjach przeciw cywilnej ludności polskiej nie wyłączając święcenia siekier, noży i innych narzędzi służących do torturowania i zabijania ludzi.

Po tym wstępie pragnę zrelacjonować przebieg obchodów rocznicy ludobójstwa na terenie miasta Tychy. Pierwsza część obchodów miała miejsce 26 czerwca

2013 roku i odbyła się pod honorowym patronatem: Wojewody Śląskiego, Szefa Wojewódzkiego Sztabu Wojskowego, Prezydenta Miasta Tychy i Dyrektora IPN w Katowicach. W tym miejscu przytoczę fragment listu, jaki prezydent miasta Tychy Andrzej Dziuba 25 marca 2013 roku skierował do pani prezes TMLiKPW w Tychach Janiny Półtorak: „O zbrodniach, jakie wtedy miały miejsce, nie wolno nam zapomnieć, tym bardziej że żyje już niewielu świadków tamtych smutnych wydarzeń. Dlatego tak ważna jest edukacja i pamięć, a obchody organizowane w hołdzie pomordowanym powinny mieć najwyższą rangę i godną oprawę. Zaszczycem będzie więc dla mnie objęcie honorowym patronatem uroczystości upamiętniającej ofiary rzezi wołyńskiej, która odbędzie się 26 czerwca br. w Tychach. Przesyłam wyrazy szacunku i życzę pomyślnej realizacji tych ważnych obchodów.” Jednocześnie z przykrością informujemy, że Marszałek Województwa Śląskiego nie udzielił odpowiedzi na propozycję włączenia się w honorowy patronat 26 czerwca br. (jak już informowałam, jeszcze w sierpniu 2011 roku otrzymaliśmy pismo od Sejmiku Województwa Śląskiego „iż kolejne pisma TMLiKPW będą przyjmowane do wiadomości Komisji bez udzielenia pisemnej odpowiedzi”).

W dniu 26 czerwca 2013 roku przed kościołem pw. św. Jana Chrzciciela w Tychach zebrały się liczne poczty sztandarowe oraz grupy reprezentujące tyskie szkoły średnie w atmosferze wznieśli oprawy muzycznej w wykonaniu górniczej orkiestry dętej z kopalni „Piaś”. Msza św. odprawiona została przez czterech księży (emerytowanego ks. prałata Franciszka Resiaka, ks. Janusza Lasoka – proboszcza parafii św. Marii Magdaleny, ks. Józefa Sołtysa – proboszcza parafii Miłosierdzia Bożego, ks. Dawida Banasia – wikarego z parafii św. Benedykta). Msza św. poprzedzona została przyrzeczeniem wiernych złożonym na wezwanie Kazimierzy Głogowskiej-Gosz reprezentującej TMLiKPW. Oto treść tego wezwania:

„Polska o Was nie zapomni” – tymi słowami zwracam się w imieniu wszystkich zgromadzonych w tej świątyni w 70 rocznicę okrutnych cierpień ponad 300 tys. Polaków męczonych i torturowanych w bestialski sposób: nie dzień, nie tydzień i nie rok, ale ponad 7 lat na Wołyniu i Kresach Południowo-Wschodnich. Dziś w tej świątyni gromadzą się nie tylko wygnañcy ziem kresowych, ziemi lwowskiej czy wileńskiej, ale także rdzenni mieszkańcy ziemi śląskiej i osoby pochodzące z centralnej Polski. Tam na Kresach już we wrześniu 1939 roku ginęli uciekinierzy ze Śląska i z całej Polski. Od noży, toporów, widel i pił zginęło około 200 polskich kapłanów i zakonników, a wśród nich ks. Ludwik Wroclarczyk z Radzionkowa. Byli to biedni, niewinni mieszkańcy kresowych osad i wsi, których jedyną winą była w tych okrutnych czasach narodowość – byli Polakami. Relacje nielicznych świadków okrutnych rzezi z rąk OUN-UPA potwierdzają, że ostatnie słowa wypowiedziane przez konających Polaków brzmiały: „Polska o nas nie zapomni”. Słowa te wyrażały nie tylko ból i gorycz z odbieranego im życia, ale także ich niepodważalny testament. Dziś, w symboliczną 70 rocznicę ich męczeńskiej śmierci gromadzimy się w tej świątyni, aby nie tylko oddać hołd ich męczeństwu i modlić się za ich niewinne dusze, ale aby mimo upływu 70 lat,

zapewnić ich, że Polska o was nie zapomni. W tym miejscu uczestnicy uroczystości zostali poproszeni o powstanie i złożyli przyrzeczenie: „Polska o Was nie zapomni”. Oprócz orkiestry dętej KWK Piast Mszę św. uświetnił chór Presto Cantabile. Kazanie wygłosił urodzony na Kresach ks. prałat Franciszek Resiak. Apel Pamięci wygłoszony w kościele odbył się z udziałem



Uczestnicy uroczystej Mszy św. (w tym władze wojewódzkie i miejskie) w kościele pw. św. Jana Chrzyciela w Tychach 26 czerwca 2013 r.

kompanii honorowej wystawionej przez umundurowanych uczniów LO im. Orłąt Lwowskich w Tychach, Zakładu Doskonalenia Zawodowego w Katowicach.

Po wyjściu z kościoła uczestnicy uroczystości uformowali kolumnę marszową i ulicami miasta wraz z orkiestrą przeszli do auli Zespołu Szkół nr 4. Tam odbyło się seminarium pod hasłem: „Polska – Ukraina – Przyjaźń i Partnerstwo; OUN-UPA – hańba i potępienie”. Obecny na seminarium wicewojewoda śląski Piotr Spyrar zauważył, że prawda nie może być ceną, którą płaci się za układy dyplomatyczne. Władze Tychów reprezentował wiceprezydent Mieczysław Podmokły oraz przewodniczący Rady Miasta Zygmunt Marczuk. Główne referaty wygłosili przedstawiciele wiodących ośrodków akademickich – z Krakowa pani dr Lucyna Kulińska oraz z IPN w Rzeszowie pan dr Andrzej Zapałowski, który podkreślił, że ludobójstwo w latach 1939–1947 obciąża moralnie tylko 5 mln obywateli zachodniej Ukrainy gloryfikujących te zbrodnie do dziś, a około 40 mln mieszkających na wschodzie Ukrainy nie miało z ludobójstwem nic wspólnego. W tym miejscu pragnę przypomnieć słowa Leonida Krawczuka wypowiedziane 19 maja 1992 roku w Warszawie: „Szowinizm ukraiński to wrzód na zdrowym ciele ukraińskiego narodu, to wyrzut naszego sumienia względem narodu polskiego”.

Kolejny etap uroczystości w Tychach miał miejsce na cmentarzu komunalnym położonym w dzielnicy Wartogłowiec w dniu 11 lipca 2013 roku. Było to kolejne spotkanie organizowane co roku 11 lipca przez TMLiKPW Oddział Tychy. W tym roku uroczystość rozpoczęła się o godz. 17.00. Gdy w godzinach rannych wysłałam na cmentarz, aby udekorować tablicę „W hołdzie ofiarom ludobójstwa” znajdującą się tam od 4 lat, zauważyłam piękny biało-czerwony wieniec z szarfą oraz krzyż ułożony z 13 czerwonych zniczy. Napis na szarfie informował: Kibice GKS Tychy. Przed godz. 17.00 przybyła na cmentarz liczna grupa w Marszu

Pamięci – Wołyń 1943 składająca się z osób w różnym wieku, która wyruszyła spod kościoła św. Krzysztofa przed którym poświęcono w tym roku obelisk smoleński. Marsz Pamięci zorganizował Klub Gazety Polskiej. W marszu uczestniczył ks. proboszcz kościoła św. Krzysztofa – Wojciech Wycislik. Pomimo wakacji wartę przed tablicą dzięki zaangażowaniu pana mjr. Ryszarda Wody wystawili uczniowie LO im. Orłąt Lwowskich i Zespołu Szkół nr. 4. Kwiaty złożyli między innymi: wiceprezydent miasta Mieczysław Podmokły, przewodniczący Rady Miasta Zygmunt Marczuk, przedstawiciele Związku Sybiraków, PiS, Solidarnej Polski, Solidarni 2010 i wielu mieszkańców miasta. Dyrektor IPN w Katowicach pan Andrzej Drogoń poinformował, że znamy 1 300 nazwisk Ukraińców, którzy ratowali Polaków. Dyrektor IPN przyniósł dwa drzewka oliwne, które zasadzono przy tablicy. Jedno dla upamiętnienia zamordowanych Polaków, a drugie dla sprawiedliwych Ukraińców ratujących Polaków.

Na zakończenie zwracam się raz jeszcze do Szanownych Czytelników „Semper Fidelis” stanowiących



11 lipca 2013 r. uczestnicy uroczystości na Cmentarzu Komunalnym w 70. rocznicę ludobójstwa

elitę dzisiejszej społeczności, aby pomimo upływu kilkudziesięciu lat nie szczędzili wysiłku celem ocalenia od zapomnienia wydarzeń minionego XX wieku. Trzeba utrwalić w dowolny sposób (opis, nagranie, fotografie) to co słyszeliśmy, bądź widzieliśmy w naszym życiu. Mamy nadzieję, że w Polsce nastąpi odrodzenie i powrót do prawdziwej historii, wtedy młode pokolenia sięgną do tych materiałów, które im teraz przygotowujemy i pokażemy. Jeszcze dziś zrobimy rachunek sumienia i pokażemy naszym następcom prawdę o dziejach narodu polskiego z uwzględnieniem wszystkich wydarzeń i tych smutnych, ale i tych pogodnych, bo z jednych i drugich składa się nasze życie.

Kochani Kresowianie i Sympatycy!

Apeluję do Was, abyście weszli w Nowy Rok 2014 prenumerując dla Waszych rodzin wartościowe czasopisma, które mimo wielu trudności są jeszcze w Polsce dostępne. Przykładem mogą być „Semper Fidelis” oraz „Na Rubieży” wychodzące we Wrocławiu, „Cracovia Leopoldis” w Krakowie oraz wiele innych. Jednocześnie proszę, abyście czynnie uczestniczyli w tych wydarzeniach wysyłając swoje wspomnienia lub przekazy osób już nie żyjących, gdyż w ten sposób możemy jeszcze ocalić od zapomnienia wiele wydarzeń z naszych kochanych ziem rodzinnych. □

70. rocznica zbrodni OUN i UPA w Zielonej Górze

W dniu 11 lipca 2013 roku Zarząd Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich Oddział w Zielonej Górze zorganizował uroczystość upamiętnienia 70. rocznicy zbrodni ludobójstwa ukraińskich nacjonalistów na narodzie polskim.

Uroczystość miała miejsce na nekropolii zielonogórskiej przy pomniku Ofiar Zbrodni. W uroczystości wzięła udział kompania Wojska Polskiego, poczty sztandarowe organizacji kombatanckich i kresowych, przedstawiciele Urzędu Wojewody, Urzędu Marszałkowskiego i Urzędu Miasta Zielonej Góry oraz harcerze. Na uroczystość przybyło bardzo dużo mieszkańców miasta oraz okolicznych miejscowości. Miłe zaskoczenie sprawili kibice Stelmetu-Falubaz, którzy przybyli licznie i jak zwykle wykazali się patriotyczną postawą. Uroczystość rozpoczęła Msza św. celebrowana przez JE bp. Pawła Sochę. W dalszej części okolicznościowe przemówienie wygłosił kol. Włodzimierz Kizimowicz. Odbył się Apel Poległych, na zakończenie złożono kwiaty i zapalono znicze.

Włodzimierz Kizimowicz

**Przemówienie na Cmentarzu Komunalnym
w Zielonej Górze, dnia 11 lipca 2013 r.
w 70. rocznicę zbrodni OUN-UPA na ludności
polskiej w czasie II wojny światowej**

Szanowni Państwo,

dzisiaj gromadzimy się na zielonogórskiej nekropolii dla upamiętnienia 70 rocznicy tragedii polskiej ludności okrutnie pomordowanej przez Ukraińską Powstańczą Armię na Wołyniu i Galicji Wschodniej w czasie II wojny światowej, a w latach 1945–1947 we wschodnich województwach Polski dla destabilizacji życia Polaków i organizujących się tam władz administracyjnych.

W szczególności witam Kombatantów i Kresowiaków – żyjących świadków tamtych zbrodni, którzy na łamach Gazety Lubuskiej dzielą się swoimi tragicznymi wspomnieniami o okrucieństwach tego ludobójstwa.

Ta uroczystość przybliży także młodzieży prawdę historyczną, która tak boleśnie doświadczyła starsze pokolenie wypędzone ze swoich ojczystych stron na Kresach Wschodnich II Rzeczypospolitej.

Podobnie jak w przypadku Katynia, sprawa tych zbrodni nie została podniesiona na procesie zbrodniarzy wojennych w Norymberdze w 1945 r.

O ile zbrodnia katyńska jest już mocno obecna w świadomości Polaków, a władze państwowe wiele uczyniły dla jej nagłośnienia na forum międzynarodowym, o tyle ludobójstwo OUN-UPA na dawnych polskich Kresach zostało latami skutecznie wymazane z naszej europejskiej pamięci.

A przecież rozmiar i skala okrucieństwa tej drugiej tragedii Polaków przerasta zbrodnię katyńską. Masowe ludobójstwo polskiej ludności na Wołyniu i całej Galicji Wschodniej było dziełem fanatycznego nacjonalizmu OUN-UPA stanowiącego ukraińską odmianę faszyzmu.

Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów dążyła do utworzenia „Samostijnej Ukrainy” – państwa o modelu faszystowskim, w którym nie miało być miejsca dla innych narodowości mieszkających tam od wieków. Miało to być państwo etnicznie i wyznaniowo jednorodne.

Organizatorzy i sprawcy tych zbrodni zniszczyli rozwijającą się jeszcze z lat 20. ub. wieku zgodną współpracę narodu polskiego i ukraińskiego.



Realizowała się ona w wielu wsiach o mieszanej ludności, a jej dopełnieniem były liczne wzajemne małżeństwa i wspólne obchodzenie swoich świąt religijnych. Wówczas nikt nie przypuszczał, że rodzący się nacjonalizm zatruje i podzieli polsko-ukraińskie rodziny, a obie nacje staną przeciw sobie.

Początek zła zrodził się w kręgach rozwijającej się ukraińskiej inteligencji, a szczególnie wśród byłych wojskowych ukraińskiej armii galicyjskiej – Strzelców Siczowych, którzy nie mogli się pogodzić z upadkiem dawnej Zachodniej Ukraińskiej Republiki Ludowej ze stolicą we Lwowie.

Za jej upadek obwiniano odrodzoną II Rzeczpospolitą Polską i pragnienie odwetu stało się wiodącym programem rozwijającego się nacjonalizmu ukraińskiego. Wyrastał on w okresie rodzącej się ideologii faszyzmu, uznającej nacjonalistów we własnym narodzie.

Mając przeświadczenie, że drogą argumentów religijnych i ekonomicznych oraz wprowadzonym terrorem osiągnięto poparcie ludności ukraińskiej, OUN-UPA przygotowała plan masowego wymordowania Polaków.

Napady na polskie wsie na Wołyniu znacznie wzrosły wiosną 1943 r. Ich apogeum nastąpiło 11 lipca 1943 r. w prawosławne święto Piotra i Pawła, które przypadało w niedzielę. Polacy skupieni w kościołach na Mszy św. stali się łatwym celem napadu. W ten dzień oddziały UPA z udziałem ludności ukraińskiej zaatakowały równocześnie 167 polskich wsi na Wołyniu, mordując masowo Polaków skupionych w kościołach. Morderstw dokonywano z niewyobrażalnym okrucieństwem. Stosowano ponad 130 rodzajów tortur dla zadawania maksymalnych cierpień umierającym i bezczeszczono zwłoki. W tym zwyrodniałym ludobójstwie nie oszczędzano kobiet ciężarnych, niemowląt, dzieci i starców. W czasie krwawej niedzieli zginęło ok. 10–12 tys. ludzi. Ten dzień przekształcił Kresy w Golgotę narodu polskiego.

Masowo płonęły polskie wsie i dwory na Wołyniu, Podolu, Pokuciu, Ziemi Lwowskiej i Ziemi Stanisławowskiej. Wszędzie spalone chaty, kościoły, szkoły, masa zabitych straszliwie okaleczonych ciał i nieustanne widmo krążącej śmierci.

Czego nie zdołano zrabować, niszczone, by zatrzeć jakiegokolwiek ślady polskiej działalności.

Ta okrutna czystka ludności miała uniemożliwić powrót polskiej państwowości na nasze wschodnie tereny kresowe II Rzeczypospolitej.

Z rąk OUN-UPA zginęło na Kresach Wschodnich ok. 150–200 tys. polskiej ludności i ok. 25–30 tys. ludności ukraińskiej. Zniszczono ok. 1500 polskich osad, a wielu wsiom zmieniono nazwy.

Utraciliśmy nie tylko znaczną część sił wytwórczych narodu, ale także wiele potencjalnych talentów pośród młodego pokolenia.

Przykładem cudem ocalonego talentu był malutki chłopczyk zasłaniany ciałem uciekającej matki przed kulą banderowca, a dzisiaj gen. Miroslaw Hermaszewski – nasz jedyny kosmonauta.

Zbrodniarze z OUN-UPA starali się zacierać ślady swojej przestępczości, stąd trudne jest ustalenie dokładnej liczby poniesionych strat.

Prawda o tych zbrodniach była ukrywana i przemilczana przez całe dziesięciolecie, bo przeszkodą był mur politycznej poprawności.

To właśnie ta zмова politycznego milczenia nie sprzyjała upamiętnieniu polskich ofiar należnym im pomnikiem. Przecież większość z nich nie posiada własnych grobów, a rodziny nie znają miejsca pochowania swych bliskich.

Zbrodnie OUN-UPA nie zostały prawnie osądzone i rozliczone, a narodu polskiego nie przeproszono za poniesione ofiary.

Wciąż kładą się one cieniem na stosunki polsko-ukraińskie, gdy sprawcom zbrodni stawia się dzisiaj pomniki jako bohaterom narodowym.

Kolaboranci spod szyldu OUN-UPA mordujący bezbronną ludność polskich wsi mieli jedną zasadę: nacja ponad wszystko. Zgodnie z tą zasadą nacjonalizm ukraiński odrzucał możliwość współistnienia różnych narodowości na jednej ziemi.

Powstała w 1929 r. w Wiedniu Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów nawiązała w krótkim czasie współpracę z ośrodkami szkoleniowymi hitlerowskich Niemiec i korzystała z pomocy finansowej w kształceniu swoich kadr.

Podjęła współpracę z zaborczymi celami Niemiec, rozpoczęła OUN działania terrorystyczne wobec państwa polskiego, dokonując dywersji i zamachów na różne jego instytucje oraz przedstawicieli władz.

Pod koniec lat 30. zaczęły powstawać zbrojne bandy leśne, które we wrześniu 1939 r. dokonywały napadów na niewielkie polskie oddziały wojskowe zmierzające do rumuńskiej granicy bądź pojedynczych żołnierzy wracających w swoje rodzinne strony.

Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów została w pełni zdominowana przez najbardziej faszyzującą frakcję, Stepana Bandery, głównego propagatora Samostijnej Ukrainy, a jednocześnie największego wroga polskości.

Z chwilą wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej w 1941 r. ujawniła swoją działalność policja ukraińska, która niezwłocznie nawiązała ścisłą współpracę z hitlerowskim aparatem represji. Znając dobrze polskie środowiska inteligencje przyczyniła się aktywnie do rozstrzelania polskich profesorów lwowskich uczelni.

Rozwijając kolaborację z niemieckim okupantem w eksterminacji ludności żydowskiej i innych narodowości, OUN liczyła na jego poparcie w utworzeniu niepodległego państwa ukraińskiego. Te oczekiwania nie mieściły się jednak w jego ekspansywnych planach.

Po klęsce Niemiec pod Stalingradem w lutym 1943 r. OUN straciła zaufanie do swojego sojusznika i podjęła samodzielne działania do osiągnięcia tego celu. Rozpoczęto intensywny rozwój struktur podziemnego państwa, a policja ukraińska przeszła z bronią do lasu. Na jej bazie zaczęto tworzyć struktury wojskowe tzw. Ukraińskiej Powstańczej Armii, która wkrótce osiągnęła stan blisko 40 tys. ludzi drogą przymusowego poboru ukraińskiej młodzieży.

Jednocześnie aparat propagandowy i służby bezpieczeństwa OUN podjęły intensywne działania na rzecz wrogiego nastawienia ludności ukraińskiej wobec ludności polskiej. Dla zapewnienia masowego poparcia ludności i uwiarygodnienia swojej działalności wykorzystano do współpracy Kościół greckokatolicki i Cerkiew prawosławną. Ich autorytet miał zapewnić realizację przyjętej zasady, że „nikt nie może stać z boku” w eksterminacji polskiej ludności.

Godząc się na zbrodnicze działania OUN-UPA, swoją postawą sprzeniewierzyły się fundamentalnym zasadom chrześcijaństwa.

Nieliczni duchowni obydwu wyznań nie popierali zbrodniczych działań i zginęli śmiercią męczeńską. Także wiele rodzin ukraińskich z narażeniem życia solidaryzowało się z Polakami udzielając im w różnej formie pomocy, by uchronić ich przed śmiercią. Ukrywano Polaków lub uprzedzano o planowanych napadach. Za udzielaną pomoc i uchylanie się od współpracy z nacjonalistycznym reżimem także zostali zamordowani. Była to szczególna zemsta. Teraz żądają równych praw z ukraińskimi kombatanami, którzy walczyli na froncie z niemieckim okupantem. Świadczy to o znacznych wpływach obecnych organizacji nacjonalistycznych na Ukrainie.

Usiłowały one zakłócić uroczystości państwowe z udziałem prezydentów Polski i Ukrainy w Hucie Pieńickiej w dniu 28 lutego 2009 r. Uroczystości te były związane z upamiętnieniem ofiar zagłady polskiej wsi,

w której wymordowano przeszło 1000 jej mieszkańców przez ukraiński pułk SS-Galizien (Hałyczyna) wspomagany przez okoliczne formacje UPA.

Takie antypolskie działanie nie służy rozwojowi wzajemnych stosunków, gdy Polska od lat popiera wejście Ukrainy do Unii Europejskiej.

Także obecnie są środowiska w Polsce i na Ukrainie, które chcą zrównać rzeź wołyńską z akcją przesiedleńczą „Wisła”. Znajduje to odzwierciedlenie w różnych uchwałach i oświadczeniach dotyczących wydarzeń na Wołyniu, w których zbrodnię ludobójstwa zastępuje się niejednoznacznym określeniem, nie oddającym w swej treści charakteru tej tragedii. To tak, jak zastępowanie prawdy półprawdą. A prawo międzynaro-

dowe wyraźnie określa, czym jest ludobójstwo. Te same środowiska przeciwne są organizowaniu międzynarodowych konferencji naukowych poświęconych badaniom tych zbrodni.

Takie działanie nie służy zbliżeniu do pojednania bez rozliczenia się z własną historią i przyznania do popełnionych zbrodni.

W przypadającą dzisiaj 70. rocznicę tych tragicznych wydarzeń czcimy pamięć naszych rodaków, którzy zginęli śmiercią męczeńską z rąk ukraińskich nacjonalistów tylko za to, że stanowili polskie korzenie na Kresach Wschodnich II Rzeczypospolitej.

Cześć Ich pamięci.

Karol Liwirski

Świdnica świętuje

XXV-lecie Towarzystwa Miłośników Lwowa i Dzień Lwowa i Kultury Kresowej

Młodzież świdnicka realizując przesłanie Jana Pawła II, który niejednokrotnie przypominał, że świadomość własnej przeszłości pomaga nam włączyć się w długi szereg pokoleń, by przekazać następnym wspólne dobro – Ojczyznę, „zapewniamy, że będziemy dumnie stali na straży narodowych pamiątek, gdyż nad Świdnicą wciąż unosi się duch Kresów, który każe pamiętać, skąd wiatr historii przywiał w te strony osadników z miejsc bronionych przez Skrzetuskiego, Kmicica i Pana Wołodyjowskiego”. To słowa skierowane dla Towarzystwa od młodzieży.



26 września 2013 r. w Teatrze Świdnickim odbyły się uroczystości związane z XXV-leciem miejscowego koła Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich oraz Dniem Lwowa i Kultury Kresowej. Na scenę Teatru Świdnickiego Komendant Hufca ZHP Piotr Pamuła wprowadził Poczty sztandarowe IV LO im. Orłąt Lwowskich, Świdnickiego Hufca ZHP, a także Świdnickiego Oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. Przy ściemnionym oświetleniu cała sala zaśpiewała pieśń „W dzień deszczowy i ponury”. Kolejno uczennica IV LO wykonała utwór „Wierne Madonny”. Uroczystość jubile-

uszową zaszczytili swoją obecnością JE ks. bp Ignacy Dec, Prezydent Miasta Świdnicy Wojciech Murdzek, Przewodnicząca Rady Miejskiej Joanna Gadzińska, Prezes Zarządu Głównego Andrzej Kaminski, Radni Miasta i Powiatu, prof. S.S. Nicieja, prezesi i członkowie związków kombatanckich, dyrektorzy świdnickich szkół i gimnazjów oraz prezesi bratnich Towarzystw Wrocławia, Wałbrzycha, Kłodzka i Dzierżoniowa. Po referacie na temat dziejów Ziemi Lwowskiej wygłoszonym przez uczniów IV LO oraz po powitaniu zaproszonych gości przez Prezesa Karola Liwirskiego zostały uhonorowane medalami XXV-lecia następujące osoby: JE ks. bp Ignacy Dec, Wojciech Murdzka, Wicestarosta Alicja Synowska, ks. K. Jandziszak, Zbigniew Curyła, Piotr Parmuła, Witold Karsta, Joanna Piotrowska, Marzena Łysoniek, Joanna Szalek. Złotymi Odznakami Towarzystwa uhonorowani zostali: Marzena Łysoniek, Joanna Szalek, Joanna Chonowska, Małgorzata Groń-Chlebicka, Czesława Faściszewska, Michał Faściszewski, Karolina Rzędzianowska, Józef Duda, Jerzy Kowalski, Stanisław Gal, Kazimierz Nowicki, Stanisław Jajuga, Anna Fiter, Elżbieta Fasuga, Bronisław Janas, Kazimierz Mazij. Odznakę TML z okazji XXV-lecia otrzymali: Tadeusz Grabowski, Tadeusz Łyżwa, Bogdan Zdrojewski, Tadeusz Bortnik, Anna Żurman, Zofia Smolka, Krystyna Ilnicka, Zofia Kuźniar, Michał Maziakowski, Janina Maślaniec, Szczepan Makowiec, Mieczysław Pękalski, Magdalena Wichrowska, Władysława Pawelec, Edward Bienia. Statuetką za opracowanie kroniki uhonorowano Zofię Smolkę, Helenę Kopacką, a za całokształt prac w oddziale Towarzystwa Marię Muszyńską. Wyróżnienie za prezentowanie naszego sztandaru podczas uroczystości otrzymali: Bogdan Frydrysiak, Stanisław Gąsior, Elżbieta Fasuga. W czasie uroczystości wręczono również nagrody za udział w konkursie wiedzy historycznej o Lwowie i Kresach Południowo-Wschodnich.

Nagrody odebrali:

– uczniowie Gimnazjum nr 3: Dominika, Aleksandra, Patrycja – za zajęcie I miejsca. Otrzymali nagrody książkowe, opiekunem była pani Marzena Zięba.

– uczniowie Zespołu Szkół Budowlano-Elektrycznych: Tomasz, Konrad, Adam – za zajęcie II miejsca. Otrzymali nagrody książkowe, opiekunem była pani Helena Kosmala.

Po raz kolejny okazało się, że Kresowiaczy ze Świdnicy i okolic prężnie działają i potrafią jednoczyć mieszkańców nie tylko w zabawie, ale również w przekazywaniu treści patriotyczno-historycznych związanych z Kresami.



W uroczystości uczestniczyli nie tylko Kresowiaczy z Towarzystwa Miłośników Lwowa, ale również Sybiracy, Związek Żołnierzy Armii Krajowej, związki kombatanckie oraz mieszkańcy niezwiązani z Kresami, którzy przyszli na występy swoich bliskich. Występowały dzieci z Młodzieżowego Domu Kultury w Świdnicy, uczniowie IV LO im. Orłąt Lwowskich, Zespołu Szkół Centrum Kształcenia Rolniczego w Mokrzeszowie, Szkoły Podstawowej nr 8 im. Kawalerów Orderu Uśmiechu i inni. Wszyscy zebrani mieli okazję zapoznać się z dziejami Ziemi Lwowskiej i obroną Lwowa, o czym w specjalnej prelekcji mówiła młodzież IV Liceum im. Orłąt Lwowskich. Z kolei prof. S.S. Nicieja w niezwykle interesujący sposób przedstawił wszystkim Kresową Atlantydę. Opowiedział o swojej pracy związanej z historią miast kresowych, o gromadzeniu dokumentacji, zdjęć. Po wystąpieniu Profesora Zespół Folklorystyczny „Pakarycha” z Bytomia zaśpiewał piosenki, które nuczone są przez każdego lwowianina.

Na zakończenie podziękowano wszystkim uczestnikom, którzy przyczynili się do uświetnienia uroczystości – zapraszając na skromny poczęstunek przygotowany przez uczniów Zespołu Szkół Centrum Kształcenia Rolniczego w Mokrzeszowie. Jednocześnie apelowano, by przesłanie dzisiejszego spotkania na długo pozostało w sercach wszystkich uczestników. W niedzielę 29 września o godz. 10:00 w Katedrze Świdnickiej odbyła się uroczysta Msza Święta za zmarłych i żyjących Sybiraków oraz Kresowian. Mszę Świętą w asyście sześciu kapłanów i alumnów Wyższego Seminarium odprawił oraz homilię wygłosił JE ks. biskup Ignacy Dec.

Szanowni Państwo, na zakończenie pragnę przypomnieć, w wielkim skrócie, jak rozpoczęła się historia naszego Towarzystwa w Świdnicy. 12 listopada 1988 r. w Świdnickim Teatrze odbyło się pierwsze spotkanie

założycielskie. Uczestniczyli w nim ludzie z okolic Świdnicy, Dierzoniowa i Wałbrzycha. Osoby, które w wyniku tragicznych ekspatriacji, wojennych prześladowań okupantów i pobratymców zmuszone były opuścić domy rodzinne i osiedliły się na ziemi świdnickiej. Skupili się tutaj lwowiaczy oraz ludzie noszący obraz i pamięć miast i miejscowości z całej dawnej Małopolski Wschodniej. Przyszli na to spotkanie bardzo podekscytowani, z poczuciem wspólnoty, radości i serdeczności znanej tylko na Kresach, z pamięcią legendy, że Lwów to Semper Fidelis. Rozpoczęto wybory do historycznego zarządu. Pierwszym Prezesem został Witold Karst, Zastępcą Adam Maskiewicz, II Wiceprezesem Jerzy Prokopowicz, Sekretarzem Czesława Bednarska, Skarbnikiem Czesława Kępała. Do Zarządu powołano Bogdana Kucalę z Dierzoniowa i Janusza Przyślewskiego z Wałbrzycha. Następne wybory odbyły się 27.02.1991 r., Prezesem został wybrany Józef Urczyński. Powołanie do życia naszego Oddziału to odpowiedź na dramatyczne wołanie Mariana Hemara.

Poniżej fragment apelu:

*...Do czyich rąk ostatni z nas
Odda chorągwi drzewce?
Przekaze, gdy nadejdzie czas,
Aby ją cało niósł do domu?
Gdzie są te ręce, w które my
Oddamy nasze gwiazdy, szarfy,
Pieśni, marzenia, struny, harfy,
Przysięgi, Krzyże, wiersze. Lwy?*



Powołując Oddział to my wzięliśmy „chorągwi drzewce” w swoje ręce. To my od 25 lat niesiemy w naszych sercach pamięć oraz Legendę Lwowa i Kresów, którą staramy się przekazywać młodym pokoleniom. Z okazji naszego jubileuszu pokusiliśmy się opracować zarys monografii naszego Towarzystwa. Zaznaczam, że w szczególny sposób staraliśmy się realizować zadania statutowe, upowszechniać oraz przybliżać prawdę o dziejach Lwowa i Kresów poprzez pielęgnowanie dorobku historycznego tych ziem. Nasze działania uwieńczył zamysł, że w świdnickim otoczeniu znalazły się nazwy ulic i placów miast kresowych. Jak Pl. Orłąt Lwowskich, ulice Lwowska, Wileńska. Ponadto jednej ze szkół nadano imię „Orłąt Lwowskich”. Zadanie to wykonane zostało na ocenę wyróżniającą. Po wiem poetycko: „Młodzi Polacy poniosą pieśń o ukochanym Lwowie, na kolejne pokolenia (na zawsze)”.

popelniane w czasie wojny na Kresach oddalają nas wzajemnie.

Przeor Dominikanów o. Maciej Biskup przypomina: "Zmiana myślenia to głęboki proces duchowy i intelektualny... wymaga zmiany pokoleniowej również w Kościele.

Aktywna działalność Kresowiaków w naszej organizacji (TMLiKPW), a szczególnie młodszego pokolenia jest cennym stymulatorem w zachowaniu przyjaznych stosunków z sąsiadami wschodnimi. Jest ważnym ogniwem w procesie pojednania naszych narodów. Wywoływanie nastrojów niesprzyjających pojednaniu narodów jest wynikiem niedojrzałości świadomości społecznej i politycznej.

Tragiczne bolesne zdarzenia na Kresach przed 70 laty, które są przedmiotem wielogodzinnych jałowych debat w parlamencie, demonstracje uliczne nieświadomych, kierowanych przez nieodpowiedzialnych naruszają dobre obyczaje i porządek publiczny! Nie

sprzyjają utrzymaniu dobrych stosunków między narodami!

Jak wynika z badań fundacji BBVA znacznie mniej czytamy o postawach i przekonaniach społecznych... Nie śledzimy wydarzeń na świecie... Nie wysilamy się, aby je zrozumieć, w odróżnieniu od przeciętnego mieszkańca Unii Europejskiej!

Zapominamy często, że „racjami a nie rogami” zapewnimy godną egzystencję narodu!

Powinnością seniorów jest przypomnianie młodym pokoleniom mniej odległą historię naszą w ustroju „niesprawiedliwości społecznej”, zahamowanego rozwoju wielu dziedzin życia społecznego!

Przypominajmy nieświadomym „rokoszanom” jak zmienił się kraj wraz ze zmianą ustroju i współpracy międzynarodowej w ramach Unii Europejskiej...

** Historia jest świadkiem czasów, światłem prawdy, życiem pamięci, nauczycielką życia (Cicero)*

Janusz Sekulski

Są i tacy Polacy!

W miesięczniku Focus Historia Nr 9 (77) 2013 ukazał się artykuł Jana Sowy pt. „Polski Kolonializm Kresowy”, w którym autor dr hab. opisuje polskie kolonie, a miałyby być nimi polskie Kresy. Już na pierwszej stronie redakcja anonsuje artykuł drukując „Rzeczpospolita miała kolonie – to Kresy”. Z całym przekonaniem autor usiłuje wmówić czytelnikowi skolonizowanie przez Polaków np. ziemi wołyńskiej, bractawskiej, kijowskiej czy podolskiej. Wg autora Unia Lubelska z 1569 r. to całe zło dla Litwinów czy Ukraińców. Rdzennych mieszkańców tych ziem nazywa Ukraińcami, chociaż takich ani w XV w., czy dużo później XIX w. jeszcze nie było. Piszcie wprawdzie o Rusinach, ale np. „Do roku 1648..., na Ukrainę napływają intensywnie polscy osadnicy”. Autor na równi stawia dążenia kolonizacyjne Rosji i Polski, pisze „konflikt między Polską a Rosją... od pierwszej połowy XVII wieku... to nic innego jak zderzenie dwóch kolonialnych potęg, aspirujących do kontroli nad tym samym obszarem wschodnich rubieży Europy Środkowo-Wschodniej”. Artykuł dr. hab., b. studenta polskich i zagranicznych uczelni to obraza, delikatnie mówiąc, Polski w jej granicach I Rzeczypospolitej i

Polaków nie tylko mających korzenie kresowe. Jan Sowa nie wspomina słowem, kto zbudował m.in. Łuck, Stanisławów, Podhajce, Lwów, Kamieniec Podolski, Kolomyję, Tarnopol. Wg autora to zapewne Ukraińcy. Kto zbudował na tych ziemiach (Kresy) postępowe rolnictwo, przemysł, dobra kultury i nauki znane i cenione na całym świecie. Gdyby nie np. Unia Lubelska, kto podporządkowałby sobie ziemie litewskie, kto rozwinął (dał też początki) Wilno, Grodno, i wiele innych ziem i miast na polskich Kresach. Nie podaję przykładów polskości tych ziem już od XIII czy XIV wieku. Polska nie chciała zagarnąć Kijowa czy Kowna. Glorifikując takie postacie jak np. Chmielnicki czy Bandera pisze „stąd powracające konflikty wokół postaci historycznych (Chmielnicki, Bandera)”, sam siebie ośmiesza jako pracownika naukowego i obraża Polaków. Zapewne dla p. dr. hab. Jana Sowy Bandera to „gieroj”. Z takim określeniem tego zbrodniarza spotkałem się od Ukraińców sprzedających zawieszki z podobizną Bandery na targu we Lwowie.

Na koniec dr hab. Jan Sowa pisze „brak rozliczenia z polskim kolonializmem kresowym to jedna z ważniejszych luk w naszej zbiorowej pamięci oraz polityce historycznej”. Dobrze, że to już koniec artykułu. Nie wiedziałem czy autor to tylko kpiarz czy ignorant. Czytający takie brednie potomkowie OUN-u czy UPA zacierają ręce. „Czytajcie, to napisał polski naukowiec”. Pytam: czy na pewno polski? □

Teresa Paryna

Ogniwa pokoleń

*Opowiadaj krzyżu brzoźowy.
Powstańcie z mogił
prochy wojny,
bo znów się człowiek
odczłowiecza
w zdziczałych krajobrazach.*

*Módl się,
módl się katyński lesie.*

*Wietrze z Wołynia
rozwiej dym,
ukaz czas obłąkany,
co włosy z głowy rwał ...*

*Krzycz, krzycz kamieniu
głośnij od kłamstwa,
gdy szczęki polityki
mielą święte prawdy ...
Ogniwa pokoleń
wiąże święta pamięć.*

VIII/2009

Kazimierz Kulas

Z Ziemi Lwowskiej do Międzyrzecza

*Do Lwowa wróć mój drogi,
Spójrz na miasto z Siedmiu Wzgórz,
Wsiądź w tramwaj i jedź na Łyczaków
By zobaczyć Orląt Lwowskich grób.*

*Na grobach połóż polskie kwiaty,
Uklękni i pomodli się
Za Orlęta, którzy w grobach leżą,
Za Orlęta, za kochany Lwów.*

*I do Termopil jedź mój miły,
Zadwórzański Kurhan stoi Tam.
Oni bronili swoje miasto
Wszyscy razem spoczywają w nim...*

(Stach z Zadwórza – „Nie zapomnij, wróć”)

W poniedziałek, 7 października br. zostałem zaproszony do domu rodzinnego seniorki międzyrzeczanki, pani Heleny Liberowej, która mieszka w Międzyrzeczu od 1945 roku. Na dworze jesienna aura, mglisto, słońce za chmurami. W mieszkaniu ciepło, oglądamy rodzinny album z pożółkłymi zdjęciami. Rozmawiamy o Kresach, Ziemi Lwowskiej, o Samborze, w którym się urodziła w 1934 r. pani Helena. Jeszcze do dziś żyje i wspomina swoje miasto – Sambor Stary...

Sambor – miasto na Ukrainie w obwodzie Lwów, nad Dniestrem, w okresie międzywojennym w granicach Polski. Od września 1939 r. do 1941 r. pod okupacją sowiecką (deportacje mieszkańców, w tym wielu polskich i żydowskich rodzin w głąb ZSRR), 1941–44 pod okupacją niemiecką. 1 lipca 1941 roku pogrom Żydów przez Ukraińców, zginęło około 100 osób, ponad 9 tys. osób wywieziona do ośrodka zagłady w Bełżcu.

Miasto stanowiło węzeł kolejowy. Kościół sakralny Bernardynów w tej parafii, gdzie oglądany na zdjęciu ołtarz główny. W kościele tym została ochrzczona z rodzicami i rodzeństwem, chodziła na nabożeństwa!

Przywołuje swój przyjazd do Międzyrzecza, edukację w szkole podstawowej nr 1 w Międzyrzeczu, nauczycieli: Garnierowicz, Gielo, Płonkę... Kończy podstawówkę, zaczyna naukę w szkole średniej. Podejmuje pracę w Zakładzie Melioracji, a potem w Biurze Paszportów, zakłada rodzinę, po 32 latach pracy przechodzi na emeryturę. Jest mocno związana z Międzyrzeczem, wspomina swoje Kresy i mówi:

We wrześniu tego roku odwiedziła swoje miasto Sambor z bratem Adamem i jego rodziną z Kroniewa, gdzie jeszcze mieszka liczna rodzina ze Lwowa Tam zwiedzają piękne zabytki we Lwowie, m.in.: Katedrę rzymskokatolicką, Cudowny Obraz Matki Boskiej Łaskawej, obraz Świętej Trójcy, kaplicę Boimów, dawny kościół Bernardynów, Cmentarz Łyczakowski. Pod Pomnikiem Adama Mickiewicza robią rodzinne zdjęcie...

Po Ziemi Lwowskiej zwiedzają cmentarze, miejscowość Rudki, niedaleko nad Wiszenką. W 1612 roku zostało spalone przez Tatarów. Według legendy w zgłiszczach kościoła znaleziono nietknięty Obraz Matki Boskiej, słynny później z licznych cudów. W XIX wieku Rudki były stolicą powiatu, gdzie spoczywają prochy Aleksandra Fredry, komediopisarza i poety.

Kresową refleksją kończymy naszą rozmowę piosenką:

Mój biały domek w Samborze

*Mój biały domek ciągle mi się śni,
Mój biały domek w mej pamięci tkwi.
Okna tego domku w mej pamięci są,
Jakby czyjeś oczy zachodziły mgłą...*

Z Ziemi Lwowskiej do Międzyrzecza przywiozła – pokazuje – woreczek ziemi, ażeby na swój pochówek dosypać na trumnę, do grobu...

Pani Helenie – seniorce – życzymy dużo zdrowia i wiele jeszcze wycieczek po Kresach...

Dźwinogród mojej pamięci... (IX)

Ścieżka do szkoły

„Życie jest trudną lekcją, której nie można się nauczyć, trzeba ją przeżyć.”

(Stefan Żeromski)

Gdy wybuchła II wojna światowa miałem sześć lat, a rok później zacząłem chodzić do klasy pierwszej w Dźwinogrodzie, a moja siostra Anastazja była o sześć lat starsza i często czytała mi taki wiersz:

*Już przeminął lipiec skwarny,
przeszedł sierpień złoty.
Już do szkoły wracać trzeba,
dalej do roboty!*

*Dość już było odpoczynku,
biegania, kąpieli,
więc wracamy pokrzepieni,
silniejsi, weseli.*

*Hej, śpieszmy znów do ciebie,
droga nasza szkoło!*

*Słońce patrzy na nas z góry,
Śmieje się wesolo.*

*Więc biegniemy, do drzwi szkolnych
Wśród wesela, krzyku.
Wietrzyk z nami na wyścigi.
No, kto najpierw, wietrzyku.*

*Dalej, dalej, przez ulice
przez drogi, przez pole!
Choć przyjemnie było w lecie,
nam przyjemniej w szkole.*

Swoją edukację rozpocząłem w klasie pierwszej w roku szkolnym 1940/41 w szkole publicznej w Dźwinogrodzie. Mój dom rodzinny był pod lasem, a szkoła znajdowała się w środku wsi. Odległość około 100 metrów. Po lewej stronie szkoły w środku była cerkiew z dzwonnica, nieco dalej stał kościół, wybudowany w 1934 r. z kamienia łupanego, na murze wmurowany obraz – Matki Bożej Dźwinogrodzkiej. Wieś miała kształt elipsy, czyli jaja kurzego.

Pierwszy raz na rozpoczęcie roku szkolnego szedłem z mamą. Było bardzo uroczyście, trzymałem się za rękę, było dużo dzieci.... Przemawiał kierownik szkoły, dzieci około 120, a może więcej. Słońce jeszcze mocno grzało, było ciepło, w sadach dojrzewały owoce: jabłka, gruszki, śliwki węgierki, kwitły wrzosi.

Moją drogą do szkoły była ścieżka, mała, wąska dróżka polna, kręta, wijąca się ścieżka wśród ogrodów, gdzie ludzie chodzili do kościoła, mówiło się - ścieżka zdrowia. Często z rana była rosa. Ogrody były podzielone miedzami, czyli wąskimi, niezaoranyymi skrawkami ziemi rozdzielające sąsiadujące pola uprawne, granice, drzewa rosnące na miedzy. Nieraz dziadek opowiadał o procesowaniu się o miedzę, każdy centymetr ziemi był bardzo ważny, ażeby zaorać lub nie zaorać miedzę sąsiadów.

Główną uprawą była kukurydza, w niej mak rósł, ziemniaki, pomidory, cebula, czosnek. Były też działki z uprawą tytoniu w ramach plantacji. Fabryką wyrobów tytoniowych było miasteczko Monasterzyska, odległe około 15 km...

Pamiętam swoją ścieżkę do szkoły, którą bardzo lubiłem chodzić, nieraz z kolegami albo sam, w zimie ojciec mnie odprowadzał, bo było dużo śniegu i wiatr ścieżki zasypywał.

Na plecach nosiłem tornister, miałem zeszyty, w tornistrze ołówki, kredki, patyczki do liczenia i elementarz. Uczyłem się liter rosyjskich, ukraińskich i abecadła polskiego. Pamiętam, że poznałem 32 litery, niektóre ciężko wymawiałem, np.: z, ż, ż albo dz, dż, dż...

Uczyłem się wierszyka: „jadą, jadą dzieci drogą, siostrzyczka i brat i nadziwić się nie mogą, jaki piękny świat” – Marii Konopnickiej.

Znałem też wierszyk ukraiński:

*Oj, menuła wże zyma
śnihu, ledu, wże ne ma,
Oj ne ma, oj ne ma, śnihu ledu wże ne ma!*

Epizod wojny

W czerwcu 1941 roku wtargnęli do nas jako zaborcy żołnierze hitlerowcy – nastąpiły okrutne czasy dla nas Polaków i dla Żydów. Zaczęła się gehenna dla Żydów. W naszej wsi były trzy rodziny żydowskie, a ich dzieci chodziły ze mną do jednej klasy. Niemcy zrobili na nich łapanki, spędzali do getta w Buczaczu, a potem prowadzili za miasto, tam była wykopana głęboka jama, postawiona deska. Kazali im się rozbierać, a potem ustawiać się na desce „gęsiego” i w tył głowy strzelano, wielu z nich uciekało, ale jak schwytano to na miejscu zabijano, a potem Polakom kazano ich sprzątać i zakopywać. Widziałem jak moim rówieśnikom z klasy w tył głowy strzelano.

Niemcy też z policjantami ukraińskimi Żydów łapali i zabijali. Smutne to były czasy, pamiętam jak z mamą płakałem, a mama mówiła, że to już przychodzi koniec świata.

Służka SS zwoływała Żydów na apele, coś do nich mówi, krzyczeli. Getto zostało zlikwidowane w czerwcu 1943 r. Wszystkich rozstrzelano, kobiety, dzieci mężczyzn...

W domu

We wsi Dźwinogrodzie nie było światła elektrycznego, ani stacji kolejowej, ani szosy z prawdziwego zdarzenia. Była ścieżka przez łąkę, czyli „okrąglicę” przez wieś Podzamek do stacji kolejowej w Buczaczu.

Mieliśmy w domu lampę naftową. Posiłki jedliśmy przy stole w kuchni: ojciec Franciszek, mama Katarzyna, siostra Anastazja i ja Kazik. Było skromnie, biednie, wiejsko.

Ojciec był szewcem, często przy lampie naftowej od jesieni do wiosny naprawiał buty nie tylko sąsiadom, ale dla całej wsi Dźwinogrodu, a nieraz mieszkańcom z Podzameczka, Rukomysza, a nawet Nagorzanki.

Wieczorami przychodzili sąsiedzi, m.in. wujek Marcin Szpakowski, Franek Moros, Stefan i Wasyl Mierzwiak, stryjek Antoni, Wawrzyk Kulas. Rozmawiali, że będzie wojna, bo rząd londyński nie zgadza się z Józefem Stalinem.

Pamiętam, że w nocy często się budziłem, a oni jeszcze rozmawiali... Ktoś mówił: „jedyną drogą do Boga jest cierpienie. Cierpienie i pokora, że cała wielkość człowieka jest w jego pokorze przed Bogiem. I całe szczęście”...



Kazimierz Kulas prezentuje świadectwo szkolne

Od dzieciństwa znałem mój Dźwinogród, dom, ścieżkę do kościoła i szkoły, moje strony, las, łąki, szkołę, kościół, cerkiew, cmentarz, gdzie nawet drzewa łamały się w czasie burz.

Tam pasłem krowę i dwie kozy, były urwiska skalne, często krowy, które się pasły spadały w dół, łamiąc sobie nogi i szkielet...

Późnym wieczorem w czasie żniw rolnicy kosili zboże i też rano z rosą.

Przykładem może być wiersz:

Chłopskie dziecko

*Na ściernisku na polu kalupka stała.
Dziecię spało, a matka ciężko pracowała.
Spadał z jej czoła strugami pot czysty,
Jak rosa z trawy w poranek mglisty.*

*A gdy dziecię w kalupce cicho zakwiliło,
Matczysko ku niemu szybko pospieszyło,
Śpij jeszcze trochę dziecińko mała,
Bom jeszcze snopów nie pozbierała.*

*Czas już najwyższy, stoją mendle wszelakie,
Śpij skowroneczku, śpiewać tobie będzie,
Otarła pierś chustką, dziecięciu ją dała:
Nie płacz, tak bardzo ciebie kocha mama,
Pobaw się trochę sama,
Niedługo słonko schowa się za borem,
Pójdziemy do domu wieczorem....*

Najbardziej zapamiętałem pranie mamy w zimie na rzece Strypa. Ojciec jej pomagał. Do prania używano ługu, bieliznę suszono w domu na sznurku, wieszano pod strzechą lub na strychu.

Wodę do picia ze studni noszono na koromyśle z wiadrami na ramionach.

(c.d.n.)

Śp. ks. dr Krzysztof Bojko

(1963–2013)



W roku 2010 Zarząd Główny Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich we Wrocławiu zwrócił się z prośbą do ks. Krzysztofa Bojko o przyjęcie funkcji Kapelana Towarzystwa. Propozycja została przyjęta.

Jakie nadzieje łączono z młodym kapłanem, urodzonym w 1963 roku, który miał poznać środowiska kresowe, zrozumieć też ból ludzi, którzy w wyniku II wojny światowej utracili na Kresach wszystko, a wpisane w dowodach osobistych miejscach swego urodzenia „ZSRR” były bolesną pamięcią.

W bólu i modlitewnej zadumie pożegnaliśmy Księdza Kapelana Krzysztofa w dniu 15 listopada 2013 r. w parafii Przemienienia Pańskiego w Białej k. Chojnowa. Zmarł 10 XI w wigilię Święta Niepodległości Polski.

Podczas uroczystości pogrzebowych oddano należną cześć temu wyjątkowemu kapłanowi obdarzonemu przez Stwórcę wieloma zdolnościami. Ofiarne pracował z młodzieżą zrzeszoną w odradzającym się harcerstwie, a także ze wszystkimi organizacjami kresowymi.

To w Białej niewielkiej parafii dekanatu Chojnów rozbudził entuzjazm do organizowania corocznie Dni Kultury Kresowej. Każdego roku ilość uczestniczących w tym święcie osób – nie tylko tych z korzeniami kresowymi, ale też urodzonych tu na Ziemiach Zachodnich – stale się powiększała. Rodziły się nowe inicjatywy. Każde takie święto było uhonorowane twórczością pisarzy i poetów kresowych. Odtwórcami przedstawień, pieśni kresowych była młodzież i parafianie z Białej, którzy corocznie pięknie zdawali egzamin z pracy na rzecz pamięci o kulturze kresowej, o gościnności także poprzez prezentację potraw kuchni kresowych.

Każde kolejne Kresoviana rozpoczynały się Mszą Świętą celebrowaną przez Księża Biskupów Diecezji Legnickiej i zaproszonych Biskupów z Białorusi i Ukrainy.

Uczestnikami były też zespoły muzyczne krajowe i z miejscowości spoza wschodniej granicy, aby więź z tymi, którzy tam zostali, umacniała się i była ciągle żywa.

Wspomnieć należy inicjatywę księdza Krzysztofa o powołaniu do życia Stowarzyszenia „Kresy – przeszłość i Przyszłość”, któremu powierzono obszerny wachlarz zadań takich jak organizowanie konferencji naukowych, sympozjów, wykładów poświęconych kulturze Kresów.

Ostatnie sympozjum organizowane przez ks. Kapelana odbyło się w legnickim Seminarium Duchownym 22 września 2012 r. pod patronatem biskupa Stefana Cichego i biskupa z Grodna Aleksandra Kaszkiewicza. Prelekcję na temat „Kultura Kresów – przenikanie wiary i kultury” wygłosił ks. profesor Józef Matecki z Krakowa. Na temat języków na Kresach wygłosił prelekcję znany literat Stanisław Srokowski z Wrocławia.

Ks. biskup Aleksander Kaszkiewicz zapoznał licznie zebranych uczestników o historii powstania obrazu

Jezusa Miłosiernego w 1934 roku. Wyświetlony został też film o koronacji Obrazu Matki Bożej Studenckiej w Grodnie i historii katedry.

Akcentem radosnym tego sympozjum były występy dzieci i młodzieży ze Szkoły Muzycznej im. Stanisława Moniuszki w Słonecznikach na Białorusi.

To śp. Krzysztof Bojko budził patriotyzm w czasach obecnych, a Jego ziemskie czyny poszły przed Tron Boży razem z ufną modlitwą zgromadzonych uczestników obrzędu pogrzebowego.

Nam żyjącym pozostała pamięć i wdzięczność za posługę Kapelana oraz Jego słowa zamieszczone na pamiątkowym obrazku – „Wszystkim spotkanym na mojej drodze dziękuję, błogosławię i proszę o modlitwę”.

W imieniu środowisk kresowych słowa pożegnania wypowiedział przewodniczący Sybiraków. Harcerze odśpiewali Hymn Harcerski, przedstawiciele władz samorządowych w słowach pożegnania wyrażali słowa wdzięczności za ofiarną pracę.

Słowa współczucia Rodzinie Zmarłego i pożegnanie w imieniu wszystkich kapłanów przekazał ks. bp. Marek Mendyk.

Zmarły w 50 roku życia ks. Krzysztof posługę kapłańską pełnił w parafiach na terenie Wałbrzycha – 1988, Polkowice – 1994, Zgorzelca – 1995, Legnicy – 1996 i w Białej 12 lat.

Na obrazku jubileuszowym z okazji 25 lat kapłaństwa ks. Krzysztof Bojko zamieścił słowa:

*Ty zaś czuwać we wszystkim,
Znoś trudy,
wykonaj dzieło ewangelisty,
spełnij swe posługiwanie!*

2 Tm 4,5

Świadkowie Jego posługiwania ze łzami w oczach śpiewali pieśń „Wystarczyła ci sutanna uboga...”

Dalsza część uroczystości odbyła się we Wrocławiu w rodzinnej parafii Zmarłego.

Stanisława M. Kot

Śp. Katarzyna Picho

(1923–2013)

W dniu 11 lipca 2013 na cmentarzu Osobowickim we Wrocławiu pożegnałem wraz z rodziną św. pamięci Katarzynę Picho, urodzoną we Lwowie 20 lutego 1923 roku. Z domu wyniosła patriotyczne wychowanie i bezgraniczne umiłowanie ziemi ojców. Pod koniec 1945 roku, podobnie jak wszyscy Kresowianie zmuszona do opuszczenia rodzinnego domu wraz z całą rodziną przesiedlona została do Karczowa k. Strzelina. Tu poznała Mikołaja, z którym wiąże się na całe życie. Rodzą im się dwie córki i dwóch synów. To im wpaja umiłowanie ojczyzny, a przede wszystkim do ziemi pradziadów. Uczy miłości do Lwowa i Ziemi Kresowych, potrafi ukazać piękno architektury Lwowa, a w szczególności pomników upamiętniających odrodzenie Ojczyzny. Żegnaliśmy Ją w smutku, życząc by Śliczna Gwiazda miasta Lwowa przybliżyła Jej panoramę ukochanego miasta.

Karol Liwirski
prezes TMLiKPW O/Świdnica

Śp. Leonard Dramowicz

(1917–1990)

Zasłużony dla Międzyrzecza



Urodził się 24 listopada 1917 r. w Ostaszku koło Tweru w Rosji. Dzieciństwo i lata młodości spędził z rodzicami w Telechanach na Polesiu.

Pomimo młodego wieku podjął pracę w Urzędzie Pocztowym, a następnie na stacji kolejowej w Telechanach.

W marcu 1939 roku został powołany do odbycia zasadniczej służby wojskowej. We wrześniu 1939 r.

brał udział w działaniach wojennych. W latach 1941–44 był członkiem organizacji ruchu oporu w Telechanach, a od lutego do lipca 1944 r. walczył w oddziale partyzanckim na Polesiu. Po zakończeniu działań wojennych w 1945 r. przyjechał wraz z rodzicami, rodziną i żoną Anną transportem z grupą repatriantów z Polesia i 6 czerwca 1945 r. osiedlił się w Międzyrzeczu.

W latach 1945–46 pracował w Zarządzie Miejskim w Międzyrzeczu, a w latach 1946–1948 w Starostwie Powiatowym w Międzyrzeczu jako kierownik Wydziału Osiedleńczo-Mieszkaniowego.

W latach 1948–1950 pracował w Ekspozyturze Wojewódzkiego Urzędu Poznańskiego w Gorzowie. W 1950 r. został przeniesiony do pracy w Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Zielonej Górze na stanowisko inspektora w Biurze Spisowym. W 1953 roku obejmuje stanowisko Kierownika Wydziału Statystyki w Wojewódzkiej Komisji Planowania Gospodarczego, a w 1962 roku po powołaniu terenowych organów statystyki państwowej obejmuje stanowisko Dyrektora Wojewódzkiego Urzędu Statystycznego w Zielonej Górze. Zajmował je do 1969 roku.

Leonard Dramowicz był organizatorem statystyki państwowej w nowoutworzonym województwie zielonogórskim. W tym trudnym okresie pod jego kierownictwem przygotowano i przeprowadzono Narodowy Spis Powszechny w 1950 r., a także następne spisy powszechne w latach 1960 i 1970. Wiele wysiłku włożył w organizację służb statystycznych zdolnych do przyjęcia materiałów sprawozdawczych, a także do ich opracowywania. Był autorem szeregu opracowań, w tym pierwszych roczników statystycznych z lat 1958–1969, a także analiz statystyczno-ekonomicznych z dziedziny przemysłu, rolnictwa, transportu i budownictwa mieszkaniowego. Zorganizował i rozwinął sieć korespondentów statystycznych miejskich, rolnych i ogrodniczych. Zasluga jego było przygotowanie spisu przemysłowego i kadrowego, a także spisów rolnych. Dzięki m.in. jego zabiegom w 1972 r. przyznano lokalizację pod nowy budynek Wojewódzkiego Urzędu Statystycznego w Zielonej Górze, który został oddany do użytku w 1974 r.

Pracę zawodową łączył w umiejętny sposób z obowiązkami społecznymi. Przez wiele lat przewodniczył Wojewódzkiej Komisji do spraw Przydziału Mieszkań w Zielonej Górze, a jako kombatanat pełnił odpowiedzialne funkcje w Wojewódzkim Związku Bojowników o Wolność i Demokrację. Był członkiem Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego, a także współpracował z Lubuskim Towarzystwem Naukowym. Jest autorem szeregu publikacji poświęconych problematyce osadnictwa na Ziemiach Zachodnich.

Leonard Dramowicz cieszył się wśród pracowników dużym autorytetem i uznaniem. Za zasługi w pracy zawodowej i społecznej był wielokrotnie nagradzany odznaczeniami państwowymi i regionalnymi tj. Krzyż Kawalerski z Orłem Odrodzenia Polski, Złoty i Srebrny Znak, Odznaka za Zasługi w Rozwoju Województwa Zielonogórskiego. Za udział w działaniach wojennych był uhonorowany Krzyżem Partyzanckim, Odznaką Grunwaldzką, Medalem Zwycięstwa i Wolności, Medalem za Wojnę Obronną 1939.

Zmarł 3 lutego 1990 roku w Międzyrzeczu, gdzie został pochowany na miejscowym cmentarzu komunalnym.

Kazimierz Kulas

Śp. Józef Drzazga

(1915–2013)



W dniu 26 lutego 2013 roku w Nysie zmarł Józef Drzazga.

Urodził się 27 maja 1915 roku we Lwowie, jako pierwsze dziecko Franciszka Drzazgi i Anny z domu Kosar. Rodzice mieszkali w tym czasie na Łyczakowie przy ul. Wyspiańskiego 36. Dzieciństwo spędził w Sasowie, rodzinnej miejscowości matki, podczas gdy ojciec był na froncie w wojsku austriackim – trwała wówczas I wojna światowa.

Po ukończeniu szkoły powszechnej pracował kilka lat z ojcem, który był murażem. W roku 1937 ukończył Lwowską Szkołę Handlową, po czym podjął służbę kontraktowego listonosza wiejskiego w Sasowie, którą pełnił do wybuchu wojny. Później pracował w tamtejszej Spółdzielni Rolniczo-Handlowej jako księgowy. Równocześnie w latach

1941–1944 był przewodniczącym Delegatury RGO – Polskiego Komitetu Opiekuńczego w Sasowie, prowadząc w ramach tej organizacji działalność nie tylko charytatywną, ale i konspiracyjną. Od 1942 r. do 1944 r. należał do Armii Krajowej Obwodu Złoczowskiego. W dniu 9 maja 1944 r. został aresztowany przez SS i osadzony na Zamku w Złoczowie. Wysłany stamtąd uciekł z transportu w Jarosławiu, skąd wrócił do Lwowa, gdzie pracował w Spółdzielni „Jedność” do chwili zajęcia miasta przez Rosjan. Po powrocie do Sasowa został powołany do Armii Czerwonej a następnie wcielony do Wojska Polskiego w Jarosławiu, z którego po kilku miesiącach został zwolniony z powodu wady wzroku. W końcu kwietnia 1945 r. otrzymał ultimatum od naczelnika NKWD w Olesku, że jeżeli w najbliższym czasie nie wyjedzie na zachód (do Polski), to zostanie wywieziony z rodziną na wschód. 20 maja wyruszył z transportem repatriantów ze stacji kolejowej Złoczów do Polski. Po 5 dniach podróży dojechali do Góry Śląskiej w woj. wrocławskim, gdzie Józef Drzazga z żoną Heleną i córką osiedlili się wraz z innymi mieszkańcami Sasowa. W Górze Śląskiej pracował w handlu od września 1945 r. do lipca 1952 r., początkowo w Powiatowej Spółdzielni Rolniczo-Handlowej, później w Gminnej

Spółdzielni „Samopomoc Chłopska”. W sierpniu 1952 r. przeniesiony został do Bolesławca, gdzie przez rok był zatrudniony w PZGS. W 1953 r. zamieszkał z rodziną na stałe w Nysie, tam piastował stanowiska kierownicze w handlu spółdzielczym i państwowym. W latach 1960–1975 był kierownikiem wydziału w Miejskiej Radzie Narodowej. 1 stycznia 1976 r. przeszedł na emeryturę.

Otrzymał odznaczenia państwowe: Srebrny Krzyż Zasługi w 1969 r., Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski w 1976 r. oraz inne resortowe odznaczenia i medale. 11 czerwca 1990 r. otrzymał w ZBOWID uprawnienia kombatanckie, 17 listopada 2000 r. awans na stopień podporucznika WP oraz patent nr 15980 Weterana Walk o Wolność i Niepodległość Ojczyzny. W dniu 11 listopada 2010 r. Zarząd Główny ZKRPIBWP nadał por. Józefowi Drzazdze Kombatancki Krzyż Pamiątkowy „Zwycięzcom”.

W latach trzydziestych zainteresował się turystyką, uczestnicząc w podczas wakacji szkolnych w obozach na przedgórzu karpackim. Po wojnie rozpoczął wędrówki po górach, w późniejszych latach dokumentując je fotograficznie. Stopniowo zdobywał kolejne odznaki górskie do dużej złotej GOT włącznie. Ukończył kurs przewodnika sudeckiego i uzyskał uprawnienia Przewodnika Turystyki Górskiej na teren prawie wszystkich pasm górskich w Polsce. Pełnił funkcje we władzach PTTK. Bywał także pilotem wycieczek zagranicznych do pobliskich krajów. Oprócz dokumentowania wypraw turystycznych ponad 50 lat utrzymywał na fotografii rozwój rodzinnego miasta, zaczynając od fotografowania w 1953 roku zniszczonej Nysy. W 1960 roku zdjęcia nyskiego kościoła pw. św. Jakuba i św. Agnieszki, zwane go katedrą, przedstawiające jego odbudowę, zostały wysłane do Watykanu. Przez wiele lat współpracował z „Trybuną Opolską”, wysyłając fotografie dokumentujące wydarzenia i miejsca. Przez lata ważnym miejscem w mieszkaniu była ciemnia fotograficzna, a w wykończeniu zdjęć często pomagała żona Helena. W 2000 roku Józef Drzazga zwyciężył w konkursie fo-

tograficznym „Nysa dawniej i dziś”, co zaowocowało prezentowaną przez kilka miesięcy wystawą Jego fotografii w Muzeum w Nysie a także w Sumpierku w Czechach, po czym Urząd Miejski wydał album „Nysa, jakiej nie znamy – 50 lat w obiektywie Józefa Drzazgi”. W ostatnich kilku latach osłabienie wzroku uniemożliwiło już wykonywanie nowych zdjęć.

Miejsce urodzenia i zamieszkania do 30 roku życia zawsze było dla Niego ważne i budziło emocje. W roku 1972 Józef Drzazga z żoną odwiedzili Lwów i Sasów, gdzie mieszkali do czasu wyjazdu w 1945 r. Zderzenie aktualnego wyglądu ziemi rodzinnej z obrazem zapamiętanym przez wówczas 30- i 25-latków było szokujące. W roku 1988, kiedy utworzono Towarzystwo Miłośników Lwowa we Wrocławiu, Józef Drzazga, jako delegat Zarządu Głównego, wraz z grupą inicjatywną rozpoczęli działalność Nyskiego Oddziału Towarzystwa, został też pierwszym przewodniczącym jego zarządu. Organizowano odczyty na tematy kresowe, spotkania, wycieczki na Kresy, pomoc dla Polaków na Wschodzie. Przez wiele lat należał również do Światowego Stowarzyszenia Rodzin i Przyjaciół Ziemi Złoczowskiej „Klub Złoczowski” z siedzibą w Krakowie, z którym wyjeżdżał wielokrotnie na Kresy. Józef Drzazga, jako aktywny Kresowiak, zaangażował się m.in. w sprawę odrestaurowania kościoła w Sasowie, informując odszukanych Sasowian o akcji prowadzonej z powodzeniem przez Oddział TMLiKPW w Oławie. Prowadził korespondencję z wieloma osobami na tematy kresowe. Wiedząc o zamordowaniu 24 internowanych żołnierzy polskich 17 września 1939 r. w Sasowie przez NKWD doprowadził do zainteresowania telewizji tą sprawą i 9 grudnia 1996 r. wystąpił w programie „Dopóki żyje ostatni świadek”, apelując o zadbanie o zbiorową mogiłę i pomoc w ustaleniu personaliów zmarłych. Przez lata zgromadził dużą bibliotekę o tematyce wschodniej. Sprawami Kresów i wyjazdami zainteresował kolejne rodzinne pokolenia.

Odszedł mając blisko 98 lat.

Wspomnienie o śp. Antoninie Grabskiej

Pani Antonina Grabska urodziła się 29 stycznia 1908 r. Rodzice Karolina i Grzegorz Nazarkiewiczowie mieszkali w Kamionce Strumiłowej pod Lwowem, gdzie ojciec sprawował obowiązki dyrektora Kasy Chorych. W 1914 r. rodzice z sześciolletnią Antoniną przenoszą się do Lwowa. Ojciec po ciężkiej chorobie umiera w 1917 r., a matka nie mając środków do życia oddała Antoninę do zakładu sierot hrabiego Skarbka w Drohowyżu, koło Mikołajowa. Jak skończyła 15 lat wróciła do Lwowa. Po 5 latach wyszła za mąż za Michała Kisielaka. Antonina skończyła seminarium ochroniarskie i została wychowawczynią dzieci w domach prywatnych. Należała też do Przysposobienia Wojskowego Kobiet. Szkoliła się w służbie zdrowia (kursy PCK dla ratowników). We wrześniu 1939 r., kiedy Niemcy zaatakowali Lwów zgłosiła się do szpitala polowego, wojskowego na Politechnice, którym kierował prof. dr Adam Gruca. Po ukończeniu kursu dla „kurortów” pracowała w sanatoriach w Truskawcu. W 1941 r. przenosi się z mężem do Rzeszowa. W listopadzie 1944 r. jako pielęgniarka wstąpiła ochotniczo do XII Medyczno-Sanitarnej Batalionu 10 Dywizji Piechoty. Cały czas pracowała w szpitalach polowych, przeszła szlak bojowy z Dy-

wizją Piechoty. Po demobilizacji w 1947 r. osiedla się w Jeleniej Górze i pracuje w Szpitalu Miejskim do 1953 r. Powraca do Rzeszowa i pracuje najpierw w poradni przeciwgruźliczej, a potem do emerytury jako pielęgniarka w centralnym więzieniu. W 1978 r. powtórnie wychodzi za mąż za Stanisława Grabskiego.

Z chwilą powołania w Rzeszowie w 1989 r. Oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa, Antonina natychmiast się zapisuje i podejmuje aktywną działalność we wszystkich poczynaniach. Okres jej aktywności to ponad 20 lat. Jest to udział w zebraniach, pogadanki, wystąpienia, propozycje inicjatyw, pomoc finansowa dla Polaków we Lwowie i na Kresach. Często miała prelekcje w szkołach i na spotkaniach środowiskowych o swojej pracy w czasie wojny. Za służbę wojskową otrzymała stopień porucznika oraz wiele odznaczeń: Krzyż Oficerski i Kawalerski OOP, Krzyż II Obrony Lwowa, liczne medale wojskowe.

To wyjątkowe życie zakończyła bez cierpień 8 stycznia 2013 r., a 10 stycznia 2013 r. została uroczystie pożegnana i pochowana na Cmentarzu Wilkowyje w Rzeszowie.

Cześć Jej Pamięci.

Bolesław Opalek

Uzupełnienie do notki żałobnej, zamieszczonej w „Semper Fidelis” nr 1/2013

Śp. dr inż. Władysław Szklarz (1923–2013)



Urodził się 9.12.1923 w Trybuchowcach koło Buczacza. Szkołę powszechną rozpoczął w Trybuchowcach, a ukończył w Buczaczu. Od września 1939 r. uczył się w radzieckiej dziesięciolatce.

W latach 1935–39 należał do Związku Harcerstwa Polskiego, a od jesieni 1941 do BCH, a potem do ZWZ-AK pod pseudonimem „Żbik”. Podczas okupacji niemieckiej pracował w gospodarstwie rodziców w Trybuchowcach, gdzie brał również udział w „Samoobronie”. W maju 1944 r. wraz z rodziną wyjechał do Stanisławowic pod Bochnią, a w maju 1945 r. przenosi się do wsi Skupna w powiecie konińskim.

Maturę zdał w lutym 1945 r. w Liceum w Czarnkowie n. Notecią.

Studiował na Uniwersytecie i Politechnice we Wrocławiu na Wydziale Rolnym ze specjalizacją melioracje rolne.

W 1950 r. uzyskał tytuł mgr. inż. nauk technicznych. W 1960 r. obronił pracę doktorską. Wydał drukiem 24 prace naukowe.

W 1951 r. zawarł związek małżeński z Zofią Kańską, z którą ma córkę Agnieszkę i syna Marcina.

Od marca 1950 r. rozpoczął pracę w Państwowym Instytucie Gospodarstwa Wiejskiego w Czechnicy.

W latach 1954–1961 pracował w Instytucie Melioracji i Użytków Zielonych we Wrocławiu.

W latach 1962–1965 pełnił funkcję kierownika działu Informacji Technicznej w Zakładzie Aparatury Ochrony Roślin we Wrocławiu. W zakładzie tym był współautorem konstrukcji dwuwadrowej dojarki i patentu – „pulsator do dojarki o wydłużonym okresie ssania”.

Od roku 1966 do przejścia na emeryturę pracował na stanowisku dyrektora Przedsiębiorstwa Zjednoczenia Hodowli Roślin i Nasiennictwa prowadząc gospodarstwa nasienne w Cieszcach, Henrykowie. W 1990 r. powołany był na 4-letnią kadencję burmistrza miasta i gminy Wiązów.

Za pracę otrzymał liczne nagrody, dyplomy oraz odznaczenia, m.in. Srebrny i Złoty Krzyż Zasługi, Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, Złota Odznaka Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich.

Od 1999 r. pełnił obowiązki prezesa Oddziału Buczacza we Wrocławiu TMLiKPW i redaktora naczelnego kwartalnika „Głos Buczacza”.

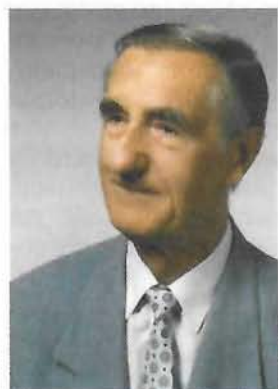
Był autorem książek: „Buczaczanie piszą wiersze”, „Ostatni spoczynek Buczacza” i „Życiorysy Buczacza”.

Zmarł 10 października 2013 r. i został pochowany na Cmentarzu Osobowickim we Wrocławiu.

Cześć Jego Pamięci!

*Andrzej Kamiński
prezes ZG TMLiKPW*

Śp. Emil Teśluk (1923–2013)



Emil Teśluk urodził się we Lwowie 26.07.1923 r. i mieszkał do chwili wyjazdu na Ziemię Zachodnią po 1946 roku. Ukończył siedmioklasową Publiczną Szkołę Powszechną im. Lenartowicza w 1936 r. Następnie uczęszczał do szkoły średniej nr 3 we Lwowie, którą ukończył w 1945 r. Pracował w 1939 r. w firmie „Propag” – serwisowej remontującej samochody.

W czasie wojny kształcił się na różnego rodzaju kursach, co skutkuje podjęciem nauki w Państwowej Szkole Handlowej we Lwowie w roku 1942 z polskim językiem nauczania. W latach 1943/44 uczęszcza do Publicznej Szkoły Kupieckiej. Po przyjeździe do Wrocławia pracuje i jednocześnie podejmuje studia w Wyższej Szkole Ekonomicznej, którą ukończył w roku 1960 otrzymując tytuł magistra ekonomii. Podejmuje również naukę w Studium Planowania Przestrzennego Uniwersytetu Wrocławskiego w latach 1948/49 u prof. dr. K. Dziewońskiego. Po okresie studiów podej-

muje pracę w handlu na różnych stanowiskach, m.in. był kierownikiem restauracji i kawiarni we Wrocławiu „Bagatela” i „Artystycznej”, w „Grand Hotelu”, „Europejskiej”, „Teatralnej”, „Czardasza”, „Centralnej”.

Śp. Emil w roku 1942 wstąpił w szeregi lwowskiej Armii Krajowej walcząc z okupantami – niemieckim i sowieckim do 1944 r., głównie w plutonie Rejonu III w dzielnicy Lwów – Północ przy gazowni Brał bezpośredni udział w trudnych akcjach bojowych z narażeniem życia. Uhonorowany wieloma medalami wojskowymi i państwowymi, m.in. Krzyżem Drugiej Obrony Lwowa 1939 r. W roku 1999 otrzymał tytuł „Weterana Walki o Wolność i Niepodległość Ojczyzny” nadany przez Premiera Rządu.

W roku 1990 wstępuje do organizowanego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. W latach 1991–2000 pełni funkcję wiceprezesa Zarządu Głównego, a w latach 2000–2008 skarbnika. Był Członkiem Honorowym naszego Towarzystwa.

Za wieloletnią działalność w TMLiKPW otrzymuje w swoje 90. urodziny uhonorowanie odznaczeniem 25-lecia Towarzystwa i Złotą Odznaką TMLiKPW w 1994 r.

Zmarł 30 października 2013 r. i został pochowany na cmentarzu Grabiszyńskim we Wrocławiu.

Cześć Jego Pamięci!

Informacje

W grudniu 2013 r. ukaże się numer specjalny „Semper Fidelis” z materiałem ze zjazdu z okazji 25-lecia TMLiKPW oraz dużą ilością fotografii, które otrzymaliśmy od Oddziałów i Klubów Towarzystwa. Prenumeratory otrzymują ten numer gratis.

Informujemy, że jest do nabycia „Kalendarz Lwowski 2014” w cenie 12 zł.

Jednocześnie informujemy, że prenumerata „Semper Fidelis” w 2014 r. jest w cenie 36 zł.

Lista Ofiarodawców w miesiącach III–XI 2013 r.

1. N/N	450.-
2. Jerzy Polkowski, Lublin, na fundusz wydaw.	50.-
3. Zofia Kempa, Trzebnica, na pomoc świąteczną dla Lwowa	100.-
4. Bożena Sobolewska, Białystok, na Cmentarz Łyczakowski	100.-
5. Stanisław Witek, Olsztyn, na pomoc świąteczną dla Lwowa	100.-
6. Wiesław Richter, Wrocław, na fundusz wydaw.	100.-
7. Bożena Cetnarowska, Nowy Sącz, na Cmentarz Janowski	50.-
8. Ewa Dziurzycka, Wrocław, na pomoc świąteczną dla Lwowa	50.-

**Wszystkim Szanownym Ofiarodawcom
składamy najserdeczniejsze podziękowania.**

Contents

Danuta Śliwińska – Like every year we're awaiting the feast	1
Teresa Paryna – <i>Great musing</i> – a poem	5
Kazimierz Kulas – At the Christmas table in December 1944	5
Edward Gil – Twenty-fifth anniversary of priesthood consecration of the parish-priest Father Władysław Lizun of St Anthony Parish in Lwów	6
Tadeusz Zbigniew Nowogrodzki – From Lwów to seas and oceans. Part VI	7
Stanisława Marta Kot – On Ukrainian slaughter of Poles in Volhynia by the end of World War II	15
Lesław Lech – Borderlanders: jubilee celebrated in Wrocław	17
Iwo Werschler – My childish years lived during World War II in the Borderland. The Soviet occupation at Podhajce (1939–1941)	18
Teresa Paryna – a poem	27
Janusz Sekulski – Celebration of the 69th anniversary of Warsaw uprising	28
– With relief to our countrymen now in Ukraine	28
Wanda Butowska – XVIth Days of Lwów and the Borderland as celebrated in Poznań	29
Leszek Mulka – Remembrance of the genocide of Poles in the formerly Polish Borderland	30
Zygmunt Zelek – 74th anniversary of Soviet assault on Poland and the Day of Siberian Exiles as celebrated at Świdnica	31
Marian Winiarski – "White Saturdays" at the parish of Medenice in the formerly Polish Borderland	32
Zygmunt Muszyński – Delivery of Polish school books and other educational materials to School No 4 at Drohobycz	35
Kazimierz Kulas – Commemorating plate to a Siberian Mother	38
Jerzy Duda – Fifteen years of pilgrimages from KLuczbork to the formerly Polish Borderland	38
Jerzy Duda – A prayer of the faithful ones	40
Kazimiera Głogowska-Gosz – Laps and forgetfulness	42
Jan Tarnowski – 70th anniversary of Ukrainian crimes on Poles as celebrated at Zielona Góra	45
Włodzimierz Kizimowicz – Speech made on the communal cemetery concerning the above	45
Karol Liwski – XXVth anniversary of Lwów Lovers Society, the Day of Lwów and Borderland Culture	47
Remigiusz Węgrzynowicz – With reasons, gentlemen – not with horns!	49
Janusz Sekulski – There are alas such Poles as that one... ..	50
Teresa Paryna – a poem	50
Kazimierz Kulas – From the Lwów Land to Międzyrzecz	51
– Dźwinogród in my memory (IX). The foot-path to my school	51
OBITUARY COLUMN	
Stanisława M. Kot – The late rev. Krzysztof Bojko (1963–2013)	53
Karol Liwski – The late Katarzyna Picho (1923–2013)	53
Kazimierz Kulas – The late Leonard Dramowicz (1917–1990)	54
The late Józef Drzazga (1915–2013)	54
Bolesław Opalek – Recollection of the late Antonina Grabska	55
Andrzej Kamiński – The late Władysław Szklarz (1923–2013)	56
The late Emil Teśluk (1923–2013)	56
Informations	57
List of Donors	57



Autor: Jolanta Borek Unikowska

Święty Mikołaj z dziećmi